- Toast Józefa Stalina — str. 4
- Pierwsze plaże w ajencji — str. 5
- Czy bies rządzi w Bieszczadach? — str. 6
- Komin niezgody — str. 7
- Andrzej Brycht – „Polski prysznic" — str. 11

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 37 (1589) ROK XXXI 10 WRZEŚNIA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Fota: Piotr Jaskow

Czy koniec tej serpentyny?

Rozmowa z doc. MARKIEM BARTOSIKIEM, członkiem KC PZPR, dyrektorem Instytutu Aparatów Elektrycznych PŁ.

— Najpierw były strajki na przełomie kwietnia i maja 1988 roku później nastąpiło załamanie rynku co najbardziej odczuły kobiety, bo musiały stać w dłuższych kolejkach a na koniec przyszła druga fala strajków tych z sierpnia 1988 roku. Można zatem zapytać, czy te sygnały nie wystarczyły, czy nie docierały do władz na różnych szczeblach.

— Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości że sygnały te do władz docierały.

— Dlaczego z nich nie skorzystano?

— O to najlepiej byłoby zapytać przedstawicieli władz. Nie można natomiast zarzucić władzom, że nie działały. Władze działały ale bez efektów. Trudno założyć, że władza chciała źle. Każda władza chce rządzić dobrze, mieć efekty tego rządzenia. Ale to nie zawsze się udaje nie zawsze wychodzi. Nie posądzam więc władzy o złą wolę, ale o nieskuteczność.

Dotyczy to spraw ekonomicznych. W sprawach politycznych dokonuje się systematyczny postęp, czyni się starania o poszerzenie bazy rządzenia, dokonano wielu istotnych zmian i wielu się jeszcze dokona. O tym zresztą mówiono na VIII Plenum KC PZPR. Gdyby więc sytuacja ekonomiczna była lepsza, to i sytuacja w Polsce latem 1988 roku byłaby zupełnie inna.

— Ale w gospodarce sytuacja jest trudna, żeby nie powiedzieć dramatyczna.

— I ta sytuacja gospodarcza jest praprzyczyną napięć jakie powstały. Można powiedzieć, że jest to karykaturalny przykład stwierdzenia, że „byt określa świadomość".

Ani przez chwilę nie mogę dopuścić myśli, że centralne władze w PRL, tak polityczne, jak i rządowe nie mają jasnego obrazu tego, co się w Polsce dzieje. Działa przecież cały system dopływu informacji wieloma kanałami. Na przykład w Komitecie Centralnym PZPR między plenami, odbywają się konsultacje i inne spotkania. Wystarczy też uważnie przeczytać przemówienia członków KC PZPR, na tych plenarnych posiedzeniach działa Centralny Ośrodek Badania Opinii Społecznej, którego wyniki badań są publikowane; o wielu negatywnych zjawiskach pisze prasa; ludzie do władz piszą listy na różne tematy (o tym, gdzie się źle dzieje też) itd. itd.

— Być może szwankuje zatem interpretacja. Znane jest przecież takie zjawisko, kiedy dobiera się ludzi, wprawdzie pochodzących z różnych środowisk, o pozornie różnej orientacji, którzy w gruncie rzeczy myślą tak samo. Powstaje wówczas wrażenie różnorodności poglądów i stanowisk, które w istocie są tylko pozornie różne. Przedstawiciele władzy, którzy taki kontakt mają ze społeczeństwem czują się dobrze, bo mają niby różnorodne potwierdzenie swoich poglądów i koncepcji.

— Tego jednak nie można powiedzieć na przykład o Radzie Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, gdzie są ludzie rzeczywiście o różnym rodowodzie politycznym i różnych poglądach politycznych. I trudno powiedzieć, że w Radzie ta dyskusja jest pozorowana. Tam rzeczywiście ścierają się poglądy i Rada przyczyniła się do rozwiązania wielu istotnych problemów.

— Co do tego nie ma wątpliwości. Wprawdzie Stanisław Stomma na łamach miesięcznika „Konfrontacje" przedstawił koncepcję powołania takiej Rady przez delegowanie do niej członków z różnych środowisk i ugrupowań, a nie ich powoływanie, jak było do tej pory, ale to wobec propozycji ewentualnego przekształcenia jej w Radę Porozumienia Narodowego nabiera innego znaczenia. Mnie nie chodziło tylko o szczebel centralny, gdzie sposoby porozumienia różnych ugrupowań politycznych są jakby już ustalone. Jak jest gdzie indziej?

— Z tym bywa różnie. My czasem świetnie dyskutujemy w gronie własnym i nasze życzenia oraz wyobrażenia bierzemy za rzeczywistość.

— A ta jest zupełnie inna.

— Właśnie. Łatwo się dyskutuje — co już wiele razy mówiono — w nieźle strzeżonych gmachach.

Pomnik dla Jana Matejki z własnych funduszów.

Między ideą a kamienną bryłą

Rozmowa z MARIANEM KONIECZNYM — profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, rzeźbiarzem, twórcą pomników w Polsce, Algierii i USA.

— Wiem, że zamierza pan sprezentować Krakowowi niecodzienny prezent: z własnych funduszów wznieść pomnik ku czci jednego z najsłynniejszych polskich malarzy...

— Wyraźmy to inaczej: nie dla miasta, ale dla mistrza Jana Matejki.

— Rektor stawia pomnik rektorowi, czy tak?

— Także nie. Uważam, że Jan Matejko powinien mieć pomnik przede wszystkim w Krakowie. Kiedyś pewna dziennikarka zaatakowała mnie z tego powodu, mówiąc, że przecież Matejko sam dla siebie wystawił pomnik swoją twórczością, po co mu jeszcze spiżowy! Niby racja, ale przecież każdy sobie jakiś tam pomnik wystawił, natomiast powinien w Krakowie stać pomnik mistrza Jana. Ja o ten pomnik zabiegałem mniej więcej już dziesięć lat temu, kiedy byłem rektorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, spowodowaliśmy nawet wystąpienie senatu do władz miejskich, ale to gdzieś ugrzęzło. Teraz, z okazji 150 rocznicy urodzin Jana Matejki, pomyślałem, że jeśli ja sam tego nie zrobię, jeśli ja się nie wysilę — także w sensie finansowym — to nie bardzo wierzę, by kiedykolwiek ktokolwiek w Krakowie ten pomnik postawił. Więc zabrałem się do roboty, ale ciągle jestem na etapie projektowania. Właśnie dzisiaj skończyłem szóstą wersję pomnika. Ale to tak jest zawsze: trzeba stworzyć wiele możliwości, z których potem można będzie wybrać jedną.

— Jednakże pan „widzi" ideę tego pomnika?

— Tak, muszę go umieścić gdzieś pomiędzy Akademią a jego domem na ulicy Floriańskiej. Tak go widzę. To musi być postać żywa, choć będzie stać na cokole, postać w ruchu... Trudno mi o tym teraz opowiadać. Tworzę go ze swojej wyobraźni, nie tyle kopiuję jego autoportret, portrety czy fotografie, które są, ale mam pewną własną wizję Matejki, wizję wielkiego malarza polskiego, niskiego wzrostu, chuderlawego, ale jakże wielkiego człowieka! I chcę właśnie w jakiś charakterystyczny sposób ten obraz wyrazić. Myślę, że mi się to uda. Nie śpieszę się, bo jak powiadam, wykonałem już szóstą wersję. Jeśli nastąpi u mnie jakaś wewnętrzna akceptacja — oczywiście musi być też akceptacja władz miejskich, które dziś są na „tak", ale trzeba im przedstawić projekt — wówczas przystąpię do właściwej pracy. Chcę ten pomnik postawić między Akademią a domem na ulicy Floriańskiej, czyli na tym małym placyku przed Muzeum Czartoryskich: ulica Pijarska, mury. Jest to dość intymny, ale bardzo oryginalny, ciekawy zaułek na Starym Mieście prawie przy bramie Floriańskiej. Myślę, że on tam będzie żył.

— Pomówmy o sprawie, o której gentlemani z reguły nie rozmawiają. Ale sprawa jest na tyle poważna, że nie można jej pominąć. Chodzi o pieniądze. Wiem, że pomnik Jana Matejki zamierza pan postawić na własny koszt...

— W historii pomników w Polsce takie rzeczy się zdarzały, to nie nowego. Wielki Pomnik Grunwaldzki, który stoi na placu Matejki w Krakowie — oczywiście ten pierwszy, potem zniszczony przez Niemców — był ufundowany przez Ignacego Paderewskiego. Za swoje pieniądze, w pięćsetną rocznicę bitwy, w 1910 roku postawił tutaj pomnik. Wydał ponad 300 tys. ówczesnych franków francuskich. Mój Matejko nie jest przedsięwzięciem tej skali, będzie to figura — jestem przecież w trakcie „przymierzania się" — co najmniej 3 m wysoka plus cała część architektoniczna. Ile to będzie mnie kosztowało? Sam nie wiem, teraz ceny tak się zmieniają... Najpoważniejszy koszt to będzie odlew w brązie oraz cokół. Myślę, że jeśli sam nie podołam finansowo, to może ktoś pospieszy z pomocą.

— Kiedy zamierza pan dokonać odsłonięcia tego pomnika?

— Dobrze by było, gdyby to nastąpiło tej jesieni, w listopadzie, kiedy będą tu się odbywać uroczystości. Nie wiem, czy mi się to uda, bo nie wszystko ode mnie zależy. Pan wie, ja mogę to wyrzeźbić szybko, ale muszę to „zgrać" z innymi wykonawcami, z tymi, którzy będą odlewać postument, robić cokół itd. Nie są to wielkie sprawy dla przedsiębiorstwa czy dla rzemieślnika kamieniarskiego lub odlewnika w brązie, niemniej wymaga to czasu. Ale nie jest to istotne, pomnik się stawia nie dla jakiejś okazji tylko dla potomnych. A jeśli nie tej jesieni, to na wiosnę...

Projekt rzeźby Jana Matejki, autorstwa prof. M. Koniecznego.

Foto: Adam Wetnar

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70, 32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Jalusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91—103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00—958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — od dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2868. S-10

Przegląd prasy

W 1985 roku zwiedzał nasz kraj wybitny pisarz zachodnioniemiecki Hans Magnus Enzensberger. W drodze do Warszawy musiał zatrzymać się w Łodzi, ponieważ w samochodzie zepsuła się skrzynia biegów. Towarzysząca mu kobieta powiedziała, że przy okazji zobaczy najbrzydsze miasto w Europie.

Reportaż z podróży po Polsce znalazł się w książce pt. „Ach, Europa!", którą w ubiegłym roku wydano we Frankfurcie nad Menem. Jest to zbiór relacji z siedmiu krajów europejskich. Fragment dotyczący Łodzi przedrukował „PRZEGLĄD KATOLICKI" (nr 35). Oto wrażenia Hansa Magnusa Enzensbergera:

„Miasto jest demoniczne. Należy powstrzymać się tu od wszelkich estetycznych wyroków. Każdy urbanista połamałby sobie zęby, usiłując rozgryźć tę pogmatwaną topografię. Łódź to skamieniały Dziki Wschód: wszędzie ślady chciwości i wyzysku minionych lat. (...)

Przyszłość przemysłu tekstylnego wygląda ponuro, fabryki stają się coraz bardziej przestarzałe, inwestuje się coraz mniej — wszystko to czyni położenie robotnic coraz trudniejszym. Nigdzie nie płaci się mniej za pracę, nigdzie nie ma tak wysokiej śmiertelności niemowląt, nigdzie ludzie nie mieszkają gorzej niż w Łodzi. (...)

Nawet cmentarze robią w tym mieście wrażenie nieokiełznanych. Rozprzestrzeniają się tak, jakby i śmierć nie była w stanie pohamować energii spoczywających na nich założycieli miasta. Cmentarz ewangelicki ukazuje wkład niemieckich przedsiębiorców w rozwój łódzkiego przemysłu oraz ich mentalność. (...)

Przed drugą wojną światową co trzeci łodzianin był wyznania mojżeszowego. Tylko cmentarz świadczy jeszcze o dominującej roli, jaką niegdyś odgrywali Żydzi w tym mieście. Rozległy kwadrat w ciągu dziesięcioleci opuszczenia stał się drugim Angkor Wat. Jak zatopione w dżungli świątynie stoją mauzolea w chwastach wysokości człowieka. Drzewa porozsadzały kamienie: tablice z marmuru i kute żelazne kraty padły ofiarą cmentarnych hien. (...)

Wieczorem wielkie przyjęcie pożegnalne u Sławy. Mieszka ona z mężem i dwojgiem dzieci w dwupokojowym mieszkaniu na Wschodniej. Dom położony jest w starej rozsypującej się części miasta. W dzień i w nocy można tu kupić wódkę, pokątni handlarze ukrywają towar po bramach — w hydrantach i w skrzynkach z licznikami. Najstarsze i najtańsze prostytutki w mieście mają tu swój rejon. Mroczna kamienica wygląda tak, jakby od 1905 roku, kiedy ją zbudowano, nikt nie kiwnął palcem, żeby utrzymać ją w jako takim stanie. Wąskie podwórko przywodzi na myśl więzienie. Pod schodami znalazła schronienie prywatna garkuchnia oferująca tanie posiłki. Dziś jednak nie ma mowy o brakach, dziś zapanowała rozrzutność. Czeka nas świąteczne nakrycie".

Przy bogato zastawionym stole spekulowano, jak wyglądałyby wolne wybory do Sejmu w Polsce. Jadwiga, Sława i pan J. szacowali, że partia katolicka zdobyłaby 30—40 proc. głosów, socjaldemokraci od 25 do 36 proc., narodowi demokraci i piłsudczycy — 10 proc., prawicowi ekstremiści (faszyści) — może 8 procent. Polscy gospodarze mieli dość ponurą wizję tych wolnych wyborów sejmowych.

„Wyobraźcie sobie ten galimatias. Podziały! Bijatyki! Walki uliczne! Szaleństwo! Wszystkie nasze wady wylazłyby na wierzch! (...) My nie mamy pojęcia o tym, co wy, nazywacie normalnością. Tego jeszcze nie przerabialiśmy. Nikt ci nie powiedział, jacy jesteśmy próżni, jak zajęci sobą? Zacofany naród, zaprzątnięty jedynie swoimi problemami".

Pisarz zachodnioniemiecki przekonywał naszych rodaków, że przecież Europa jest konglomeratem wad, które się uzupełniają i neutralizują wzajemnie. Europa potrzebuje Polski.

Po kilku kieliszkach i pieczeni z zająca H.M. Enzensberger powiedział, że Łódź jest brutalnym cudem. Trzeba coś tutaj zrobić.

„Rozwinąć jakieś projekty, dać propozycje. Takie miasto nie może po prostu sczeznąć. Przemysł tekstylny w Łodzi to wspaniały okaz monokultury, umierający potwór... Musi wam coś przyjść do głowy! Na przykład... Studia filmowe. Tak, naturalnie! Munk, Polański, Wajda. Macie tu przecież tę słynną szkołę filmową, pełno tu teatrów. Ludzie tacy jak wy: dziennikarze, muzycy, reżyserzy, graficy, pisarze... To byłoby rozwiązanie! Trzeba, żeby Łódź stała się metropolią mediów na Wschodzie. Studia telewizyjne, drukarnie, firmy płytowe, redakcje, banki danych, wydawnictwa, stacje satelitarne... przemysł przyszłości. (...) Koniec z hałasem i brudem, z przedpotopowymi tkalniami, i koniec z supremacją Warszawy! Wielka debata nad przyszłością miasta. Oto plan. Dlaczego tego nie zaproponujecie!"

Polacy patrzyli na Niemca jak na wariata. W ich oczach dostrzegał mieszaninę drwiny i współczucia. Jadwiga poradziła, żeby się nie wysilał, ponieważ my sami siebie nie rozumiemy. I zakończyła pesymistycznie:

„To, że jesteśmy dzielniejsi, pobożniejsi i mądrzejsi od innych, to już wiesz. Ale chyba nie sądzisz poważnie, że jesteśmy do uratowania".

NASI W CHICAGO

Na łamach katolickiego tygodnika społecznego „ŁAD" (nr 35), Maciej Wierzyński drukuje swoje korespondencje z Chicago. W pierwszej przedstawił bardzo ciekawy portret środowiska polonijnego.

„W całej metropolii chicagowskiej ludzi mówiących po polsku żyje około 200 tysięcy, czasopisma tygodniowe rozchodzą się w 4—5 tysiącach egzemplarzy. Skupisko takie jak Jackowo ma ludność małego miasteczka i jest w istocie niczym innym jak małym miasteczkiem. W porównaniu z Jackowem, Kraków, Poznań, Wrocław albo Łódź to tętniące życiem europejskie metropolie i chociaż trudno w tych miastach o mydło, dezodoranty, pastę do zębów, a także piwo Heineken, wódkę Finlandia i Smirnoff, to jednak są to miasta kontaktujące się ze światem zewnętrznym, jeśli nie fizycznie to przynajmniej umysłowo. Chicago polskie w niewielkim stopniu zabiega o kontakt z otoczeniem. Nie chodzi nawet o Europę, nie chodzi też o Amerykę. Polskie Chicago nie zabiega nawet o kontakt z miastem Chicago, w którym żyją Amerykanie. Polskie Chicago żyje samo dla siebie i dlatego jest tak bardzo podobne do Przasnysza. Bo Przasnysz również żyje sam dla siebie".

W czasach reporterskiej młodości Maciej Wierzyński jeździł do różnych Przasnyszów w Polsce, aby opisać jakąś aferę. Zazwyczaj chodziło o to, że przasnyszanie wykańczali człowieka zdolniejszego, lepiej wykształconego, bardziej pracowitego, który pragnął w miasteczku coś zmienić i coś zrobić. W społeczności Przasnysza wszyscy nawzajem się obmawiali, oczerniali i zazdrościli sobie.

Jeżeli jednak ktoś rodem z Przasnysza zrobił karierę gdzie indziej, w tzw. wielkim świecie, to natychmiast stawał się przedmiotem dumy przasnyszan. Wtedy przypominali, że jest synem pięknej ziemi przasnyskiej. Natomiast u siebie by go ściągnęli w dół i zadeptali.

Okazuje się, że polskie Chicago jest podobne do Przasnysza. Panuje tam podobna atmosfera socjologiczna. Polskie Chicago nie może pomieścić wszystkich Polaków.

„Jest jak nieduży staw, nad którym łowią ryby setki wędkarzy. Pojawienie się nowego wędkarza oznacza, że ryb, które on złowi, zabraknie dla innych. Tuż obok jest wprawdzie wielki ocean amerykański, bogaty w łowiska, ale na ten ocean wypływają tylko śmiałkowie albo awanturnicy. Reszta kisi się we własnym sosie, patrzy sobie na ręce i obgaduje. Narzeka też na fatalny charakter Polaków, który sprawia, że ludzie są zawistni i rozplotkowani. Tymczasem prawdziwą polską wadą nie jest zawiść i związane z nią plotkarstwo, prawdziwą wadą jest lęk przed opuszczeniem brzegów polskiej sadzawki".

Maciej Wierzyński widzi okrutną igraszkę losu w tym, że ludzie przepływający ocean i osiągający wymarzony kontynent amerykański trafiają do... Przasnysza. Być może dlatego emigracja czyni Polaków nieszczęśliwymi...

POLACY W ZWIĄZKU RADZIECKIM

W omawianym tygodniku katolickim warto również przeczytać wywiad z Janem Platerem-Gajewskim, który uzyskała Ewa Szemplińska. Zasłużony działacz polonijny opowiada o dramatycznych losach Polaków w ZSRR. Jego przodkowie byli na katordze w Rosji carskiej (pradziad 7 lat za powstanie listopadowe, dziadek 11 lat za powstanie styczniowe, ojciec 5 lat za udział w ruchach demokratycznych), a on cierpiał 17 lat w Związku Radzieckim. Obecnie mieszka w Karagandzie (miasto obwodowe w Kazachstanie) i zajmuje się sprawami rodaków na wychodźctwie. Nie zamierza wracać do kraju ojczystego.

We wrześniu 1939 r. Jan Plater-Gajewski walczył m.in. w obronie Lwowa. Po zajęciu miasta przez Rosjan przyszedł z Warszawy rozkaz, żeby nie przelewać krwi i przyjąć warunki kapitulacji.

„Ci oficerowie, którzy po kapitulacji zgłosili się do komendy garnizonu — w znacznej części — poszli szlakiem: Starobielsk, Ostaszów, Kozielsk i Katyń, inni — ja również — chcieli się bić dalej, więc przedzieraliśmy się do Warszawy. Jednak, gdy doszliśmy do Żółkwi okazało się, że jesteśmy wzięci w dwa ognie, nie było żadnych szans na przejście, ja przechowałem się w klasztorze w Żółkwi, potem wróciłem do Lwowa i wstąpiłem do tworzonego ZWZ. W październiku 1939 dostałem rozkaz przejścia z ważnymi meldunkami i papierami do Francji i na granicy polsko-węgierskiej zostałem zatrzymany przez radziecki patrol graniczny".

Spędził dwa lata w więzieniach w Stanisławowie, na Łubiance, w Odessie i Tomsku. Traktowano go wówczas bardzo poprawnie, ponieważ w chwili aresztowania nic o nim nie wiedziano i niczego nie znaleziono. Po nawiązaniu stosunków polsko-radzieckich ambasada nasza skierowała go najpierw do Kujbyszewa, a następnie do delegatury w Taszkiencie. Z więzień, obozów i miejsc osiedlenia przybywali Polacy do armii Andersa. Na podstawie różnych danych szacowano, że wszystkich wywiezionych i aresztowanych powinno być około 1 450 000—1 600 000 osób. Ale nie wszyscy mogli dotrzeć na miejsce. Niektórych zatrzymano jako przymusowych pracowników.

W strasznym stanie znajdowała się ludność cywilna. Masowo umierała z głodu i awitaminozy, była dziesiątkowana przez tyfus i dezynterię. W ośrodkach mobilizacyjnych dywizji polskiej rozgrywały się okropne tragedie.

W grudniu 1942 r. Jan Plater-Gajewski został aresztowany i przywieziony do Moskwy. Ponieważ nie chciał wstąpić do Związku Patriotów Polskich (wstąpienia do dywizji im. Tadeusza Kościuszki mu nie proponowano), wydał na siebie określony wyrok.

„Wobec tego zawędrowałem na Łubiankę, potem do innych więzień, do kopalni miedzi, do obozu dla politycznych w Kazachstanie, do politycznej izolatki za organizowanie pomocy w obozie, wreszcie od końca 1952 do końca 1956 przebywałem na zaostrzonym zesłaniu w Kazachstanie. Znów siedziałem bez aktu oskarżenia, bez wyroku sądu, ale w znacznie gorszych warunkach".

Jana Platera-Gajewskiego niepokoi fakt, że Polacy są najszybciej wynaradawiającą się grupą mniejszościową w ZSRR. Zaledwie 32 proc. używa języka polskiego jako podstawowego. Na Białorusi, gdzie jest największe skupisko ludności polskiej (400 tys.), nie ma ani jednej szkoły z językiem polskim. Pozostały tylko na Litwie i dwie we Lwowie. A przecież jeszcze do 1938 roku było blisko 2 tys. szkół z językiem polskim. Mieliśmy okręgi autonomiczne, organizacje kulturalne, ponad 100 tytułów prasy polskiej. Ministerstwo Oświaty Kazachstanu dopiero teraz pozwoliło wprowadzić język polski do szkół w powiatach, w których jest większość Polaków.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

MARIOLA STANISŁAWSKA pracownik socjalny:

To był okropny tydzień, może nie cały, ale jego końcówka. Byliśmy z mężem na działce i w piątek pojechaliśmy do pobliskiej wsi Rossoszyca (gmina Warta, woj. sieradzkie) po zakupy. Widząc tłum nad stawem w centrum wsi myśleliśmy, że to dzieci mają jakieś zajęcia na powietrzu. Dopiero ekspedientka w sklepie powiedziała nam, że od kilkunastu minut topi się tam człowiek. Podobno chodziło o jakiś pijacki zakład. Pobiegliśmy nad staw. Rzeczywiście, topił się człowiek — a zgromadzony tłum: mężczyźni, kobiety, dzieci cisnął się na brzegu, aby jak najlepiej widzieć. Nikt nie próbował ratować. Mąż wskoczył do wody i próbował wyciągnąć topielca, ja z pobliskiego przedszkola zadzwoniłam po pogotowie i milicję. Gdy mąż doholował ciało do brzegu, był już bardzo zmęczony i nie mógł go wyciągnąć, poprosił o pomoc najbliżej stojącego mężczyznę — ten bez słowa odwrócił się i zniknął w pobliskiej plebanii.

Pogotowia jeszcze nie było, zaczęliśmy więc robić sztuczne oddychanie. Nadal nikt nie próbował pomóc, dosłownie wchodzili nam na głowy, żeby nic nie stracić z widowiska. W tym czasie przejeżdżał na rowerze milicjant — poprosiliśmy go o pomoc. Odmówił, twierdząc, że przyjechał tu w innej, służbowej sprawie.

Po mniej więcej piętnastu minutach przyjechało pogotowie. Lekarz stwierdził zgon. Pytał ludzi o nazwisko denata, gdzie mieszka — udawali, że nie wiedzą, a przecież był to mieszkaniec tej samej wsi, znali go wszyscy.

Lekarz odjechał, odjechaliśmy i my, nie czekając na przybycie milicji. Zresztą może milicja wcale nie przyjechała, bo kiedy telefonowałam, interesowało ich raczej nie to, co się dzieje, ale kto dzwoni, gdzie mieszka i jakie stosunki łączą mnie z tonącym.

Przeżyliśmy to strasznie — przecież ten człowiek mógł być uratowany — tonął w środku wsi, kilkadziesiąt metrów od szkoły, plebanii, remizy strażackiej, na oczach tłumu. Na pewno ktoś z tych ludzi umiał pływać. Widocznie jednak ludzie w tej wsi są wyjątkowo podli. Nie był to pierwszy przypadek takiej obojętności. Kilka dni wcześniej naszej sąsiadce z działki zasłabł w nocy mąż. Pobiegła szukać telefonu — jest ich we wsi siedem. Choć mówiła o co chodzi — nikt nie pozwolił jej zadzwonić po pogotowie. Myślę, że taka postawa powinna być nie tylko moralnie potępiona, ale po prostu karalna.

Dr MARIA TYSZKO, lekarz naczelny szpitala Ginekologiczno-Położniczego im. L. Rydygiera:

Padające deszcze spowodowały, że dziury i wyboje przed naszym szpitalem powiększyły się znacznie. Otoczenie jest coraz brzydsze i coraz trudniejsze do przebycia, na szczęście wnętrze szpitala prezentuje się o wiele lepiej. W ubiegłym tygodniu przyszło u nas na świat 49 nowych obywateli — wszystkie niemowlęta bardzo ładne. Ponadto dostaliśmy prezenty dla najmłodszych — tzw. „żelazne majtki" — bardzo wsiąkliwe pieluszki z folią. Przestrzegam jednak przed używaniem ich na stałe. Są dobre jedynie na czas „oficjalnej" wizyty.

ZENON KOCHANOWSKI, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 1 im. Adama Mickiewicza:

Ubiegły tydzień był dosyć pracowity. Wtorek — zebranie dyrektorów szkół, środa — Rada Pedagogiczna, czwartek — rozpoczęcie roku szkolnego. W tym roku organizacja uroczystości — a także normalnych zajęć lekcyjnych — była szczególnie utrudniona, bowiem w budynku nadal trwa remont części pomieszczeń. Co prawda część boiska i plac apelowy miały być gotowe przed rozpoczęciem roku szkolnego — ale nie były. Rozwiązaliśmy więc sprawę w ten sposób, że dzieci z klas II do VII spotkały się z wychowawcami w klasach, a pierwszaki i ósmoklasiści, których chcieliśmy powitać szczególnie uroczyście, przybyły na oficjalne rozpoczęcie roku szkolnego do wypożyczonej na tę uroczystość sali Domu Kultury „Lodex". Dalsze zajęcia odbywały się już normalnie, choć utrudnia je trwający remont. Ma być zakończony do końca roku kalendarzowego. Ponadto — były trudności ze znalezieniem nauczyciela języka rosyjskiego (chyba już rozwiązaliśmy ten problem) i już szukamy zastępstw dla dwóch nauczycielek, które wkrótce odchodzą na urlopy macierzyńskie. Ale to są już zwykłe sprawy...

HALINA WITKOWSKA, zastępca kierownika sklepu „Cora" przy ul. Piotrkowskiej:

Tydzień był udany, ruch w sklepie spory, było czym handlować — zresztą my lubimy handlować i może dlatego zawsze jest coś atrakcyjnego? Nadal cieszyły się powodzeniem atrakcyjniejsze wzory letnich ubiorów, a ogromne kolejki ustawiały się po dziecięce piżamki i rajstopy.

Rozmawiała: TERESA JERZYKOWSKA

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Kiedy pielęgniarka otworzyła szafę, aby poszukać pidżamy, wypadła paczka. Oczom zdumionych sąsiadów ukazała się jej zawartość: złoty zegarek, biżuteria, spora ilość dentystycznego złota. Wstępny szacunek zawartości szafy nędzarza to kilka milionów złotych. Czy dziadek zapomniał o tym, czy chował skarb na czarną godzinę? — reportaż TERESY JERZYKOWSKIEJ pt. „Śmiertelna kąpiel dziadka".

— Podobno Don Juan uwiódł aż 2875 kobiet: w Hiszpanii — 1003, w Turcji — 901, we Włoszech — 640, w Niemczech — 231, we Francji — 100. Były wśród nich księżne, hrabiny, pokojówki, mieszczanki i włościanki. Podobnie włoski podrywacz Casanova brał kobiety z wszystkich stanów. W ciągu 40 lat miał w sumie 116 kochanek. Wymienia je w pamiętnikach po nazwisku — artykuł MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ.

— Wieczorem 16 sierpnia 1942 r. zakończyła się ostatnia tura rozmów radziecko-brytyjskich. Gdy Winston Churchill zaczął żegnać się ze Stalinem, ten nieoczekiwanie zaprosił gościa na poczęstunek do swego mieszkania. Po chwili obaj mężowie stanu znaleźli się w prywatnej rezydencji Stalina. Gospodarz i jego gość byli w dobrych humorach — artykuł PAWŁA SAMUSIA pt. „Dziesięć palców Józefa Stalina".

— Z Łodzi przewieziono mnie do Wrocławia, potem do osławionej Informacji w Warszawie, no i zaczęło się. Pisanie w nieskończoność własnego życiorysu, przesłuchania, pytania o konspirację. Nie byłem w stanie pojąć jak można ze mnie robić zbrodniarza — wspomina APOLONIUSZ ZAWIŁSKI, pisarz, emerytowany oficer Wojska Polskiego.

ze str. 1

gdzie nie dochodzą hałasy z ulicy, a hałas ze środka tego gmachu wychodzi gładko uczesany. Daje to szum informacyjny, który niczego nie załatwia oraz mało skuteczne działania.

Proszę zwrócić uwagę na to, co na VIII Plenum powiedział Wojciech Jaruzelski. My nie mamy ani w tej kadencji ani w poprzedniej uchwał, z których musielibyśmy się wycofywać, których musielibyśmy się wstydzić.

— Uchwały mamy rzeczywiście piękne.

— Ale najpiękniejsze mieliśmy za czasów Gierka. Zadałem sobie trud i sięgnąłem do niektórych. Piękne, ale z realizacją było, tak jak było. My też mamy dobre uchwały i też z realizacją ich mamy kłopoty. Na przykład reforma gospodarcza. Realizujemy ją już szósty rok i nie wychodzi.

— Kto za to odpowiada?

— Ci, którzy realizują słuszną w założeniach politykę w sposób nieskuteczny lub też ci, którzy słusznym poczynaniom ekonomicznym zakładają hamulce polityczne, które stępiają ostrze mechanizmów ekonomicznych.

— Kim oni są?

— Nie chodzi o to, aby konkretnych ludzi pokazywać palcem, ale żeby ujawnić działanie pewnych mechanizmów. Jest to bowiem określony system, który działa na wszystkich szczeblach. Niekiedy organizacje partyjne oceniają politykę ekonomiczną z punktu widzenia odbioru społecznego różnych decyzji i wiedzione obawą przed pogorszeniem atmosfery politycznej, włączają te hamulce, zakłócając tym samym działanie praw ekonomicznych leżących u podstaw proponowanych decyzji. Jeśli, na przykład powstają wówczas zaburzenia rynku, to mogą powodować jeszcze gorsze napięcia społeczne. To przecież błędne koło. Czy nie jest to forma tak potępianego woluntaryzmu?

— Kiedy pojawiają się napięcia i sytuacja staje się konfliktowa, to winnych szuka się zazwyczaj daleko od siebie.

— Na VIII Plenum KC PZPR — jak mi się wydaje — jedną z zasadniczych spraw była konfrontacja poglądów na temat odpowiedzialności. Doszło do podziału odpowiedzialności.

— Albo może byłoby lepiej powiedzieć: rozdziału?

— Można i tak. Zatem doszło do rozdzielenia odpowiedzialności politycznej za kierunki dalszych reform od odpowiedzialności za realizację, która spoczywa na rządzie. Przykładem tego był problem zamrożenia cen i płac. Była wokół tego ostra dyskusja. Niektórzy — ja również — utrzymywali, że to byłaby klęska dla reformy gospodarczej. Powstałby w każdym razie kolejny problem, jak wyjść na początku roku 1989 z zamrożonych cen i płac. Przedstawiono wszelkie zagrożenia i wątpliwości ale niczego rządowi nie narzucono. Rząd musi sam ponieść odpowiedzialność za swoją decyzję. I jak wiadomo rząd cen i płac nie zamroził.

— Jest to nowa praktyka i u niektórych ludzi budzi wątpliwości. Oni oczekiwali konkretnych *decyzji*. Chcieli, aby KC PZPR zmieniło rząd, albo *żeby dokonało zmian w składzie* Biura Politycznego i w Sekretariacie KC.

— Bośmy się do tego przyzwyczaili. Jeśli takich zmian nie ma, to mówią, że nic nie zrobiono. A przecież rząd powołuje nie KC PZPR, ale Sejm PRL. W uchwale VIII Plenum KC PZPR powiedziano wyraźnie, że „Komitet Centralny stawia do dyspozycji sejmowej komisji nadzorczej do spraw wdrażania reformy gospodarczej opinie i wnioski wynikające z obrad VIII Plenum. Zobowiązuje Klub Poselski PZPR do kierowania się nimi w ocenie pracy Rządu".

— Co to konkretnie znaczy?

— To znaczy, że przy koalicyjnym sposobie sprawowania władzy KC PZPR nie może powiedzieć że cofa votum zaufania rządowi, bo to — być może na wniosek Klubu Poselskiego PZPR — musi stać się na posiedzeniu Sejmu PRL. Członkowie PZPR zostali natomiast zobowiązani, aby w swoich ocenach i opiniach opierali się na wnioskach i uwagach wynikających z dyskusji na VIII plenarnym posiedzeniu KC PZPR. Przecież chodzi o to, aby działać poprzez członków partii a nie administracyjnymi decyzjami partii.

— Skąd bierze się takie oczekiwanie, że KC PZPR sam wszystko załatwi? W konsekwencji za pozostałych ludzi, czy to członków PZPR, czy bezpartyjnych, czy członków innych ugrupowań politycznych.

— Z konserwatyzmu w myśleniu i działaniu.

— Ale tenże konserwatyzm powoduje, że realizacja uchwał nie najgorzej przebiega na szczeblu centralnym, jakoś tam na wojewódzkim, już zupełnie źle na gminnym i całkowicie źle w podstawowych organizacjach.

— Z których zbyt wiele — zbyt mało robi. Mamy do czynienia z odwróconym porządkiem rzeczy. Nie można jednak pomijać faktu, że organizacje partyjne często są pod ogromną presją opinii społecznej, która — bywa — jest do nich nastawiona negatywnie. Ludzie to z trudem wytrzymują i trudno im się dziwić. Taki stan rzeczy paraliżuje myślenie, paraliżuje działanie, sprzyja postawom, według których najlepiej nie mieszać się do niczego.

— To co robić w takiej sytuacji?

— Trzeba używać wymuszonych środków, nadzwyczajnych zebrań, organizować specjalne dyskusje, wydawać polecenia, które biegłyby od góry do dołu.

— Czyli wymuszać zwarte, jednolite działanie?

— Tak. Takie działanie, które powinno charakteryzować partię.

— I to jest ten odwrócony porządek rzeczy?

— Oczywiście, bowiem naturalny porządek **rzeczy powinien być taki, że codzienne troski** społeczeństwa, znajdujące odbicie w pracy POP, trafiają poprzez wyższe instancje do KC i wpływają na jego uchwały tak, by w sposób naturalny znajdowało się w nich odbicie interesów **społeczeństwa. Znany jest żart z kabaretu Jana** Pietrzaka: „Program partii — programem narodu. A może by tak i odwrotnie". Jakaś prawda w tym żarcie jest.

— Jeżeli nie doprowadzimy do tego, że aktywność całej partii będzie wynikiem pracy POP, to te ostatnie — siłą rzeczy — będą zastępowane przez instancje partyjne, a ściślej, przez aparat partyjny. Nigdy nie wyjdziemy wówczas z zaklętego kręgu biurokratyzmu partyjnego. Władysław Markiewicz w „Nowych Drogach" wystąpił nawet z propozycją reaktywowania „struktur poziomych" jako sposobu na odrodzenie partii.

— Struktury poziome powstały z potrzeby, były sposobem działania partii wobec bezwładu komitetów oraz aparatu partyjnego przed IX Zjazdem. Sztucznie nie da się tego odbudować. Poza tym nikt do tej pory nie zrobił naukowej analizy tego fenomenu. Postarano się szybko o tym zapomnieć. W imię odcinania się od przeszłości, wskutek tego że w Toruniu i Katowicach doszło do wynaturzenia tej niecodziennej inicjatywy partyjnej, pogrzebano wszystko.

— I postarano się szybko o tym zapomnieć!

— A był to przecież autentyczny ruch bazy partyjnej, która szukała własnego uzewnętrznienia i wydaje mi się, że dla potrzeb naszych doświadczeń politycznych Akademia Nauk Społecznych, czy inna placówka naukowa, powinna wziąć się do solidnej analizy tego zjawiska. Wszystko to bowiem ginie, ucieka z pamięci.

— Dokumentów pewnie nie ma żadnych.

— Być może, ale chyba sporo by się znalazło. A dla autentyczności ruchu partyjnego w każdym środowisku przydałyby się wyniki tej analizy, aby już nie naśladować, ale szukać nowych rozwiązań na miarę istniejących potrzeb. Zasady działania organizacji partyjnych są jednoznacznie określone i nikt tego nie kwestionował i nie kwestionuje. Tylko że teraz zbyt często centralizm wymusza działanie organizacji partyjnych, kiedy już nie ma innego wyjścia, a powinno ono być autentyczne.

— Można powiedzieć, że sierpniowe strajki z 1988 roku miały też jakąś część przyczyn w słabości partii. Nikt przecież rozsądny nie będzie kwestionował, że zorganizowała je opozycja w oparciu o realnie istniejące i nie rozwiązywane konflikty.

— Uważam, co zresztą stwierdzono na VIII Plenum, że były to strajki polityczne wykorzystujące tło ekonomiczne. Gdyby nie było podłoża ekonomicznego nie byłoby pożywki dla strajków politycznych.

— Ale z tego coś przecież wynika?

— Owszem. Jeżeli w zakładach pracy nawarstwiają się problemy, których z niewiadomych przyczyn nie rozwiązuje dyrekcja, nie interweniują związki zawodowe (albo interweniują nieskutecznie), a także organizacja partyjna poprzez presję polityczną nie wymuszą rozwiązania tych spraw, które załatwiać można to jest to albo skandaliczna ignorancja, albo głupota, albo sabotaż polityczny. Jak patrzę na niektóre zjawiska i sprawy, to tej ostatniej możliwości też nie wykluczam. I — w moim przekonaniu — to też jest opozycja.

— Bez wątpienia destrukcyjna. Można zatem powiedzieć, że opozycja niejedno ma imię. Ale jak byśmy tego nie nazywali, to opozycja stała się trwałym elementem naszej rzeczywistości. Nie pomogą już żadne zaklęcia i egzorcyzmy. Co zatem z tym zrobić w przyszłości?

— W świetlanej przyszłości, w wyniku prawidłowego rozwoju cywilizacyjnego Polski, dojdziemy do takiego momentu, w którym opozycja przestanie istnieć, gdyż nie będzie w ogóle potrzebna, ani nie miałaby co krytykować.

— Dobry żart, ale to chyba bardzo odległa przyszłość. Nie wiem, czy nasze prawnuki tego doczekają.

— Mówmy więc o sytuacji istniejącej, w której opozycja jest. Chyba słuszne jest jej zróżnicowanie, podział na opozycyjność destrukcyjną i konstruktywną. Destrukcyjna — mówiąc lapidarnie — do historycznego śmietnika.

— Może to jednak zbyt duże uproszczenie?

— Powiedzmy więc inaczej: trzeba ją konsekwentnie i skutecznie zwalczać politycznymi metodami. Natomiast konstruktywną opozycyjność trzeba wykorzystywać do realizacji wspólnych celów, gdyż różnią nas sposoby działania, ale cel: dobro Polski jest wspólny. Optymalizacja metod osiągania celów politycznych czy gospodarczych nie jest możliwa bez dyskusji nad nimi, a nie ma rzeczywistej dyskusji bez różnicy poglądów. Różnica poglądów może wynikać z różnych przekonań, punktów widzenia, doświadczeń wiedzy, umiejętności przewidywania skutków analiz sytuacji, światopoglądów wreszcie. I mnie to nie przeszkadza, jeśli służy socjalistycznej Polsce. Konie różnej maści mogą tworzyć dobry zaprzęg i ciągnąć ten nasz wózek w tym samym kierunku.

— A co z drugą opozycją?

— Jest ona tym groźniejsza, że wewnętrzna i również niebezpiecznie destrukcyjna. Jeśli my całej partii nie przestawimy na tory reformatorskie, nie nauczymy myślenia nowoczesnego, nie nauczymy przystosowywania metod działania politycznego do zmieniających się warunków, to zawsze będziemy tworem skostniałym, nieelastycznym, który nie nadaża za życiem. A przecież musimy wyprzedzać rzeczywistość. Poza partią nie ma w Polsce innej siły politycznej, która byłaby w stanie pchnąć reformę na nowe tory. Wokół tej jedynej siły powinny koncentrować się wszelkie siły proreformatorskie, bo innej drogi po prostu nie ma.

— Ale ten proces unowocześnienia partii nie może się dokonać drogą wezwań i apeli. Trzeba zdawać sobie z tego sprawę, że to jest walka.

— Tak. Na przykład w uchwale VIII Plenum mówi się, że trzeba „zlikwidować pośrednie ogniwa w organizacji zarządzania, które nie znajdują uzasadnienia w warunkach reformy gospodarczej". To znaczy, że występujemy przeciw określonym interesom grupowym. Przecież te „pośrednie ogniwa" nie powstały same. Tam też pracują ludzie delegowani przez partię, są organizacje partyjne. To co — oni nie rozumieją swojej negatywnej roli w strukturze organizacyjnej naszej gospodarki? Reforma niesie z sobą zagrożenia dla jednostek i dla grup, gdyż odrzuca wszystko, co jej przeszkadza. A to znaczy, że trzeba odejść z dobrej posady, przekwalifikować się, stracić przywileje. Ludzie się będą przeciw temu bronili, w tym partyjni też.

— Można powiedzieć, że trudno się im dziwić.

— Ale nie wolno nikogo w ten sposób usprawiedliwiać. Wszystko co przeszkadza reformie jest destrukcyjne. A wszystko co w partii przeszkadza reformie musi ustąpić.

— W uchwale VIII Plenum KC PZPR jest stwierdzenie, że Komitet Centralny opowiada się za „realizacją tych inicjatyw, które wzbogacają model ruchu zawodowego w Polsce, wychodzą naprzeciw oczekiwaniom ludzi pracy, a zarazem nie prowadzą do podziałów, do odżywania walki politycznej w zakładach pracy". Czy to jest zapowiedź zgody na pluralizm związkowy?

— Dziś pod pojęciem „pluralizm związkowy" rozumie się zarejestrowanie „Solidarności", której nie ma, a która podobno jest. Wszystkie bramy strajkujących przedsiębiorstw obwieszone były transparentami z napisami „Solidarność". Powołano jakieś komitety, tego nie istniejącego związku. Czy mamy wracać do przeszłości? Jestem zdecydowanie przeciwny pluralizmowi związkowemu w takiej postaci i uważam, że nie ma żadnych sensownych powodów, aby w jednej fabryce były dwa związki zawodowe, bo nieuchronnie dojdzie do niezdrowej rywalizacji.

— Ale teraz narastające konflikty w zakładach pracy Śląska wykorzystał związek, którego nie ma, a nie związki które są.

— To zupełnie inna sprawa. To już dotyczy funkcji związku zawodowego, a nie struktury organizacyjnej. W każdej strukturze można działać dobrze albo słupio lub nierzetelnie. Związek zawodowy powinien działać w interesie grupowym i różnymi sposobami tego interesu bronić. Jeśli tego nie robi, to członkowie związku powinni pozbyć się takiego kierownictwa. Powinny istnieć takie mechanizmy wewnątrz związku zawodowego, aby kierownictwu zakładowemu nie opłacało się narażać swoim członkom i być wyrzuconym. Tak powinno być normalnie. My natomiast dyskutujemy o roli związków zawodowych w warunkach nienormalnych i stąd mogą powstać różne wnioski, nie zawsze racjonalne. Interes załogi jest niepodzielny, więc jego reprezentacja też. Takie przynajmniej jest moje zdanie w tej sprawie.

— W przedsiębiorstwach dochodzi i będzie dochodzić do konfliktów. Występuje przecież sprzeczność interesów między pracodawcami a załogą. Musi zatem istnieć system wczesnego ostrzegania, którego rolę na siebie powinny wziąć związki zawodowe. Gdy to w konflikcie zbiorowym nie pomaga, musi dojść do strajku. Procedura jego legalizacji jest prawie niemożliwa.

— Zgadza się. Mówił o tym na Plenum Alfred Miodowicz. Mówił o tym, że procedura powinna być uproszczona i trudno się z nim nie zgodzić. Mówił również o tym, jak długo trwała walka o odblokowanie Karty Górnika, chociaż ja jestem przeciwny wszelkim przywilejom. Płace powinny określać wyłącznie wyniki pracy, natomiast wynagrodzenie powinno być na tyle przyzwoite, by zapewnić godziwe warunki życia.

— Były swego czasu pewne wątpliwości, czy szef OPZZ powinien być członkiem Biura Politycznego KC PZPR. Czy po VIII Plenum KC wątpliwości te utrzymały się trudno powiedzieć

— Byłoby błędem zastanawiać się, czy szef OPZZ reprezentuje związki zawodowe w Biurze Politycznym, czy Biuro Polityczne w OPZZ. Natomiast jego wystąpienie na VIII Plenum wyraźnie pokazuje, że jego obecność w Biurze Politycznym nie przeszkadza mu w OPZZ.

— Ale, jak też z tego przemówienia wynika, związkom zawodowym nie pomaga. Miodowicz zaprezentował bogaty rejestr poczynań biurokratycznych, które utrudniają dość skutecznie życie związkom zawodowym.

— Niektórzy nawet oburzają się na stanowisko, jakie zajął Alfred Miodowicz w imieniu OPZZ na VIII Plenum KC PZPR, kiedy zgłosił votum nieufności wobec rządu. No, bo niby jak, do tej pory rząd i Biuro Polityczne KC PZPR były traktowane jako jedno ciało, a tu nagle — votum nieufności. A przecież jest to kolejny, jednoznaczny dowód rozróżniania odpowiedzialności osobistej wysokich funkcjonariuszy partyjnych, państwowych i związkowych oraz ich roli społecznej i politycznej.

— Czy można jakoś przewidzieć dalszy rozwój wypadków w Polsce po VIII Plenum KC PZPR? Trzeba je oczywiście rozgraniczyć do płaszczyzny politycznej, budowania porozumienia narodowego i gospodarczej.

— Jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, to za mało mamy realnych przesłanek, aby przewidywać. Mogę raczej przepowiadać. Zakładam, mimo występujących trudności, barier i zahamowań, dalszy postęp reformy gospodarczej. Myślę, że przed nami etap łamania tego wszystkiego, co stwarza przeszkody w postępie reformy gospodarczej. Chciałbym, aby jak najszerzej i najgłębiej działały prawa ekonomiczne. W moim przekonaniu obawy przed napięciami, jakie muszą występować przy wprowadzaniu reformy stają się silnym hamulcem, który nie zapobiega tym napięciom a tylko je wzmaga. Powstaje błędne koło. Musimy wyjść z tego koła.

Jeśli chodzi o problem opozycji, to nasza rzeczywistość nadal będzie dostarczała warunków dla działalności opozycyjnej. Trzeba więc w myśl zasady o podziale jej na konstruktywną i destrukcyjną umieć współdziałać z tą pierwszą i eliminować z życia politycznego tę drugą. Nie będzie to ani łatwe, ani proste, ale konieczne.

I trzecia dziedzina — polityczna, ale myślę, że tu chodzi głównie o partię. Musi ona znaleźć w sobie dość siły dla pełnej konsolidacji wokół nurtu proreformatorskiego. Kiedy wreszcie pojawią się skutki naszych reform, sądzę, że do partii znajdzie drogę młodzież o nowoczesnym sposobie myślenia, co w sposób naturalny, wraz z nieuchronnym upływem czasu, będzie eliminowało z partii te pozostałości dotychczasowego sposobu jej działania, które mają swe praźródło w latach 50. czy 60., są w swej istocie konserwatywne i hamują postęp.

— Ale na razie, po zakręcie roku 1980, mamy kolejny zakręt.

— Dla mnie to ciągle ten sam problem.

— Jak to, przez tyle lat?

— Bośmy w 1980 roku wjechali na serpentynę. Mam nadzieję, że ona się kończy.

31.08.1988

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Czy koniec tej serpentyny?

Foto: K. Turowski

ze str. 1

Między ideą a kamienną bryłą

— Ze swoimi pomnikami wszedł pan dość mocno w naszą historię. Właściwie najładniejsze pomniki wyszły z pańskiej pracowni. Ot, choćby Bohaterów Warszawy 1939—1945, czyli popularna Nike: ludzie z całego świata składają przed nią kwiaty.

— To jest ten pomnik, który można powiedzieć, przyniósł mi sławę.

— Nikt także przed panem nie chciał odtworzyć zburzonego Pomnika Grunwaldzkiego.

— Inicjatywa wyszła m.in. od prof. Wiktora Zina, od ówczesnego sekretarza KW PZPR w Krakowie — Józefa Klasy. Ja podjąłem się tego, poświęciłem na to dwa lata razem z moimi trzema asystentami. I dokonaliśmy tego.

— Pragnę zadać tyleż stereotypowe, co banalne pytanie: jak się ta pasja twórcza u pana zaczęła? Oczywiście może pan to zbyć żartem, mówiąc, że to nic trudnego, ot, bierze się kamień i odrzuca się to, co jest niepotrzebne. I tak powstaje rzeźba. Mnie chodzi o początki, o lata młodzieńcze.

— Myślę, że zaczęło się to od urodzenia. Zawsze była we mnie silna chęć zostania artystą. Najpierw chciałem być malarzem, ale gdzieś od 11—12 roku życia już miałem bardzo skrystalizowane poglądy na to, kim chcę być. Jakoś tak ułożyło się, że dano mi tę szansę, że po wojnie dla mojego pokolenia otwarło się wszystko. W 1946 roku zdałem „małą maturę" w Brzozowie, dawne powiatowe miasto na Ziemi Sanockiej.

— A rodzina? Nie chciała mieć syna lekarza, adwokata lub księdza?

— Rodzina bardzo popierała moje pragnienia. Ojciec był wójtem, działaczem chłopskim, miałem wujków i ciotki wykształcone. I oni mi pomagali, podtrzymywali, widząc, że jestem wybitnie ukierunkowany. A czy da pan wiarę, że w liceum byłem najlepszym matematykiem, a kiedy znalazłem się w Krakowie — po wyjeździe ze swego rodzinnego Jasionowa — dorabiałem lekcjami matematyki? Tak więc po „małej maturze" trafiłem do Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, które tu powstało w 1945 roku. Byłem jednym z pierwszych absolwentów. W 1948 roku zdałem maturę i wstąpiłem na wydział rzeźby w krakowskiej ASP. Studiowałem u Ksawerego Dunikowskiego, a także u Popławskiego. Dyplom robiłem u Dunikowskiego.

— Czy był pan „posłusznym" studentem?

— Raczej nie. Profesor Popławski mówił o mnie „krnąbrny student".

— Czy to znaczy, że profesorowie mówili swoje, a pan i tak miał swoje własne zdanie?

— Można byłoby to tak nazwać. Byłem pracowitym studentem, jeśli coś opuszczałem, to wykłady z przedmiotów teoretycznych.

— A czy nie było tak, że po otrzymaniu dyplomu, kiedy wyszedł pan za bramę uczelni, powiedział pan sobie: a teraz będę tak rzeźbić, jak ja to widzę i czuję?

— Nie, tak nie było. Ja już w czasie studiów rzeźbiłem tak jak widziałem i czułem. Akademia krakowska jest szkołą otwartą i wolną, a cała dydaktyka jest nastawiona na kształcenie indywidualne.

— Więc może był pan ulubieńcem pedagogów?

— O, nie. Należałem do czołówki, to fakt, ale żeby mnie specjalnie wyróżniano, to nie. Raz byłem lubiany, inny mrazem tępiony, bo się narażałem. Ja nie studiowałem dla dyplomu, prawdę powiedziawszy zrobiłem go byle jak. Bo mnie już interesowało co innego, a będąc na pierwszym roku studiów uczestniczyłem już w konkursach, zdobywałem nagrody, nawet w konkursach ogólnopolskich...

— Czy któryś z tamtych projektów został zrealizowany?

— Ani jeden.

— To dobrze czy źle? Jak pan ocenia to z perspektywy lat?

— Najistotniejszą dla mnie sprawą było być tam, porównywać się, zmierzać się. Dopiero później, kiedy stałem się samodzielny, to oczywiście zawsze mi zależało na tym, by zrobić taką rzecz, która byłaby realizowana.

— Pamięta pan swoją pierwszą zrealizowaną rzeźbę?

— Pierwszą moją rzeźbą z konkursu, która została zrealizowana, to pomnik Bohaterów Warszawy 1939—1945, popularna Nike. Miałem wtedy 29 lat.

— Panie profesorze, wróćmy do lat zaraz po dyplomie. Co pan robił jako artysta-rzeźbiarz?

— Dostałem stypendium i pojechałem na studia aspiranckie do Leningradu. Tam byłem cztery lata. Był to okres pracy nad sobą, pracy indywidualnej. Ta aspirantura to odpowiednik naszych studiów doktoranckich, jeśli w ogóle można mówić o studiach doktoranckich w dziedzinie rzeźby. Pracowałem jednak dużo, miałem tam własną pracownię. Po powrocie w 1958 roku do Krakowa zostałem zaangażowany w ASP na wydziale rzeźby. I od razu przystąpiłem do konkursu na projekt pomnika Bohaterów Warszawy. Tu trzeba przypomnieć, iż był to już kolejny konkurs, bo poprzedni nie zaspokoił oczekiwań organizatorów. Rozstrzygnięcie nastąpiło jesienią 1959 roku.

Foto: Adam Wojnar

— Pamięta pan jurorów?

— Nie wszystkich. Przewodniczącym był prof. Jan Szczepkowski, rówieśnik Ksawerego Dunikowskiego, ponadto ówczesny naczelny architekt stolicy Adolf Ciborowski, ówczesny przewodniczący Stołecznej Rady Narodowej generał Zarzycki...

— Gdzie zastała pana wiadomość, że pański projekt zwyciężył?

— W Krakowie. Dowiedziałem się o tym z radia.

— Od tego momentu zaczął się pański zawrotny triumf?

— To nie szło tak łatwo: konkurs został rozstrzygnięty jesienią 1959 roku, a pomnik odsłonięto dopiero w 1964. Losy jego się ważyły i w końcu z mojego projektu został tylko fragment. Dzisiejsza Nike, może pan zauważył, nie jest tam dobrze wkomponowana, bowiem cała część aranżacji nie przeszła przez komisję. Sama Nike była głównym fragmentem całości, była niczym sztandar powiewający nad resztą składającą się z dużych ścian oporowych budowanych jako interpretacja barykad z elementami rzeźbiarskimi. W skrócie była to historia walk od 1939 do 1945 roku. Pomnik w zasadzie był poświęcony bohaterom powstania warszawskiego, ale polityka się zmieniała i dziś jest symbolem „Tej, która nie zginęła", czyli Warszawy. Wie pan, wówczas moje założenie było słuszne, sprawdziło się. Pisałem wtedy — bowiem do każdego konkursu oprócz modelu w odpowiedniej skali, fragmentów w skali 1:1, innych architektoniczno-urbanistycznych przekroi — jest wymagany opis ideowy i techniczny. W tym opisie zawarłem myśl, że chciałbym stworzyć taki obraz, który byłby łatwy do zapamiętania i który raz ujrzany wszedłby do ludzkiej, społecznej, narodowej wyobraźni. To się sprawdziło. Ten pomnik jest dziś szeroko znany.

— Trudno sobie wyobrazić Warszawę bez pańskiej Nike.

— Istotnie, ma pan rację. On robi wrażenie nie tylko na nas, Polakach, ale i na obcokrajowcach. Ma swoją, dość polską, emocjonalną siłę wyrazu. Tak więc to był pierwszy pomnik, który udało mi się zrealizować. Stałem się od razu sławnym, człowiekiem z pierwszych stron gazet. Więc trzeba było utrzymać tę pozycję. A co to znaczy? Trzeba było po prostu pracować.

— Potem brał pan udział w wielu jeszcze konkursach. Proszę powiedzieć z ręką na sercu: przegrywał pan?

— O, tak, przegrywałem. Na każdym konkursie wprawdzie otrzymywałem jakąś nagrodę, ale z realizacją nie było tak prosto. Następny mój pomnik — to Maria Skłodowska-Curie, rok 1964. Tak więc w jednym roku postawiłem dwa pomniki. Potem wygrałem regionalny konkurs w Rzeszowie, konkurs na pomnik Lenina w Krakowie. Ostatni konkurs, który wygrałem, to był w Algierze w 1981.

— Słyszałem, że to rzecz monumentalna...

— Do tego konkursu zostałem zaproszony przez rząd prezydenta. Był to konkurs międzynarodowy, zamknięty. I udało się. Mój pomnik stał się od razu symbolem nie tylko miasta, ale całej Algierii. To olbrzym, 95 metrów wysoki. Są to trzy stylizowane gałęzie palmowe wznoszące się niczym świątynia, zakończone trzema postaciami bohaterów z trzech epok walczących o niepodległość. Pod spodem znajduje się muzeum, krypta, wieczny ogień. Ten pomnik stał się tak charakterystyczny, tak trafiający do wyobraźni, że stał się niejako herbem tego miasta. Pojawił się nawet na różnych opakowaniach, na pojemnikach, na taksówkach, na mleku. No i stałem się niejako bohaterem algierskim. Przebywałem tam prawie sześć lat z przerwami. Potem otrzymałem kolejne zlecenie na pomnik ich bohatera narodowego pierwszych walk kolonialnych Abdel Kader. Zrobiłem tam w Algierze szereg rzeczy, a Polacy tam mieszkający nazwali mnie algierskim Matejką.

— Jaki kraj potrzebuje jeszcze rzeźb narodowych w wykonaniu Mariana Koniecznego?

— Nie mam takich ambicji, ale gwoli ścisłości muszę powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych jest także pomnik mojego pomysłu — to Tadeusz Kościuszko w Filadelfii.

— Na koniu, z szablą skierowaną na wroga?

— Nie, zupełnie inny niż bywa przedstawiany w Polsce. Stoi zadumany, w mundurze armii amerykańskiej. Jest to dar narodu polskiego dla narodu amerykańskiego w dwusetną rocznicę niepodległości USA.

— Chciałbym powrócić do sprawy Pomnika Grunwaldzkiego, o którym zaledwie wspomnieliśmy. Interesuje mnie sposób jego odtworzenia, bo wiadomo powszechnie, że Niemcy zniszczyli go całkowicie.

— Niemcy go rozebrali i zniszczyli. Zostało część kamieni z cokołu, została głowa Witolda przechowana przez ludzi, którzy z narażeniem życia ją ukradli i zamurowali w piwnicach Muzeum Narodowego. A więc jak myśmy do tego doszli, aby całość zrekonstruować? Oczywiście były zdjęcia, ale na ich podstawie jest bardzo trudno odtworzyć przedmiot. Więc pojechaliśmy z profesorem Wiktorem Zinem do Paryża. Tam jego przyjaciel architekt, pochodzący jak i Zin z Hrubieszowa, wywąchał, że mieszka w Paryżu córka jednego z trzech rzeźbiarzy dawnego pomnika Antoniego Wiwulskiego. Nad pomnikiem razem z Antonim Wiwulskim pracowali Bolesław Bałzukiewicz i Franciszek Black. Wiwulski, gruźlik, zmarł jeszcze przed wojną, wkrótce potem Bałzukiewicz, a Black w Paryżu po zakończeniu ostatniej wojny. Została po nim pracownia, którą opiekuje się jego córka Maja Black. Pojechaliśmy do niej, bo tam znaleziono model Pomnika Grunwaldzkiego w skali 1:10. Okazało się jednak, że skala nie jest precyzyjna i model także. Przypuszczam, że Franciszek Black wykonał go już po zniszczeniu przez Niemców pomnika. Dlaczego tak twierdzę? Otóż model robił człowiek stary, co było od razu widać, a ja się na tym znam. Jednak kupiliśmy ten model, bo przecież to jakieś polonicum. Ale szperając w tej pracowni znaleźliśmy rysunek na kartonie, rysunek jednej fasady, na której było podane parę wymiarów w centymetrach. To było bardzo ważne. Wymiary sprawdziliśmy z kamieniami, które ocalały. Zgadzało się. Potem już łatwo udało się zrekonstruować resztę.

— Niektórzy twierdzą, że twarz Władysława Jagiełły na pomniku, to twarz Mariana Koniecznego.

— To nieprawda. Natomiast rzeźby na pomniku trzeba było samemu komponować, bo na modelu Franciszka Blacka one nam się nie zgadzały. Tak więc rzeźby mają pewne korekty. Dzisiejsze rzeźby w relacji do cokołu są większe niż te, które były. Tamte robiły wrażenie przylepionych do góry kamieni. Te większe tworzą relację współgrającą, nie dominuje cokół. Jagiełło jest inny, inaczej siedzi. To wzniesiony w strzemionach król-zwycięzca wracający do stolicy ze zwycięskiej wyprawy. Jest tam jeszcze jeden ciekawy szczegół: otóż jest tam m.in. postać chłopa zrywającego kajdany. Ludzie pamiętający stary pomnik wiedzą, że był wówczas tam chłop-oracz z pługiem. Ale na zdjęciach, zrobionych może w 1910 roku, może trochę później, jest chłop zrywający kajdany.

— Czyli w jakimś momencie wkroczyła polityka.

— Tego, kiedy to zmieniono, nikt dotąd nie wie. Nikomu nie udało się dociec, jak to się stało i w jakich okolicznościach.

— Jest pan nie tylko sławnym rzeźbiarzem, ale i pedagogiem, wychowawcą młodzieży. Proszę zatem powiedzieć, czy widzi pan swojego następcę wśród studentów? A może drugiego Mariana Koniecznego?

— Mam zdolnych uczniów, jeden z nich Bogusz Salwiński wygrał konkurs na pomnik Bohaterów Powstania Warszawskiego.

— Zapewne czuje pan satysfakcję, iż wychował pan kogoś, kto będzie godnie kontynuował pańskie dzieło, choć będzie je tworzył na miarę własnej wyobraźni i talentu.

— Oczywiście, to naprawdę ogromna satysfakcja. Jestem pedagogiem od 1958 roku i wielu moich wychowanków jest dziś szeroko znanych.

— Kiedyś rozmawiając z Władysławem Hasiorem, zapytałem go, czy nie czuje się szamanem tworząc swój udziwniony i pasjonujący świat. Zaprzeczył. A przecież każdy twórca ma coś w sobie, czego nie mają inni ludzie. Pan także.

— Hasior to szaman czystej rasy. A ja jestem w porównaniu z nim staroświecki, sam z siebie wykuwam i tworzę. Natomiast on z różnych przedmiotów buduje niezwykłe wizje. To superimpresjonista.

— A jak jest naprawdę z tym odrzucaniem z kamienia rzeczy niepotrzebnych, by uzyskać rzeźbę?

— Trzeba mieć wizję, bez tego nic nie będzie. Ja więc noszę wizję w sobie nim zacznę ją kreować. Wizja zawsze jest idealniejsza niż jej materialna realizacja. Tak jest ze wszystkim: z pisaniem, komponowaniem, z kobietami. I to jest życie, które składa się ze wzlotów i upadków.

— Czy wizja, którą pan nosi w sobie a potem nadaje jej kształt materialny, zawsze zadowala pana? Czy też w gniewie, w irytacji, że coś nie wychodzi, niszczy pan dzieło własnych rąk, by po raz kolejny próbować urzeczywistnić ów nieuchwytny i piękny obraz zrodzony w wyobraźni?

— Oczywiście, nieraz kilkanaście razy. Może pan zobaczyć to na przykładzie projektu pomnika Jana Matejki: już mam szóstą wersję.

— Czy wszystko, co pan stworzy, podoba się panu, wszystkim jest pan zachwycony, ze wszystkiego zadowolony, czy też jest pan krytyczny wobec własnego dzieła i może je pan bez żalu zniszczyć, jeśli nie odpowiada temu, co powstało w pańskiej wyobraźni?

— Tej sprawie poświęciłem nawet cały cykl rzeźbiarski noszący nazwę „Dedal i Ikar". To idea wzlotu i upadku. Oderwać się, wzlecieć! A to nie zawsze się udaje. Każde dzieło to suma wzlotów i upadków jego twórcy. Rzeźba jest charakterystycznym potwierdzeniem tej zasady: między lotną ideą a ciężką bryłą jest szalony kontrast.

— I odległość, panie profesorze.

— Oczywiście: i odległość.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Z tej ziemi

Toast Józefa Stalina

Jan Dobraczyński w swoim apelu przypomniał, że w 1989 roku minie 50 lat od wybuchu drugiej wojny światowej. Nie lubię wprawdzie „rocznicowej publicystyki", gdyż problemy zasługujące na uwagę można poruszać zawsze, ale niemniej rożne rocznice sprzyjają podejmowaniu niektórych tematów. Tak jest i teraz, choć dopiero mija 49 rocznica wybuchu drugiej wojny światowej. Jest to jednak problem dla Polaków dość bolesny, straciliśmy niepodległy byt zaledwie w 20 lat po jego odzyskaniu. Ciągle nas nurtuje więc pytanie: dlaczego tak się stało? Jakie o tym zadecydowały przyczyny? Wiele już o tym napisano, wiele jeszcze trzeba jednak wyjaśnić.

Ostatnio w Związku Radzieckim ukazało się kilka publikacji, których nie można pominąć, gdyż wnoszą sporo nowego do spraw pozornie już dobrze znanych. Chodzi mi o artykuł H. Arumiae w estońskiej gazecie „Rahva Haal" i wypowiedź W.H. Kulisza dla „Komsomolskiej Prawdy". W obu tych materiałach znalazło się sporo mało znanych faktów wartych odnotowania. H. Arumiae opublikował tekst „tajnego protokołu" do paktu zawartego w Moskwie 23 sierpnia 1939 roku, na którym widniały podpisy Joachima von Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa. „Tajny protokół" znajduje się ponoć w archiwum MSZ w Bonn, a po raz pierwszy był opublikowany jako dokument przedstawiony Międzynarodowemu Trybunałowi w Norymberdze. Przedstawił go obrońca Rudolfa Hessa, ale Trybunał odrzucił dokument. W Związku Radzieckim wielekroć zaprzeczano istnieniu „tajnego protokołu". Niektórzy wątpią w jego autentyczność. H. Arumiae pisze, że dokument był *„sporządzony w pośpiechu i powielony na kiepskiej maszynie wraz z błędami przy pisaniu. Odnosi się wrażenie, iż Mołotow i Ribbentrop podpisywali nie specjalnie przygotowane porozumienie, lecz niedbale naszkicowany projekt"*. Dokument ten dotyczył rozgraniczenia wpływów obu mocarstw. W punkcie drugim stwierdzał:

„2. W przypadku terytorialnej i politycznej rewizji terytoriów należących do Polski granica strej wpływów Niemiec i ZSRR przebiegać będzie w przybliżeniu wzdłuż rzek: Narwi, Wisły i Sanu.

Kwestia, czy odpowiadać będzie interesom obu stron zachowanie niezawisłego państwa polskiego i jakie powinny być jego granice, może być ostatecznie wyjaśniona w zależności od dalszego rozwoju politycznego. W każdym przypadku oba rządy będą rozstrzygać dany problem drogą przyjacielskiego uzgodnienia."

A przecież dla obu rządów było jasne, że wojna Niemiec z Polską jest tylko kwestią czasu. Adolf Hitler w telegramie do Józefa Stalina stwierdził otwarcie: *„każdego dnia może dojść do kryzysu"*. Józef Stalin nie zwlekając zgodził się na przyjazd Joachima von Ribbentropa do Moskwy a na przyjęciu wydanym na jego cześć powiedział:

— Ponieważ naród niemiecki tak kocha swojego Führera, wypijmy za jego zdrowie!

28 września 1939 roku podpisano układ o przyjaźni i granicach między Niemcami i ZSRR. Natomiast Wiaczesław Mołotow przemawiając w Radzie Najwyższej ZSRR powiedział:

— Wystarczyło krótkie uderzenie na Polskę najpierw ze strony armii niemieckiej, a następnie Armii Czerwonej, żeby nic nie zostało z tego bękarta traktatu wersalskiego.

Dokonał się w tym czasie nagły zwrot w radzieckiej polityce zagranicznej, który już wówczas oburzał wielu ludzi w ZSRR. Na XVII Zjeździe WKP(b) 26 stycznia 1934 roku Józef Stalin tak określił faszyzm w Niemczech:

„...zwycięstwo faszyzmu w Niemczech należy rozpatrywać nie tylko jako objaw słabości klasy robotniczej i wynik zdrad, popełnionych wobec klasy robotniczej przez socjaldemokrację, która utorowała drogę faszyzmowi. Zwycięstwo faszyzmu należy rozpatrywać również jako objaw słabości burżuazji, jako objaw tego, że burżuazja nie jest już w stanie sprawować władzy za pomocą starych metod parlamentaryzmu i demokracji burżuazyjnej, wskutek czego zmuszona jest uciekać się w polityce wewnętrznej do terrorystycznych metod rządzenia — jako objaw tego, że nie jest już ona w stanie znaleźć wyjścia z obecnej sytuacji na podstawie pokojowej polityki zagranicznej, wskutek czego zmuszona jest uciekać się do polityki wojen."

W marcu 1939 roku na XVIII Zjeździe WKP(b) Józef Stalin określił politykę zagraniczną ZSRR. Powiedział wtedy między innymi:

„3. Stoimy na stanowisku popierania narodów, które padły ofiarą napaści i walczą o niepodległość swej ojczyzny."

Podpisanie 23 sierpnia 1939 roku — w 5 miesięcy po określeniu zasady popierania napadniętych narodów — paktu przez Wiaczesława Mołotowa i Joachima von Ribbentropa było pogwałceniem tej zasady i jawnym jej zaprzeczeniem. To przecież nie Polska napadła na Niemcy, ale było odwrotnie. Poparcie należało się więc Polsce a nie Niemcom. Poza tym na XVIII Zjeździe WKP(b) Józef Stalin wyraźnie mówił o popychaniu Niemców na ZSRR: *„zacznijcie tylko wojnę z bolszewikami, dalej wszystko pójdzie gładko"*.

Historycy wielekroć powtarzali tezę o pomocy wojsk radzieckich, jakiej chciano udzielić najpierw rozbieranej Czechosłowacji, a następnie Polsce. W świetle opublikowanych dokumentów i relacji historyków radzieckich trzeba dziś inaczej spojrzeć na tę tezę. „Stalinowskie czystki" tak osłabiły Armię Czerwoną, że poniosła ona wielkie straty w wojnie z Finlandią. Natomiast W.M. Kulisz — w wywiadzie udzielonym „Komsomolskiej Prawdzie" — ujawnił, że wówczas *„brakowało doktryny wojennej"*. Istniejąca powstała w latach dwudziestych i była przestarzała. Zakładała ona, że *„Związek Radziecki miał prowadzić wojnę na obcym terytorium, ponosząc małe straty, przy czym wojna miała być przekształcona w wojnę światowego proletariatu ze światową burżuazją"*. W myśl tej doktryny więcej niż połowę środków militarnych zgromadzono w pobliżu granicy. W 1941 roku — jak utrzymuje W.M. Kulisz — *„znaczna część tych zasobów albo została zniszczona, albo też dostała się w ręce przeciwników już w pierwszym tygodniu wojny"*. Ale to było później.

Józef Stalin bał się wojny. W referacie na XVIII Zjeździe WKP(b) mówił wprawdzie:

„4. Nie boimy się gróźb ze strony napastników i gotowi jesteśmy odpowiedzieć podwójnym ciosem na każdy cios podżegaczy wojennych, usiłujących pogwałcić nietykalność granic radzieckich."

Ale też przestrzegał:

„2. Zachować ostrożność i nie pozwolić, aby prowokatorzy wojenni, przywykli do wyciągania cudzymi rękami kasztanów z ognia, wplątali nasz kraj w konflikty."

Zmieniwszy w praktyce politykę zagraniczną wbrew temu, co mówił na XVIII Zjeździe WKP(b), stał konsekwentnie na stanowisku przestrzegania porozumienia z hitlerowskimi Niemcami. Oświadczył publicznie, że *„przyjaźń narodów Niemiec i Związku Radzieckiego, umocniona i zroszona krwią ma wszelkie podstawy, aby stać się trwałą i mocną"*. Propaganda radziecka w tym czasie uznawała Niemcy za kraj miłujący pokój i dążący do pokoju, a agresorami wojennymi uznawano wówczas... Anglię i Francję.

17 września 1939 roku ZSRR ogłosił neutralność w wojnie między Polską i Niemcami, ale 19 września 1939 roku ukazał się wspólny komunikat, w którym stwierdzono, że zadaniem wojsk niemieckich i radzieckich jest *„przywrócenie pokoju i porządku"* naruszonego upadkiem państwa polskiego. Tym samym — mówi W.M. Kulisz — ZSRR stał się sojusznikiem Niemiec w wojnie z Polską. I dopiero 22 czerwca 1941 roku sytuacja uległa radykalnej zmianie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Środkowe Wybrzeże: jeśli chcemy, aby tu przyjeżdżali turyści z Norwegii i Szwecji, to trzeba im coś atrakcyjnego zaproponować.

Nowość-plaża w ajencji

MAREK BŁASZKOWSKI

— *Chcemy, żeby nasza turystyka była na miarę XXI wieku* — mówią w Urzędzie Wojewódzkim w Słupsku. — *Planujemy stworzenie strefy wolnocłowej, budowę hoteli, basenów, kasyn gry.*

Przymykam oczy. Widzę schodzące do morza tarasy luksusowych hoteli, baseny z podgrzewaną wodą, piękne kelnerki roznoszące lekkie alkohole. Szkoda tylko, że to wszystko dla Szwedów i Norwegów. Ale trudno, skoro nie potrafimy uzyskać dewiz za towary, może naprawdę lepiej będzie, jeśli obcokrajowcy przyjadą tutaj, by nam zostawić wymienialne pieniądze.

Otwieram oczy.

Autobus linii „10" pokonuje 18-kilometrową odległość między Słupskiem a Ustką w ciągu czterdziestu minut. Zawrotne tempo. Nie powinienem narzekać. Dobrze, że w ogóle wsiadłem. Jadę przyciśnięty do drzwi. Na jednej mojej stopie stoi plecak. Na drugiej od czasu do czasu staje gruba pani tuląca do siebie dwoje dzieci. Grupa marynarzy otwiera piwo. Jedna kolejka, druga, trzecia. Już za okno poleciała butelka. Nastrój robi się familiarny.

— Ci *przyjezdni wyżerają nam wszystko* — mówi gruba pani — *od tygodnia jem tylko baraninę.*

— *A gdzie pani kupiła baraninę, bo ja lubię* — zapytała okrągła blondyna i przytuliła się do mnie tak mocno (akurat weszliśmy w zakręt), że czuję jak mi coś chrupnęło w prawej kieszeni. To przeciwsłoneczne okulary. Niepotrzebnie je tam schowałem.

— *Żeby to chociaż była dobra baranina.*

— *Dla Polaka dobry jest tylko schabowy* — ironizuje pan o bladej twarzy.

— *A dlaczego nie ma żółtego sera ani soli?* — gruba pani wciąż marudzi.

— *Chcemy, żeby nasza turystyka była na miarę XXI wieku* — mówią w Urzędzie Wojewódzkim w Słupsku. — *Planujemy stworzenie strefy wolnocłowej, budowę hoteli, basenów, kasyn gry.*

Przymykam oczy. Widzę schodzące do morza tarasy luksusowych hoteli, baseny z podgrzewaną wodą, piękne kelnerki roznoszące lekkie alkohole. Szkoda tylko, że to wszystko dla Szwedów i Norwegów. Ale trudno, skoro nie potrafimy uzyskać dewiz za towary, może naprawdę lepiej będzie, jeśli obcokrajowcy przyjadą tutaj, by nam zostawić wymienialne pieniądze.

Otwieram oczy.

Autobus linii „10" pokonuje 18-kilometrową odległość między Słupskiem a Ustką w ciągu czterdziestu minut. Zawrotne tempo. Nie powinienem narzekać. Dobrze, że w ogóle wsiadłem. Jadę przyciśnięty do drzwi. Na jednej mojej stopie stoi plecak. Na drugiej od czasu do czasu staje gruba pani tuląca do siebie dwoje dzieci. Grupa marynarzy otwiera piwo. Jedna kolejka, druga, trzecia. Już za okno poleciała butelka. Nastrój robi się familiarny.

— Ci *przyjezdni wyżerają nam wszystko* — mówi gruba pani — *od tygodnia jem tylko baraninę.*

— *A gdzie pani kupiła baraninę, bo ja lubię* — zapytała okrągła blondyna i przytuliła się do mnie tak mocno (akurat weszliśmy w zakręt), że czuję jak mi coś chrupnęło w prawej kieszeni. To przeciwsłoneczne okulary. Niepotrzebnie je tam schowałem.

— *Żeby to chociaż była dobra baranina.*

— *Dla Polaka dobry jest tylko schabowy* — ironizuje pan o bladej twarzy.

— *A dlaczego nie ma żółtego sera ani soli?* — gruba pani wciąż marudzi.

Czy rzeczywiście występują braki w zaopatrzeniu?

Tak. System rozdzielnictwa, jak to się eufemistycznie określa *„nie do końca uwzględnia potrzeby turystyki"*. Województwo słupskie liczy 400 tysięcy mieszkańców. Najazd turystów prawie podwaja tę liczbę. To sprawia, że komunikacja i handel pękają w szwach. Choć prawdę mówiąc najdłuższe kolejki, jakie widziałem w nadmorskich miejscowościach, ustawiały się do sklepów monopolowych. Wczasowicze nie korzystają ze sklepów spożywczych. Mają swoje stołówki.

Najlepszym sposobem ominięcia rozdzielnika jest rozbudowa *„trzeciego sektora"*. Trzeci sektor zawsze sobie poradzi. Dlatego np. trzy czwarte sezonowych placówek gastronomicznych i ponad jedna trzecia handlowych jest w rękach prywatnych.

Na główną ulicę Ustki, gdzie są budki, a w nich lody, gofry, frytki i gdzie jest mnóstwo kin wideo, podjeżdża samochód z poznańskiego. Kierowca wystawia na chodnik skrzynki z jabłkami. Cena o pięćdziesiąt złotych niższa niż w pobliskim kiosku owocowo-warzywnym. Właściciel kiosku reaguje natychmiast.

— *Spadaj stąd, bo jak nie, to ci potniemy plandekę!*

Kierowca z poznańskiego rejteruje, by szukać pomocy u komendanta miejscowego posterunku MO.

Czy dużo jest takich wypadków? Okazuje się, że sporo. Władze miasta patrzą jednak na walki między „prywaciarzami" miejscowymi a przyjezdnymi jak na przejawy zjawiska ogólnie korzystnego — konkurencji. Przyjezdni mają lepszy towar. No a poza tym zbijają ceny.

Władze województwa patrzą na sprawę jeszcze inaczej. Marzy im się prywatny handel i prywatny przemysł turystyczny na miarę XXI wieku, a tymczasem obecny jest *„jakby żywcem wyjęty z epoki manufaktury"*. Moim zdaniem z epoki wcześniejszej niż manufaktura, ale nie kłóćmy się o drobiazgi.

— *Musimy zacząć od budowy hotelu czterogwiazdkowego w Słupsku. Wtedy inni będą musieli podnosić swój poziom, zaczną się porównywać. Na początek jest nam potrzebny hotel na poziomie „Mrągowii".*

Gdzie można przenocować?

Najwięcej ludzi korzysta ze zorganizowanego wypoczynku. W gminie Ustka jest 79 ośrodków wczasowych i 70 ośrodków dla dzieci i młodzieży. Wbrew temu co się mówi o panującej na wczasach drożyźnie i o spadku zainteresowania tą formą wypoczynku bardzo trudno jest znaleźć wolne miejsce.

Jeden z ośrodków o najwyższym standardzie to łódzka „Włókniareczka" — ośrodek zakładów im. Juliana Marchlewskiego. Nocleg dla osoby „niezorganizowanej" kosztuje 1300 zł. za dobę. Ale wolnych miejsc nie ma. Trzeba się o nie pytać już w lutym. „Włókniareczka" znajduje się w kompleksie wypoczynkowym „Włókniarz" należącym do Federacji Związków Zawodowych Przemysłu Lekkiego. Kompleks zawiera kort tenisowy, boisko, kawiarnię. Ma własne zejście na plażę.

Ośrodki wczasowe są to jednak własne inwestycje zakładów pracy z terenu całej Polski. Co oferuje gmina? Przede wszystkim pięć tysięcy miejsc w pokojach gościnnych. Jedna doba kosztuje 700—800 zł. We wrześniu można się spodziewać obniżki cen, gdyż wtedy około 60 proc. miejsc będzie wolne. Wczasy z zakwaterowaniem w pokojach gościnnych organizuje Miejsko-Gminny Ośrodek Sportu i Rekreacji w Ustce. Ostatnio wyrastają mu konkurenci w postaci prywatnych biur turystycznych. Największym potentatem jest biuro „Tebos" z Warszawy.

— *To niesprawiedliwe* — tłumaczy mi dyrektor MGOSiR — *żeby zarabiali ludzie, którzy nie poczynili w tym rejonie żadnych inwestycji. Prywatne biura wykorzystują pokoje gościnne wybudowane z naszych materiałów. I na dodatek jeszcze płacą podatki w Warszawie. Region nic na tym nie zarabia. Zresztą biura prywatne obiecują złote góry, choć tak naprawdę oferują niewiele.*

W drugiej połowie lipca i pierwszej sierpnia 1988 roku w pokojach gościnnych nie ma miejsc. Żeby przenocować „na dziko" trzeba przyjechać trochę później. Pozostają jeszcze pola namiotowe. Na polu namiotowym w Ustce mieszka pięćset osób. Jest trochę miejsc. Ostatnio nie było pogody i to dlatego. Zresztą namiot można rozbić gdziekolwiek. Widziałem namioty rozbite wzdłuż dróg i przy chłopskich zagrodach.

Z Ustki do Rowów jest około 20 kilometrów. Obok przystanku PKS stoi tablica informacyjna. Wreszcie będzie można porządnie zorientować się w terenie! W Ustce bardzo dokuczał mi brak informacji. Patrzę więc na tablicę. W legendzie wypisane osiemdziesiąt parę numerów. Na planie można dojrzeć tylko kilka. Ulice nie mają nazw.

Jak wyglądają Rowy?

Są brudne. Kiedy nie pada, z jezdni unoszą się kłęby kurzu. Śmieci wysypują się z pojemników. Drogi straszą popękaną nawierzchnią.

Co denerwuje turystów? Przede wszystkim kolejki. I 10 procent dodatku do ceny każdego produktu. Denerwują też przerwy w pracy sklepów. Najbardziej bulwersującą sprawą jest jednak fakt przekazania od tego roku plaży w ajencję.

Rozmawiam z ajentem plaży w Rowach, panem Zajączkowskim. Pod jego zarządem znajduje się w tej chwili cały kompleks składający się z plaży, dyskoteki „Tahiti", kortu tenisowego, parkingu z minipolem namiotowym.

— *W 1987 roku dochód z plaży wyniósł 1.8 mln, przy kosztach nie mniejszych niż 5 mln. Podjąłem więc pewne ryzyko. Wszystko zależy od pogody. W sezonie zatrudniam 20–23 ratowników. Obsługa ratownicza jest najdroższa.*

Odcinek plaży przekazany w ajencję wynosi 2,5 km. Tyle jest do sprzątania. Plaża strzeżona jest oczywiście o wiele mniejsza. Składa się z pięciu sektorów. Przepisy wymagają, by na każde 100 m plaży strzeżonej przypadało trzech ratowników. Jak idzie interes? Kiepsko. Nie ma pogody. Żeby tylko nie powtórzyła się sytuacja z 1987 roku, kiedy było tylko 12 słonecznych dni. Dodać należy, że plaża w zeszłym roku nie była w ajencji. Dopiero w tym roku zdecydowano się zaeksperymentować.

Są kłopoty? Pewnie, że są. Na ajenta wszyscy patrzą podejrzliwie. Sanepid gości na plaży co dwa, trzy dni. A co z tym nakazem orania? Przede wszystkim to się nazywa bronowanie. I jest niezbędne. Turyści mają zwyczaj zakopywania śmieci w piasku i tylko brona może je stamtąd wyciągnąć.

— Dlaczego pan nie inwestuje w plażę — pytam — turyści skarżą się, że oferuje im pan tylko gołe piasek.

Okazuje się, że umowa została podpisana tylko na rok. Nie opłaca się inwestować. Ponadto jeszcze wysokie podatki zniechęcają do szastania pieniędzmi. Ogólna suma płac w sezonie wynosi 4 mln. Od tego 20 proc. podatku. Jeszcze podatek od wynagrodzenia ajenta. Nie mówiąc o odpłatności na rzecz Miejsko-Gminnego Ośrodka Sportu i Rekreacji.

— Zamierza więc pan zrezygnować?

— *Nie* — pan Zajączkowski uśmiecha się. — *W przyszłym roku, jeśli będzie można, spróbuję jeszcze raz.*

A na plaży turysta szwedzki bardzo długo i starannie przygotowuje windsurfing. Wreszcie wszystko jest gotowe i Szwed chce ruszyć w morze. Podbiega do niego ratownik. Pokazuje, że nie wolno. Przez chwilę rozmawiają na migi. Szwed rozkłada bezradnie ręce, jakby pytał, co robić? Ratownik pokazuje w stronę plaży nie strzeżonej. Nieporozumienie zostaje wyjaśnione. Szwed wyrusza na plażę nie strzeżoną, i może do woli pływać na swoim windsurfingu.

Kiedy przyjechałem akurat utopił się student z Wrocławia. Utopił się na plaży nie strzeżonej. To był pierwszy dzień jego pobytu. Poszedł się wykąpać na przywitanie. Drugi student został na brzegu. Pilnował ubrania. Patrzył jak kolega się kąpie. Potem patrzył jak kolegę przykrywa fala. Długo patrzył. W końcu zabrał rzeczy i poszedł na milicję.

Czy Rowy były pierwsze? Nie. Pierwsza była Ustka. Choć różnica jest rzędu kilku dni. Obie plaże były w 1987 roku wyraźnie deficytowe, dlatego zdecydowano się zaeksperymentować. Dyrektor najpierw proponował wzięcie ajencji swoim kierownikom, którzy dotąd zarządzali plażami, ale wszyscy odmówili. Z trudem znaleziono chętnych. Dyrektor jest przekonany, że przekazanie plaż w ajencję to najlepszy sposób uczynienia ich dochodowymi. Ajent ma większe pole manewru, może bardziej racjonalnie wykorzystać siłę roboczą. Na przykład ratownicy z Rowów są jednocześnie bramkarzami na dyskotece. A poza tym ajent sadza rodzinę w kasach. Wiadomo, że rodzina nie będzie okradać.

Pan Piotrowski, pierwszy człowiek, który wziął plażę w ajencję, jest w podłym nastroju. W pierwszych dniach lipca stracił około sześciu milionów.

— *Nie dość, że jestem uzależniony od Bozi, która ześle dobrą pogodę albo nie ześle, to jeszcze grożą mi czyjeś głupie pomysły.*

Pod koniec czerwca 1988 roku bagrowano, to znaczy pogłębiano Słupię, rzekę bardzo skażoną. Nieczystości z dna, dotąd przykrywane przez ciężkie oleje, wydostały się i zatruły wybrzeże Ustki. Przez 12 dni plaża była całkowicie zamknięta. Z tych dwunastu dni, siedem było wyjątkowo upalnych. A ajentowi nie pozwolono pobierać opłat za plażę.

— *Zacząłem od obcięcia siedemnastu etatów. Ściągnąłem bardzo dobrą ekipę ratowników* — mówi pan Piotrowski. — *Był u mnie ratownikiem m.in. mistrz Europy w karate Włodzimierz Roj. Zatrudniałem też reprezentantów Polski w triatlonie. Zamierzałem inwestować, myślałem o zbudowaniu zjeżdżalni z pleksiglasu, o innych atrakcjach. Dlaczego ktoś wpadł na pomysł, żeby tę rzekę pogłębiać akurat tuż przez sezonem? Nie można było wcześniej? Ekipa na pomost, żeby tę rzekę pogłębiać akurat tu lizkach. Z trudem zatrzymałem ich do końca lipca. Dłużej nie dało rady. To są ludzie, którzy muszą trenować, pływać. A w zatrutej wodzie nie mogli.*

W Ustce też tylko część plaży jest strzeżona.

Niedawno z nie strzeżonego odcinka wyruszył w morze pewien student. Płynął na materacu. Powiał silny południowy wiatr. Na dodatek z materaca uszło powietrze. Chłopak znalazł się ponad kilometr od brzegu. Mimo wszystko miał szczęście. Udało mu się chwycić rybackiej pławy. Ale to nie koniec jego szczęścia. Dostrzegł go z mola jeden z turystów obserwujący morze przez teleobiektyw. Motorówka zdążyła.

Jak wygląda plaża w Darłowie? Bilety tańsze o dziesięć złotych. Nikt nie przesadza z nadmiernym kontrolowaniem wchodzących. Plaża nie jest w ajencji, więc po co?

Rano ludzie z pola namiotowego ruszają na poszukiwanie mleka. Mleka nie znajdą. Chleb będą mogli kupić w jednej ze smażalni. Również ze smażalni najlepiej jest ukraść słoik soli. Będzie spokój na dwa tygodnie. Przynajmniej z solą.

Pod względem zaopatrzenia Darłowo nie jest znowu wiele gorsze od innych nadmorskich miejscowości. W Rowach co prawda można kupić chleb, ale po odstaniu dwóch godzin w kolejce. Lepiej więc pójść do smażalni. Kolejki do monopolowego wszędzie jednakowo długie.

Co można zjeść oprócz frytek, zapiekanek i gofrów? W Ustce są dwa dość tanie bary. We wszystkich miejscowościach można kupić smażone ryby. To specyfika regionu.

Turystyka przenosi się w rejon Pomorza Środkowego. Władzom zależy na pozyskaniu zamożniejszych turystów. Co mają im do zaoferowania? Na razie nic. W Rowach wkrótce będzie otwarta wypożyczalnia łodzi spacerowych. Innych inwestycji jeszcze nie rozpoczęto.

Turystyka powoduje degradację środowiska. Wymaga budowy oczyszczalni ścieków. Dzięki 10-procentowym dopłatom do cen w Słupsku powstanie oczyszczalnia ścieków. W Rowach pomagają zakłady pracy, które mają tu swoje ośrodki. Na przykład łódzka „Wifama" przekazała już milion.

— *Będzie dobrze* — słyszę ironiczną wypowiedź. — *W przyszłym roku może zaczną doły kopać.*

W Wydziale Sportu i Turystyki UW w Słupsku podają mi ceny najtańszych inwestycji. Najprostszy sanitariat na polu namiotowym — 13 milionów złotych. Taki, jaki jest w Ustce — 50. Camping w Jarosławcu kosztował 60 milionów. Parking w Człuchowie 8.

Liczę. Na polu namiotowym w Rowach należącym do „Przymorza", słupskiego biura turystycznego, mieszka w tej chwili około tysiąca osób. Jedna osoba płaci 294 zł za dobę pobytu. Za rozbicie namiotu — 150 zł. Za jedną dobę ponad trzysta tysięcy. Przy niewielkich kosztach eksploatacji. Opłaca się?

A jednak nie! Polom namiotowym grozi plajta. Jak to możliwe? Podatki! Te należące do OSiR są wyraźnie na plus (najmniejsze podatki). Inne jakoś sobie radzą. Jakie podatki płaci hotel? Mały hotel w nadmorskiej miejscowości. Podatek od nieruchomości, w tym gruntowy, podatek od płac, obrotowy i dochodowy, opłaty od użytkowania gruntów i nieruchomości, klimatyczne, meldunkowe, od emisji dymu. I dopłata terenowa do ceny. Razem dziewięć pozycji. Udział podatków w cenie wynosi równiutko 50 procent. Jak widać polityka podatkowa zżera państwowe inwestycje. Niemniej duże nadzieje wiąże się z ową dziesięcioprocentową dopłatą do cen, choć tak na logikę biorąc jest to tylko jeszcze jeden podatek i na pewno nie tędy droga. W 1987 roku z dopłat zebrano 83 miliony złotych. W tym roku postanowiono zaatakować śmielej. Z większym rozmachem.

We wszystkich instytucjach, w których rozmawiałem panuje przekonanie, że inwestowanie w turystykę bardziej opłaci się osobom prywatnym. Jako przykład podaje się ajentów plaż z Ustki i Rowów. Ajent z Ustki obciął siedemnaście etatów, a ponadto zlikwidował biuro! Ajent z Rowów wykorzystuje swoich ludzi do przeróżnych prac. Takie manewry nie byłyby możliwe w instytucjach państwowych. Tam obowiązują określone przepisy dotyczące zawierania umów o pracę. Określone stawki. Nie można zapłacić aż tyle, żeby ściągnąć do siebie mistrza Europy w karate! Zresztą droga od pomysłu do przemysłu jest tam dużo dalsza.

Chciałbym usłyszeć, co już jest? A dowiaduję się, co będzie. Baseny będą. Hotel może będzie. Oczyszczalnie ścieków „się budują". Najlepiej zacząć od ochrony środowiska. Bo jak nie, to pozostałe inwestycje można będzie odłożyć „ad acta".

Problemy Środkowego Wybrzeża niewiele różnią się od problemów pozostałych regionów. Braki w zaopatrzeniu, kolejki, kulejąca komunikacja, niski poziom higieny. Jeszcze można zarabiać na byle czym. Zresztą ludzi nie bardzo nawet stać na kupowanie towarów bardziej wartościowych. Jak woda idą gofry, frytki.

Jeśli chcemy ściągnąć na Pomorze Środkowe szwedzkich i norweskich turystów, trzeba stworzyć bazę usługową i handlową na poziomie o wiele wyższym od tego, z którego sami przywykliśmy korzystać. Przecież tutaj prawie wcale nie ma usług! Ludzie, z którymi rozmawiałem dużo mówili o XXI wieku. W Rowach widziałem ośrodek na miarę XXI wieku budowany przez „Wifamę". Ten XXI wiek — to po prostu pokoje z prysznicami i ubikacjami. W świetlicy kolorowy telewizor. Zamknięty na kłódkę. Cała świetlica zamknięta. Przecież są tu klubowe fotele, dywan, piękny parkiet. Ludzie nie przyzwyczajeni. Wszystko poniszczą. Nie można ich zostawić w takich warunkach bez dozoru!

Foto: Grzegorz Gałasiński

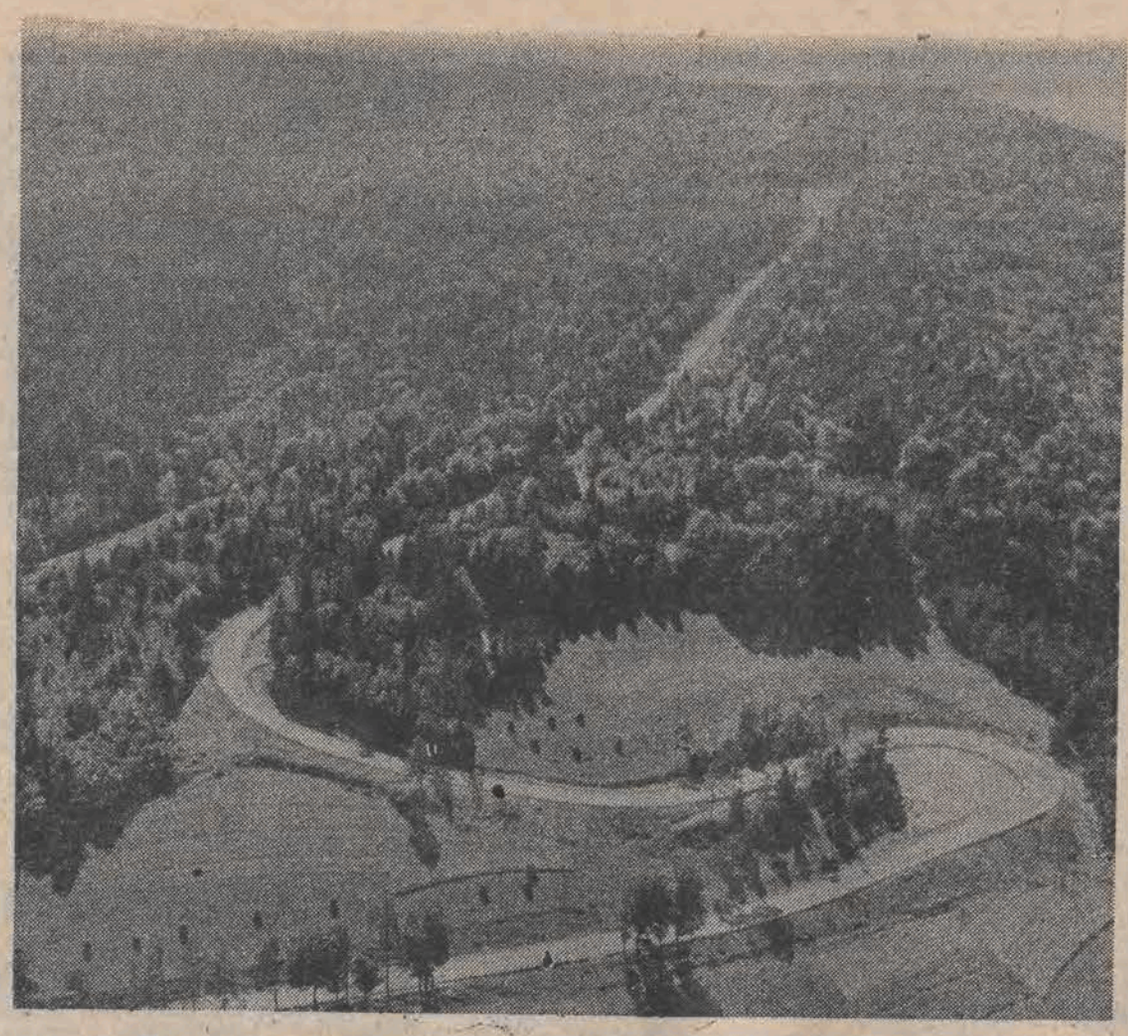

Bieszczady, lato '88

Jakby bies tu rządził

MAREK JUŚKIEWICZ

Z Dworca Kaliskiego odjeżdża pociąg legenda — Łódź—Zagórz. Jedyne bezpośrednie połączenie z południowo-wschodnimi kresami Polski cieszy się ogromnym powodzeniem. Podróż „Strzałą Południa" trwa około 14 godzin. A przecież Zagórz nie leży zbyt blisko bieszczadzkich szlaków.

Na peronie tłum oczekujących na podstawienie pociągu. Sterty bagaży — namioty, plecaki, gitary. Na kilka godzin przed odjazdem koczują na dworcu całe grupy — w końcu nie wiadomo kiedy podstawią. A przedział dla kilkuosobowej ekipy to konieczność. Jest wtedy miejsce na bagaże, można grać, śpiewać i co najważniejsze — jest odrobina miejsca do spania. Kto miał pecha, był mało zaradny albo niezbyt brutalny przy wsiadaniu postoi przez całą noc na jednej nodze. Starsi awanturują się, młodzież z przysłowiową, angielską flegmą, cierpliwie znosi trudy podróży — przecież to wstęp do wielkiej, bieszczadzkiej przygody.

Zagórz. Na stacji i przyległym placu tłoczno. W oczy rzuca się spokój koczujących młodych ludzi. Nikomu się nie spieszy, nikt nie biega, nie krzyczy. Zagórz to brama w Bieszczady. Tu rozchodzą się drogi przybyszów — na Łupków, Cisną, Ustrzyki, Wetlinę.

Uwaga! Niedźwiedź.

Bieszczady kojarzą się nam z dzikimi lasami, pełnymi zwierza i niedostępnymi, bezludnymi górami. Rzeczywiście — tutejsze lasy są bogate w zwierzynę. Wiele gatunków rzadkich, a nawet wymarłych na innych obszarach pozostało jeszcze na tym terenie. Tu można spotkać orły, puchacze, lisy, wilki i główną atrakcję — niedźwiedzia brunatnego.

Od dawna jednak nie było większych zatargów z górskim rozbójnikiem. Do historii przeszedł niedźwiedź, który grasował na Otrycie w latach 1967—70. Wychodził z lasu w pełni dnia, a czasem zapuszczał się aż w obręb zabudowań, gdzie jednym uderzeniem łapy zabijał jałówkę, a nawet półtonowego buhaja.

Krążą legendy o wilczych stadach przemierzających puste przestrzenie Bieszczadów. Są to jednak opowieści przesadzone. Populacja wilka szacowana jest na 30—50 osobników żyjących pojedynczo lub w małych stadach. Zdarzają się jednak watahy zgłodniałych wilków przekraczających granicę w poszukiwaniu pożywienia.

Nie zapominajmy o przeszłości.

Pociąg wspina się doliną Osławy w kierunku Łupkowa. Za oknami Bieszczady. Kopulaste szczyty coraz wyższe. Słońce nadaje piękną barwę zalesionym stokom, złotym łąkom na zboczach. Przed oczami przesuwają się niepowtarzalne obrazy — błyszczący strumień kluczący w dole, strome ściany kamieniołomów, ukryte wśród drzew wieże ocalałych cerkwi.

Komańcza. Mała stacyjka, klasztor Nazaretanek skromnie przycupnął przy bieszczadzkiej obwodnicy. Za tym paskiem asfaltu jest tylko wąska, błotnista ścieżka wśród gór. Po dwóch godzinach marszu docieramy na miejsce — tu będzie nasz nocleg.

W małej wiosce nad Osławą życie jakby stanęło w miejscu. Jedyny kontakt ze światem to kolejka leśna kursująca raz dziennie. Kiedy odjedzie pozostaje motor, traktor lub własne nogi.

Kilka chałup, barak pracowników leśnych i przystanek „Kowbojki" — niby w całości przeniesiony z westernu.

Co dzień zmieniają się ludzie. Jedni odchodzą w góry, inni wracają do cywilizacji. Niewielu jest takich, którzy zabawią tu dłużej niż jedną noc.

Bieszczady to nie tylko bezdroża i turystyczne szlaki. Tu też żyją ludzie. W trudnych, niemal traperskich warunkach. Ciężko uprawiać tu pola, z trudem wydobywa się z lasu drewniane złoto. Wąskie, przeważnie gruntowe drogi zamieniają się w chlupoczące bajora błota. Zaplecze handlowe jest bardzo skromne, kulturalnego praktycznie nie ma. Latem góry ożywają tysiącami turystów. A turyści to dodatkowe kłopoty z zaopatrzeniem, trudności w komunikacji. I jeszcze ochrona przyrody.

Mówiąc o Bieszczadach nie możemy zapomnieć o uwarunkowaniach historycznych, kulturowych, narodowościowych. Nie można udawać, że nie ma u nas mniejszości narodowych. Teren Bieszczadów jest tu obszarem szczególnym. Ludność tutejsza to tylko w części rodowici Polacy. Ci przeważnie przybyli w te strony po wojnie. Reszta to Ukraińcy, ale nie tylko.

Na każdym kroku spotykamy dowody na istnienie ich kultury. Kapliczki z rytymi cyrylicą literami, cerkwie — dziś tak już nieliczne i jakże zaniedbane, stare cmentarze — jak ten w Berehach Górnych — jedyny świadek istniejącej tam przed laty parafii greckokatolickiej.

A czy można pominąć charakterystyczny dla tego obszaru akcent? Gdyby ktoś upierał się, że to tylko gwara niech wie, że wciąż funkcjonuje tu żywy język ukraiński i co ciekawe jest w codziennym użyciu, czego byłem świadkiem w Komańczy. Niestety przez wiele lat zapominano o bogactwie kulturowym tego regionu. Strat nie da się już naprawić.

„Kowbojką" w las.

Jedną z atrakcji Bieszczadów jest kolejka leśna. Głównym jej zadaniem jest transport pozyskanego surowca drzewnego, jak fachowo nazywa się eksploatację bezcennych bukowo-olchowych lasów. Stanowi świetny środek komunikacji. Niestety kursuje raz dziennie: Cisna — Rzepedź — Cisna. Do niedawna trasę obsługiwał maleńki parowóz. Dziś stare wagoniki ciągnie rumuńska lokomotywa spalinowa. Ale mimo wszystko urok podróży „kowbojką" pozostał.

Czekamy na przybycie pociągu. Towarzyszą temu wielkie emocje. Nikt z nas jeszcze nie jechał bieszczadzką ciuchcią, o której pisze się piosenki. Jest punktualna. Dwa wagoniki są pełne podróżnych. Przez chwilę mamy obawy, czy zostaniemy zabrani. Ale tu podróżuje się inaczej, tak jak wszystko jest tu inne. Zajmujemy miejsca na odkrytej platformie do transportu drewna. Wagon jest pełen amatorów niezwykłej wyprawy. Siadamy gdzie się da. Na plecakach, namiotach, na zasypanej trocinami podłodze. Wagon jest tak niski, że zwisające nogi omal nie zawadzają o ziemię. Obsługują to dwie osoby: maszynista i konduktor. Inaczej będzie w drodze powrotnej, kiedy trasa prowadzi w dół, a skład stanowią wagony pełne drewna. Wtedy niezbędni są ludzie do obsługi hamulców. Następny kurs za 24 godziny.

Mijamy ogromne, wiekowe drzewa, błyszczące w słońcu strumienie, zdziczałe sady. Przed laty kwitło tu życie. Ciemną zielenią przyciąga wzrok masyw Chryszczatej. To tam znalazły schronienie oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii. Rejon Chryszczatej i Wołosania zamieniono w trudną do zdobycia twierdzę. Tu umocnione obozy ze stanowiskami ogniowymi na stokach i licznymi czujkami broniły dostępu do ukrytych w górach kwater, warsztatów, szpitala, piekarni, wędzarni, wozowni, młyna. Stąd sotnie wychodziły na akcje; tu odpoczywały i leczyły rany po walkach.

Do dziś spotyka się ślady walk, napadów, zasadzek. Wciąż istnieją nie odkryte schrony, magazyny, bunkry.

Kraina odkryta dla turystów.

Trzy kilometry od Cisnej kończy się podróż kolejką. W Cisnej robimy zaopatrzenie — najbliższy sklep na szlaku osiągniemy za trzy dni. Kiedy pierwsi turyści zdobywali bieszczadzką dzicz musieli dźwigać z Komańczy zapas żywności na kilkanaście dni.

Trasa jest ciężka. Słabe oznaczenie szlaku utrudnia szybki marsz. Na szczęście jest sucho. Ścieżki kręte i wąskie. Mimo późnej pory jest gorąco i duszno. Idziemy wolno. Zbyt wolno, żeby za dnia dojść do celu. W dolinę schodzimy już po zmroku. W ciemności nie można ocenić odległości. Szlak zdaje się nie kończyć. Seledynowym światłem błyszczą świetliki — niczym odbicie rozgwieżdżonego nieba w mokrej od rosy trawie.

Rozbijamy namiot. Łyk zimnej wody zastępuje kolację. Dziś nie będzie ogniska i nocnych rozmów. Sen nadchodzi szybko.

Przed wojną turystyka w Bieszczadach praktycznie nie istniała. Dopiero po 1935 roku główny szlak karpacki wydłużono za Przełęcz Dukielską. Ale ten rejon nadal pozostał nieznany. Po wojnie brakowało dróg. W 1951 roku wymieniono z ZSRR powiat Ruska Ruska na Ustrzyki Dolne. Ułatwiony został dostęp do Otrytu i dorzecza górnego Sanu. W 1952 roku dwuosobowa ekipa toporem wytyczyła przebieg głównego szlaku beskidzkiego. Latem 1955 roku ruszyły z Zagórza pierwsze dwa turnusy wędrownych wczasów studenckich. Zaopatrzeni w stare koce i palatki z demobilu ruszali na spotkanie wielkiej przygody. Plecaki ważyły po 30 kg. Na kilkunastoosobowy turnus trzeba było zabrać około 250 kg żywności. Jeżeli szczęście dopisało, zapasy można było uzupełnić dopiero w Cisnej.

W Ustrzykach Górnych, w opustoszałym kurniku czekał odpoczynek. A po kilku dniach droga powrotna — przez błotniste górskie szlaki — w słońcu albo deszczu. Przecież tu wciąż kłębi się jak w kotle — upał i deszcze. Ciągłe zmiany — jakby bies rządził tą krainą. Dwudziestostopniowe mrozy nawet w kwietniu nie należą do rzadkości. A najniższa temperatura notowana na tych obszarach wynosi —40,1 st. C. Na deser wiatry — często przekraczające 20 m na sek. Oto atrakcje, jakie czekały w tych nieprzystępnych górach. To świat dla ludzi twardych, którym nie straszny był głód i zimno, ból i ciągły chlupot wody w butach.

Czy uratujemy Bieszczady przed zagrożeniem?

Nocleg na połoninie i znów marsz. Schodzimy do Berehów Górnych. Dwie chaty i studencka baza namiotowa. Przed laty była tu parafia greckokatolicka. Pozostał po niej tylko zdewastowany cmentarz. Gdyby nie pewien student, być może nikt nie wiedziałby już o bojkowskim cmentarzu w Berehach. Surowe płyty z piaskowca, proste inskrypcje i brak ozdób to cechy charakterystyczne dla nagrobków Bojków. Groby ukryte w trawie i zaroślach. Ręcznie malowane tablice informują: „Cmentarz". I napis cyrylicą: Sława Isusu Christu.

W roku 1966 pojawił się *„Plan regionalny terenów górskich województwa rzeszowskiego"*. Powstała idea Beskidzkiego Parku Krajobrazowego. Ale mimo rozdziału poświęconego ochronie przyrody reszta była mniej nowatorska. Późniejsze koncepcje coraz głębiej i pełniej wnikają w problematykę ochrony niepowtarzalnej, bieszczadzkiej przyrody.

Utworzony w 1973 roku Bieszczadzki Park Narodowy nie tylko był rozbity i przedzielony obwodnicą, ale po jego utworzeniu wciąż trwała eksploatacja zasobów leśnych (w obszarze Parku) i wciąż funkcjonował kamieniołom w dolinie Terebowca.

Jak widzi przyszłość dyrekcja BPN?

Projekt przewidziany do realizacji przewiduje powiększenie Parku do wielkości 15336 ha. W skład BPN weszłyby: Połonina Wetlińska i Smerecka wraz z otuliną, kompleks leśny przylegający do Połoniny Caryńskiej (po Nasiczne), otulina Połoniny Bukowskiej i zlewnia potoku Halicz, Wlk. Rawka i Dział oraz Pasmo Graniczne po Rabią Skałę i ostoję żubrów w Bereżkach. W ten sposób Ustrzyki znajdą się w centrum Parku, co nie jest korzystne dla jego istnienia. W przyszłości trzeba więc będzie przesunąć ruch turystyczny poza nowo wyznaczony obszar.

Może w przyszłości uda się stworzyć park międzynarodowy, a nawet w całości udostępnić go turystom? Ale to daleka jak się wydaje przyszłość. Na razie w strefie otulinowej działają fermy (Wołosate), a turyści rozdeptują obszary występowania unikalnej roślinności (Krzemień). Czas pokaże jak będzie traktował problemy parku gospodarz owczarni w Wołosatym—Igloopol. Przecież rolnictwo to ogromne niebezpieczeństwo dla czystości wód — zwłaszcza fermy hodowlane. Opracowany jest projekt ujęcia wody i oczyszczania ścieków. Jest dokumentacja i pieniądze (?!). Największy problem to wykonawstwo.

Na granicy.

Być w Bieszczadach i nie wejść na Tarnicę, to jak być w Rzymie i nie widzieć papieża. Poświęciliśmy cały dzień na wycieczkę po BPN. Warto było. Przepiękne panoramy polskich i radzieckich Bieszczadów, strażnica Konnej Straży Ochrony Przyrody, asfaltowa droga niemal na szczyt Rozsypańca — pamiątka po okresie radosnej twórczości i beztroskich rządów płk. Kazimierza Doskoczyńskiego. Ogromne wrażenie robi „granica przyjaźni". *Po radzieckiej stronie szeroki pas zaoranej ziemi* i ogrodzenie (drut kolczasty?) zabezpieczają radzieckie niedźwiedzie przed polskimi myśliwymi.

Nocleg u harcerzy ze stanicy opolskiej. Już od 15 lat harcerze uczestniczą w operacji Bieszczady — 40. Przez kilka dni gościmy w hoteliku „Zawrót Głowy". Sąsiedzi wciąż się zmieniają. Właśnie rozpoczął się Rajd Bieszczadzki. Dlatego hotelik jest pełen gości. Kolejny najazd na stanicę przewiduje się na okres Jarmarku Artystycznego w Wołosatem.

Nie zmieniać nazw.

Jest jeszcze jedna sprawa ważna dla Bieszczadów. To problem nazw miejscowości. Jak wieść gminna głosi sam były premier (ten, co pożyczył i zapomniał oddać) przyjechał na polowanie do wsi, o dziwnej w jego mniemaniu nazwie.

— *Co to za nazwa* — zdziwił się.

— *Mamy tu więcej takich...* — przyznali się gospodarze.

— *No to zróbcie z tym porządek!*

— Tak jest!... — i tak było.

Zmieniono Czystogarb na Górną Wieś, Dwerniczek na Jodłówkę, a Dwernik na Przełom. (Co na to gen. Dwernicki?). Łodyna stała się Łęgami, Kulaszne wolało być Międzygórzem, a obrzydliwa nazwa Łopienka zastąpiona została romantycznym mianem Owczary. Jahonka przemieniła się w Jasień, Listkowate w Lisówek, Starzawa w Stawisko, a Monsterzec w Osetkowo. Za to Mordownię przemianowano na wieś Spokojna. Ciekawe, czy to pomogło?

Sztuczne nazwy nie utrzymały się. Znów jest Smerek zamiast Świerkowa i Gorajec zamiast Dąbrowy. Bezmyślną decyzję ogarnęły mroki historii. Ale czy ktoś siedzący w miękkim, wygodnym fotelu, w brudnym mieście na nizinach nie odkryje w sobie powołania do poprawiania tego, co zaszło przez wieki w odległych górach, gdzie wciąż diabeł mówi dobranoc?

Może za rok.

Opuszczamy połoniny. Jeszcze ostatnie spojrzenie na zalane słońcem góry. Z trudem odrywamy oczy od tego widoku. Już czas. Błotnistą ścieżką schodzimy ku dolinom.

P.S. Dziękuję dyrektorowi BPN za cierpliwość, żołnierzom WOP za wyrozumiałość, a „Pestce" za pomoc medyczną.

Powołać komisję, niech zbada zarzuty!

Komin niezgody

RYSZARD BINKOWSKI

Te niemiłe zapachy i ciężkie opary dotarły nawet do obejścia młodej prawniczki, pani **Ochnik**, która mieszka daleko od komina, za strefą ochronną zieleni. No i wtedy **Henryk Lefik** i około dwudziestu mieszkańców **Szatoni**, którzy w listopadzie 1986 r. wystosowali **do naczelnika miasta i gminy Aleksandrów** pismo z ostrzeżeniem, że będzie smród, uznali, że jednak mieli rację. Ostrzegali, że nowy sąsiad Lefika — **Stanisław Szadkowski**, który mieszka na stałe w Łodzi, ma zamiar przenieść **do Szatoni** zakład zajmujący się bieliźniarstwem, malowaniem na tkaninach oraz wykończaniem tkanin i dzianin, a co nie daj Boże, może i całą farbiarnię. Odpowiedziano im, że **Stanisław Szadkowski** nie występował jeszcze o zmianę siedziby zakładu, a gdyby to zrobił, musiałby przedstawić pozytywną opinię wielu instytucji. Otrzymał natomiast zezwolenie na budowę budynku gospodarczego i wizja lokalna wykazała, że buduje zgodnie z planem i wydanym zezwoleniem.

Henryk Lefik był jednak zdania, że wydanie decyzji na wykonywanie rzemiosła oraz wyłącznie działki Stanisława **Szadkowskiego** z produkcji rolniczej jest niezgodne z przepisami i zagraża środowisku. Bo jak w strefie przeznaczonej na zabudowę mieszkalną i produkcję rolniczo-ogrodniczą stawia się 5 metrów od jego szklarni wysoki budynek gospodarczy, który zamyka dostęp światła, i jak do tego dojdzie jeszcze dymiący komin, to nastąpi skażenie powietrza, wody i gleby.

Gwoli ścisłości należy wyjaśnić, że **Stanisław Szadkowski** wzniósł budynek gospodarczy we właściwej odległości od miedzy, natomiast **Henryk Lefik** postawił szklarnię w jej bezpośrednim sąsiedztwie, bo wyraził na to zgodę poprzedni właściciel działki. Ale **w Szatoni** są więksi ogrodnicy od **Henryka Lefika**, mający po 1000 m kw. pod szkłem lub folią, jak chociażby **Łukasiewicz, Jaśkiewicz, Skalski** czy **Pietrzak**, którzy podejrzewając, że **Stanisław Szadkowski** oprócz bielnika uruchomi farbiarnię, poczuli się zagrożeni. Mówią wręcz, że gdyby przesunąć obiekt pięćdziesiąt metrów dalej od zagród, to niechby sobie produkował co chce A inspektor budowlany na to, że jeszcze nie śmierdzi, a oni chcieliby wypędzić nowego sąsiada w pole, żeby musiał odgarniać śnieg. Zaraz, zaraz, mówią ogrodnicy, farbiarnia i bielnik to nie jest kurnik. **Kaczmarkowi** dali zezwolenie na kurnik pod lasem rąbieńskim, a jak **Kochanowski** miał kurnik 200 m od jezdni to już było za blisko. Naczelnik z **Aleksandrowa**, mgr inż. **Wacław Skulski**, pracował w „Sandrze", więc chyba wie, jakie zagrożenie stanowi przemysł, no nie?

Wasz reporter pracował w młodości na wykończalni, może więc również powiedzieć, co to za przyjemność wdychać wonie na oddziale apretury, drukarni, farbiarni czy dymiącego chlorem bielnika, szczególnie gdy praca nie jest zautomatyzowana. No i kiedy u **Stanisława Szadkowskiego** ruszyła produkcja i na podwórzu u **Henryka Lefika** znalazła się pani inspektor z **Terenowej Stacji Sanepidu na Bałutach**, stwierdziła, że śmierdzi chlorem, ale oświadczenia, że to jest szkodliwe, nie napisała. **Henryk Lefik pojechał do Sanepidu na Bałutach**, ale oświadczenia o szkodliwości nie dostał, bo dyrektor powiedział, że to wszystko idzie w powietrze, a oni chcą tylko zniszczyć sąsiada.

Syn Lefika, Jan, czterdziestoletni żonaty wąsacz, mówi, że nikt się nie zainteresował szambem u **Stanisława Szadkowskiego.** Wykop powstał 6,70 m od miedzy i 15 m od zbiornika, z którego **Henryk Lefik** bierze wodę do podlewania warzyw. Dno wyłożono folią, wozy asenizacyjne często opróżniają szambo, ale grunt jest niski, poziom wody podnosi i wybija na powierzchnię chemiczne nieczystości. Po dużej ulewie ścieki mogą więc przedostać się do gleby i skazić także wodę.

Ludzie mówią, że w **Szatoni** dzięki awansowi społecznemu wyrósł komin niezgody. Bo nazwa wsi istnieje tylko w starym rozkładzie jazdy tramwaju linii 44, kursującego między Łodzią i Aleksandrowem. Ano, bo **dwa miasta zaanektowały wsie Szatonia i Romanów** i na gruncie wiejskim powstała granica między miastami. Cicho tu jeszcze, zielono, laski i sadzawki, szklarnie i stodoły, krowy na łąkach. Droga wąska, bez chodników, ścieżka przy samych torach tramwajowych, trzeba więc uważać, żeby wagon nie zdmuchnął człowieka do rowu. W czasie konsultacji pytano, gdzie ludzie chcą mieszkać, **wybrali więc Aleksandrów**, bo zawsze bliżej do władzy. **Ale Szatonię rozparcelowano**, piętnaście numerów znalazło się w Łodzi, a sześćdziesiąt numerów w granicach miasta Aleksandrowa. Może nawet więcej, bo ziemię stale się dzieli, powstają działki ogrodnicze, rzemieślnicze i rekreacyjne. Istnieje samorząd wiejski, żyje sołtys **Jan Pietrzak**, który nie wie, czy jest jeszcze sołtysem, **bo Szatonia stała się przedłużeniem ul. Wojska Polskiego** i uzyskała nową numerację. Ponieważ nie wszyscy wywiesili nowe tabliczki, w jednym miejscu jest numer 39, a zaraz obok 131. Jak miasto, to miasto, trzeba błądzić jak po betonowej pustyni z blokami, żeby trafić pod właściwy adres. A ta maleńka oszklona wiejska kapliczka, wisząca na pniu starej brzozy, pozostała w granicach Łodzi.

Tę byłą podłódzką wieś zaraz po wyzwoleniu zasiedlali przybysze z różnych stron Polski. Ludzie zgodni, pracowici, solidarni, nikt na złe stosunki sąsiedzkie nie narzekał. Ale nowego sąsiada, **Stanisława Szadkowskiego**, przyjęli nieprzychylnie.

W Szatoni nie ma lokalu publicznego, więc zebrali się w izbie Lefika i wygarnęli przedstawicielom władz, łącznie z dyrektorem **Wydziału Ochrony Środowiska UMŁ**, co myślą o tym dymiącym kominie po sąsiedzku. Szanują tutejsze zakłady rzemieślnicze, które nie szkodzą, te, co zajmują się wyrobem toreb, naprawą samochodów, zabawkami, krawiectwem. Ale większość ludzi mieszka w **Szatoni**, uprawia ziemię, hoduje świnie i bydło, taki **Stasiak** ma ze sto sztuk trzody chlewnej, więc nie wiedzą, czy pasza nie jest skażona, czy można wypędzać krowy na łąki. Pan naczelnik zapewniał, że w Szatoni nie przewiduje się przemysłu, a jak już do tego doszło, to trzeba było wybrać miejsce nie kolidujące z otoczeniem. Bo teraz to jest tak, jakby przy cmentarzu postawił piekarnię. Jak zawieje od południa, dym wali przez drogę **na Wasiaka i Łukasiewicza**, a jak od zachodu, to na **Maćkowiaka.** Z innych stron wiatr niesie dym i opary na braci **Skalskich, Lewandowskiego i Pietrzaka.** Najgorzej, rzecz jasna, u **Lefików.** W piątek po południu i w wolne soboty zakład dymi na cały regulator, bo wtedy nie spodziewają się kontroli, a tu niby uprawy pod osłonami, ale przecież szklarni i tunele luftuje się przez cały dzień, wywietrzniki są otwarte i dym przenika do wewnątrz. Nie pozwala to prowadzić normalnej działalności ogrodniczej, zauważa się więdnięcie warzyw i nie wiadomo, co ludzie w mieście zjadają razem z sałatą.

Dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska UMŁ oświadczył, że Stanisław Szadkowski otrzymał zezwolenie na druki i wybielanie tkanin. Gdyby było farbowanie, to dyrektor zamknąłby zakład.

No i w związku z tym najbardziej pokrzywdzony czuje się **Henryk Lefik**, który przybył do Szatoni spod Poddębic, gdzie prowadził kiedyś sklep. W 1959 r. kupił 65 arów dobrej, czarnej, wilgotnej ziemi i podjął uprawę warzyw gruntowych. W 1973 r. wziął 100 tys. zł pożyczki na 12 lat, postawił trzy szklarnie (400 m kw.) z kotłownią i związawszy się długoletnią umową kontraktacyjną ze **Spółdzielnią Ogrodniczo-Pszczelarską** odstawia do dziś warzywa, głównie sałatę i pomidory. Jesienią jako poplon zbiera chryzantemy.

Henryk Lefik ma 69 lat, działa jeszcze w kole ZSL, jest szczupły, fertyczny, kiedyś chorował ciężko, odciągano mu wodę z boku, ale teraz jakoś się trzyma. Tylko zrobił się mocno nerwowy. No bo działał w młodości w „Wici", we wrześniu 1939 walczył z wrogiem, uciekał z niewoli, a teraz musi walczyć z biurokracją. W związku z tym kominem pisał wszędzie, nawet skargę do prezydenta Łodzi, ale niewiele wskórał.

3 grudnia 1987 r. Lefik zabrał głos w sprawie ochrony środowiska na zjeździe Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL. Zjazd zalecił **Prezydium MGK ZSL**, aby wraz z Urzędem Miasta i Gminy wyegzekwował od **Stanisława Szadkowskiego** odpowiednie zabezpieczenie ochroniarskie jego zakładu.

27 kwietnia 1988 r. MGK ZSL zwrócił się z prośbą do władz o sprawdzenie, **czy zakład Stanisława Szadkowskiego** zbudowany został i pracuje zgodnie z projektem oraz o przeprowadzenie stosownych badań w zakresie zanieczyszczenia atmosfery, ścieków i gleby.

No i nic się nie stało. Bo wszystko odbyło się zgodnie z prawem i zgodnie z przepisami. **Stanisław Szadkowski** prowadził bowiem działalność rzemieślniczą na podstawie zezwolenia wydanego w 1973 r. przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łodzi, wykonując początkowo malowanie ręczne i wybielanie tkanin w Rąbieniu, w lokalu dzierżawionym, w bardzo prymitywnych warunkach. Po kupnie gruntów i wzniesieniu budynku w **Szatoni** wystąpił w **październiku 1987 r.** o wyrażenie zgody na zmianę siedziby zakładu rzemieślniczego, uzyskując pozytywne opinie **Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego** w zakresie ochrony powietrza atmosferycznego, **Komendy Rejonowej Straży Pożarnych** o warunkach bezpieczeństwa pożarowego oraz decyzję dyrektora **Wydziału Ochrony Środowiska UMŁ**, w której stwierdza się, że emisja zanieczyszczeń powietrza nie spowoduje przekroczenia dopuszczalnych norm stężenia. Natomiast **Państwowy Terenowy Inspektor Sanitarny** stwierdził, że bielnik i kotłownia także nie spowoduje przekroczenia dopuszczalnych norm stężeń.

Pozostaje tylko pytanie, czy bez stosownych badań można z góry określić, ile i czego wyemituje zakład chemiczny do atmosfery. Bo u **Lefików** niby wszystko w porządku, tak na pierwszy rzut oka. Za szklarniami zielenią się warzywa, ziemia torfowa jest czarna, pod lasem żółknie żyto. W podwórzu pachnie żywicą zbita z bierwion drewutnia, woda w zbiorniku wygląda jak woda, króliki wtrząchają trawę w klatkach, pogdakują wesoło kury. Ale gdy zawieje od wschodu, gdy powietrze przesycone wilgocią, gęsty tłusty dym zamiast iść w górę, spada na ziemię i nie sposób wejść na podwórze. Kiedy zaś podlewa się w szklarniach, to aż w nosie wierci od chloru i innych woni.

A sąsiedzi patrzą ze swych obejść i mówią, że to nie tylko bielnik, ale i farbiarnia. Bo pracownicy wychodzą z zakładu z rękami unurzanymi po łokcie w niebieskiej lub czerwonej farbie. Przywozi się autem kilkadziesiąt bel białej tkaniny, a potem suszą się na sznurach same kolorowe płachty.

Bez zezwolenia nie wolno barwić tkanin. Ale nie wolno też bezpodstawnie pomawiać człowieka. Cóż więc stoi na przeszkodzie, aby do Szatoni wpadła nie zapowiedziana komisja kontrolna i z udziałem przedstawicieli samorządu wiejskiego weszła do zakładu, i **oczyściła z podejrzeń i niesłusznych zarzutów Stanisława Szadkowskiego?**

Wydział Ochrony Środowiska UMŁ po wizji lokalnej uznał, że nie występuje żadna szkodliwa emisja z procesów technologicznych zakładu **Stanisława Szadkowskiego**, a ścieki odprowadzane są powierzchniowo, nie zatruwają więc wody ani gleby. Obiekt należy do I klasy uciążliwości, a jest to najmniejsza skala uciążliwości dla środowiska.

No dobrze, ale skoro dymiący komin sieje niepokój i niezgodę, to czy nie warto dla świętego spokoju zbadać wodę, powietrze i glebę i przedstawić wyniki społeczeństwu? Bo na słowo to już teraz nikt władzy nie wierzy i władza powinna się z tym liczyć.

Podczas wizji ustalono również (wzrokowo i na węch), że źródłem zanieczyszczeń powietrza na tym terenie są obie kotłownie, emitujące zbliżone ilościowo i identyczne jakościowo spaliny, nie jest więc zasadne domniemanie **Henryka Lefika**, iż zakład **Stanisława Szadkowskiego** skaża jego uprawy.

Gdyby tak stawiać sprawę, to zagrożeniem dla Szatoni są liczni ogrodnicy, którzy dymią jak cholera i giną we własnym smrodzie. Ale w tym wypadku rzecz dotyczy podwórza **Lefików. Jan Lefik** twierdzi, że u **Stanisława Szadkowskiego** jest piec parowy, w którym trzeba więcej, intensywniej palić, aby utrzymać wysokie ciśnienie do prowadzenia procesów technologicznych. U Lefika jest piec koksowy i węglowy, oba wodne, nie trzeba więc tyle spalać. Poza tym jego komin jest o dwa metry wyższy, w kotłowni pali się tylko zimą, a u sąsiada na okrągło.

Aby więc przekonać się, kto truje, należy latem, gdy kotłownie ogrodnicze są wyłączone, przebadać warzywa na zawartość szkodliwych substancji i wszystko będzie jasne.

W tym miejscu warto zaznaczyć, że **Stanisław Szadkowski** zgodnie z przepisami wystąpił o wyłączenie swej działki z produkcji rolnej na rzecz działalności rzemieślniczej, uzyskując pozytywną opinię od **Miejsko-Gminnego Związku Rolników, Komisji Rolnictwa Rady Narodowej z Aleksandrowa** oraz dyrektora **Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami.** Wątpliwość może budzić jedynie fakt, że tacy obrońcy chłopów, jak radni i Związek Rolników, zezwalają na wyłączenie z produkcji rolniczej dobrej, żyznej ziemi. Nie budzi natomiast wątpliwości decyzja naczelnika, który w II etapie reformy chciałby mieć na swoim terenie jak najwięcej zakładów usługowych, które zasilą budżet rady narodowej. Rzecz tylko w tym, aby te zakłady nie utrudniały życia mieszkańcom.

Jednakże nie ów komin niezgody będzie stanowić symbol wejścia Szatoni do miasta, lecz **budowa sieci gazowej. Stanisław Szadkowski** wykonał w swoim budynku instalację gazową i po przyłączeniu do sieci ilość emitowanych spalin w zakładzie będzie zredukowana do zera. Być może z ogrzewania szklarni gazem będą mogli skorzystać także ogrodnicy, a wówczas problem zniknie. Ale zanim to nastąpi, upłynie parę lat, toteż władze już dziś muszą zrobić wszystko dla zażegnania konfliktu, aby Szatonia mogła być spokojną, zieloną wsią w mieście.

Mówi: Antoni Rusek

— Zwracam się do pana jako sekretarza komisji prognozowania i realizacji Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa z następującym pytaniem: Czy moje pokolenie doczeka, że z Krakowa znikną rusztowania?

— Pytanie jest bardzo interesujące, ale odpowiem nań żartobliwie: nie od razu Kraków zbudowano i nie od razu uda nam się go zrewaloryzować. Jest to proces długotrwały albowiem jest wiele uwarunkowań z tym związanych. Kiedy przed dziesięcioma laty powstał Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa to na swoim inauguracyjnym posiedzeniu pod przewodnictwem prof. Henryka Jabłońskiego, ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa, zakreślono docelowy plan zrewaloryzowania Krakowa.

— Iluletni miał być to program?

— Zakładano, że wystarczy 50 lat, by zrewaloryzować około 30 tys. obiektów zabytkowych. Dla przypomnienia należy podać, że Kraków wraz z Wieliczką został w 1977 r. wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

— Zatem liczyliście się z faktem, że przez kilka wieków Kraków był niszczony, a teraz trzeba w ciągu paru dziesiątków lat te zniszczenia usunąć. Takie przedsięwzięcie wymaga trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy!

— Były to czasy powszechnego entuzjazmu, więc z pomocą pospieszyły niemal wszystkie miasta w Polsce, m.in. Łódź. Ale rok 1939 załamał i pogrzebał nasze plany.

— Czyżby wydarzenia z lat 1980/1981 wstrzymały rozpoczęte już prace?

— Bardzo wyhamowały, powiedziałbym, że wyhamowały w sposób katastrofalny. Tak więc dziś mimo dotacji finansowych, mimo olbrzymiego zaangażowania Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa, który nie tylko z kraju, ale i z zagranicy ściąga pomoc finansową, nie jesteśmy w stanie zrewaloryzować nawet tych obiektów, które znajdują się w stanie katastrofalnym pod względem technicznym. Często zmuszeni jesteśmy mniej patrzeć na wartości kulturowe obiektów. A to już prawdziwa katastrofa! Dziś zaledwie się zabezpiecza minimum potrzeb. A dlaczego ten stan jest taki? Ano, przypomnijmy. Zabory: zaborca nigdy nie dbał o Kraków. Okupacja: niby niewielkie zniszczenia wojenne i ten znakomity manewr marszałka Iwana Koniewa, dzięki któremu miasto ocalało. Ale przez 40 powojennych lat trzeba było odbudowywać Warszawę, Wrocław, Gdańsk itp., a Kraków pozostawał na uboczu.

— Nie ma pan odczucia, że rewaloryzacja Krakowa przypomina walkę z wiatrakami? Zanim odbudujecie jedną kamienicę, to już dwie inne zaczynają się walić.

— Tak, coś w tym jest. Jednak entuzjazm, przyjaźń i serdeczność ludzi z całej Polski podtrzymuje nas w naszym szlachetnym przedsięwzięciu. Mimo kryzysu nie możemy opuszczać rąk. Wierzymy, że nastanie dobry czas dla Krakowa i jego zabytków.

— Co w tej chwili się odnawia?

— Pałac Pugetów znajdujący się na ul. Bohaterów Stalingradu. Na jego odnowę pieniądze otrzymaliśmy z Katowic: w ten sposób górnictwo stara się zrekompensować zatruwanie solankami z kopalń Wisły oraz walące się tony pyłu na Kraków.

— Co zostało dotąd zrewaloryzowane?

— Wawel. Teraz od dwóch lat kosztem 150 tys. dolarów instalujemy tam instalację przeciwwłamaniową i przeciwpożarową. Nie chcemy by powtórzyło się to, co się zdarzyło w katedrze gnieźnieńskiej. Sukiennice: były odnawiane 18 lat temu, ale czas jest bezlitosny i już — jak pan widział — są wokół rusztowania. Barbakan i Brama Floriańska: są to obiekty nieustającej troski, i mimo że już były odnowione, trzeba je pielęgnować. Proszę pana, elewacje wykonane na tzw. Drodze Królewskiej po 10 latach są takie, jakby nie były odnawiane! Powietrze krakowskie jest bardzo szkodliwe, jest to prawda, okrutna prawda.

— Proszę powiedzieć, jak trafił pan do Społecznego Komitetu Odbudowy Zabytków Krakowa i to na tak odpowiedzialne stanowisko?

— Jestem absolwentem AGH, inżynierem elektronikiem. Z zamiłowań rodzinnych ukończyłem także studia prawnicze na UJ. Kiedy powstało więc owe społeczne ciało zamierzające rewaloryzować Kraków, Stefan Markiewicz, sekretarz komitetu partii do spraw nauki, zaproponował mi pracę w tymże Społecznym Komitecie. W związku z tym musiałem ukończyć WSNS przy KC PZPR. Tam napisałem pracę — trzecie moje magisterium — pt. „Doskonalenie systemu organizacji i zarządzania w procesie odnowy zabytków Krakowa".

— Czy może pan wymienić kilku sponsorów, którzy szczególnie zasłużyli się w dziele odnowy Krakowa?

— Są osoby fizyczne, instytucje, zakłady pracy. Z osób fizycznych wymienię zaledwie niektórych, bo lista nazwisk zajęłaby cały pański tygodnik. I tak: Edward Piszek z Filadelfii, który dla działań rewaloryzacyjnych zakupił kamerę termowizyjną. Dalej: Wiesław Ochman, Czesław Rzepiński, prof. Henryk Łowmiański. Ale są osoby, które przyjeżdżają co roku by pomagać przy odnowie, są emeryci, którzy od lat co miesiąc z renty wpłacają na nasze konto po 200 zł, szkoły przysyłające pieniądze za uzbieraną makulaturę. To prawda, że ważne są pieniądze, ale nie mniej ważne jest serce. Na murze okalającym Muzeum Archeologiczne umieszcza się tabliczki z nazwiskami ofiarodawców. To dla pamięci pokoleń.

— Skoro jest pan tak bardzo zaangażowany w odnowę Krakowa, to czy ma pan czas na rzeczy doczesne: na lektury, na dziewczyny, na kieliszek dobrej wódki?

— Na niektóre z tych rzeczy mam czas. Mam także wspaniałą i wyrozumiałą żonę Alicję i dwie córki.

— Ale na ryby nad Wisłę pan nie chodzi?

— O nie! Ryb z Wisły nie da się jeść, cuchną.

— A gdzie pan odpoczywa?

— Jak najdalej od Krakowa, najlepiej nad morzem. A co czytam? Przede wszystkim wszystko, co pojawia się o Krakowie. Sporo też literatury o świecie.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

SERGO ŁOMINADZE

* *

Przysiadła nad rzeką szeroką
Brygada, a wszyscy — chłop w chłopa,
Dwudziestu, na zero strzyżonych,
Dwudziestu, przez Boga skrzywdzonych.
Wiatr z falą wywija,
Konwój skręty zwija,
A samosiejka gorzka,
A na górce w bok troszkę
Inna brygada jest:
Dwadzieścia kobitek fest,
Dwadzieścia, pięć lat nie strzyżonych,
Przez Boga też pokrzywdzonych.
Czy coś się tu, bracia, wykręci?
Naczelniku, no to jak będzie?
I w łapę się pchało gadu,
I w gardziel się pchało gadu,
A z nim ni ładu, ni składu.
I siedzą tak dwie brygady,
Nad rzeką i na wzgórzu,
Wietrzyk z falą psoci troszkę,
Nasz konwojent skręta kurzy,
A samosiejka gorzka.
(1959)

Przekład:
EWA-KATARZYNA NOWAK

GŁOŚNE KSIĄŻKI

„Pani Ludwik XV"

Dzieje małżeństwa Marii z Ludwikiem, jej codzienne życie w Wersalu, stosunek do otoczenia i rola w życiu publicznym — są tematem książki Levrona, usiłującej narzucić nowe światło na postać, którą historycy — jak twierdzi autor — traktują dotąd w sposób dość lekceważący. Bierze się to z tej przyczyny, że Maria trzydzieści się w wieku 23 lat małżonką jednego z wielkich władców ówczesnego świata, żyła prawie cały czas za kulisami wielkiej polityki, nie znajdując również pełnego zrozumienia u małżonka, którego obdarzała szczerym uczuciem, mimo jego licznych miłostek i obecności na dworze kolejnych faworyt. Uczucie osamotnienia spotęgowało się jeszcze po kolejnych zgonach jej sześciorga dzieci, w tym samego

mała się raczej z dala od spraw politycznych, poświęcając się życiu rodzinnemu, rodząc i wychowując dwanaścioro dzieci. Miała opinię człowieka żyjącego w cieniu swego sławnego męża, stąd — dość ironiczne określanie jej mianem „Pani Ludwik XV". Niektórzy współcześni uważali ją też za dziwaczkę z uwagi na fakt jej publicznie demonstrowanej bigoteryjnej pobożności.

Maria Leszczyńska, córka Stanisława Leszczyńskiego (od 1704 r. króla Polski), urodzona we Wrocławiu w 1703 r. dość wcześnie opuściła rodzinny kraj przebywając z rodzicami w Szwecji i Niemczech, póki jej ojciec nie osiadł na stałe w Alzacji. W 1725 r. regent Francji Louis-Henry Bourbon doprowadził do jej małżeństwa z kilkunastoletnim zaledwie wówczas Ludwikiem XV, licząc na ugruntowanie w ten sposób swych wpływów na dworze.

Córka zdetronizowanego króla polskiego, stała się Delfina.

Recenzent „Le Monde", charakteryzując psychologiczną sylwetkę królowej, wyraża się z uznaniem o jej pełnej godności postawie, umiejętności zjednywania sobie najbliższego otoczenia, wrodzonej inteligencji i błyskotliwej umysłowości.

M. B.

(Jacques Levron: „Madame Louis XV" (Pani Ludwik XV). Wyd. Librairie academique Perrin str. 264).

„...Jeśli tylko ktoś umie śpiewać"

Rozmowa z ELŻBIETĄ CHUDY.

— Na tegorocznym Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej w Ustroniu wystąpiła pani już po raz czwarty, zdobywając Grand Prix. Gratuluję. Czy piosenkarski debiut miał miejsce właśnie cztery lata temu?

— Nie, śpiewałam już wcześniej w domu kultury na Żubardzlu, były zaawansowane próby i przygotowania do występu na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze.

— Dlaczego zaczęła pani śpiewać?

— O, to był przypadek. Ktoś znajomy odkrywszy, że nieźle śpiewam „wciągnął" mnie do domu kultury...

— Powróćmy do festiwalu w Ustroniu. Jak się pani przygotowuje, skąd bierze teksty?

— Teksty piosenek fonetycznie spisuję z radia, jakichś nagrań magnetofonowych czy płytowych. Te ostatnie są u nas bardzo trudno dostępne. Przed rozpoczęciem festiwalu przyjeżdża na spotkanie pan z Czechosłowacji, który koryguje błędy w wymowie i w zasadzie mówi... o czym śpiewam, bo niestety ani czeskiego, ani słowackiego nie znam.

— Co dał pani ten festiwal?

— Przede wszystkim dużo radości i satysfakcji. Oprócz Grand Prix, na które składa się bardzo okazała kryształowa lira i 30 tysięcy złotych, dostałam nagrodę ministra kultury Czechosłowacji, nagrodę Słowacji, telewizja z Katowic ufundowała nagrodę w postaci nagrania teledysków i jeszcze dwie nagrody, tak że w sumie z Ustronia wywiozłam ich sześć.

— Co w tym festiwalu najbardziej panią zafrapowało?

— Wszystko! Jeżeli tylko ktoś umie śpiewać, to polecam Ustroń. Na festiwalu występują także piosenkarze zawodowi, i są to nasi najlepsi, gra wspaniała orkiestra pod dyrekcją Zbigniewa Górnego. Nie ma tam walki, każdy każdemu pomaga, jest doskonała atmosfera. Różnie zaś bywa po ogłoszeniu wyników, ale myślę, że to jest cecha każdego festiwalu czy przeglądu.

— Czy ten festiwal może być pierwszym szczeblem w karierze piosenkarskiej?

— Mógłby być. W tym roku była jego trzynasta edycja i przez te lata żaden z jego laureatów nie miał szansy pokazać się gdziekolwiek. Po zakończeniu festiwalu w prasie katowickiej ukazała się notatka na mój temat, a także opinia, że przynajmniej zdobywca pierwszej nagrody powinien wystąpić w Opolu...

— Poszukując pani zorientowałem się, że zmienia pani pracę.

— Tak, dostałam propozycję pracy w wojskowym zespole „Flotylla" z Gdyni. Bardzo boję się tych nowych okoliczności, nowej pracy, nie wiem czy sobie dam radę, a poza tym żal mi rodziców, których zostawiam w Łodzi, znajomych...

— Coś mi się tutaj nie zgadza. W programie „102" mówiła pani, że nie marzy o karierze piosenkarki, że wcale nie chce śpiewać zawodowo.

— Ma pan rację, ja nie zabiegałam o możliwość zawodowego śpiewania, to „Flotylla" wyszła z propozycją. Wszystko odbyło się jakoś niechcący, przypadkiem i chyba dlatego postanowiłam spróbować.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy w domu, w kuchni też pani śpiewa po czesku?

— Oj, przed festiwalem tak.

Rozmawiał:
BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

MŁODZI O SOBIE

Muzykolog

— Po skończeniu średniej szkoły muzycznej oczywistym wyborem jest Akademia Muzyczna, bądź muzykologia?

— To nie zawsze jest takie oczywiste. Choć ja nie wyobrażałam sobie pozostawienia muzyki. Wiedziałam, że bez muzyki, bez bezpośredniego z nią kontaktu, nie mogłabym iść dalej.

— Wybrałaś muzykologię. Co wpłynęło na tę decyzję?

— Teoria była moją mocną stroną. Nie znaczy to, że z praktyką było gorzej. Jednak pod koniec szkoły stwierdziłam, że barierą mojego dalszego rozwoju muzycznego jest słuch. Poświęcałam mu zbyt dużo czasu, nie tylko przygotowując się do egzaminów.

— Czy marzenia spełniły się?

— Marzyłam, że będzie więcej samej muzyki, że będzie można grać, wykorzystać żywą muzykę — niestety tak nie było. Studia są raczej trudne. Często jako studenci zastanawialiśmy się, jak je prowadzić, by nie były nudne, przegadane. Muzyki nie można przegadać! Buntowaliśmy się, ale nie wymyśliliśmy zbyt wiele nowego. Jakkolwiek wiem choćby z wykładów gościnnych — byli Niemcy i Włosi, że może to wyglądać inaczej. Wydaje mi się, że jest wiele zajęć absolutnie zbędnych, ze szkodą dla przedmiotów kierunkowych, nie mówiąc już o tym, że nierzadko trzeba było przez nie rezygnować z koncertu.

— Jednak świetnie dawałaś sobie radę, były jakieś sukcesy?

— Sukces? Jeśli myślisz o nagrodach rektorskich, to chyba zaliczyłam (tak, tak, raz nawet starczyło na dobry album). Naprawdę za sukces uważam raczej zdanie egzaminu, uchodzącego u nas za trudny, na bardzo dobrze.

— Pracę magisterską oceniono również na bardzo dobrze. Czy pomogła w uzyskaniu atrakcyjnej oferty pracy?

— Uważam, że praca magisterska nie daje żadnych przywilejów. Niemniej czasami promotor coś zaproponuje.

— Mimo to, tobie się udało, znalazłaś interesującą pracę. Nie marzyłaś o takiej ani przed, ani w czasie studiów.

— Tak, tyle że mam z niej... tylko satysfakcję, bo tego zasiłku nie można nazwać pensją. Praca zaspokaja moje ambicje ale pozwolić sobie na jej wykonywanie i na satysfakcję z niej nie będę mogła zbyt długo. Przynajmniej dopóty, dopóki za słowa „satysfakcja z pracy" nie będzie można kupić butów książki czy chleba. Jako muzykolog powinnam może „oderwać się od materii" powiedzieć coś „idealistycznego", no ale właśnie taki mam nastrój.

(autor zastrzegł sobie anonimowość)

Rozmawiała:
JOLANTA POL

PESTKI DYNI

W naturze człowieczej leży łączenie wielkości z małością, nikczemności ze szlachetnością najwyższej próby. Zygmunt Broniarek przypomniał w „Ekranie", że Errol Flynn, bez którego nie byłoby takiego Kapitana Blooda, takiego Robina Hooda, takiej Szarży lekkiej brygady — był niemieckim i japońskim szpiegiem, patologicznym antysemitą (dzięki matce), rasistą i handlarzem niewolników; że to on właśnie wydawał w czasie wojny w Hiszpanii Niemców walczących w Brygadach Międzynarodowych i ich rodziny w kraju w ręce gestapo, i że przy okazji kręcenia (w 1941) filmu „Bombowiec nurkujący" spowodował sfotografowanie z powietrza i z lądu całego Pearl Harbor i lotniskowca Enterprise w bazie San Diego, co bardzo ucieszyło Japończyków...

Mnie zaś przypomniał się inny zdrajca — Ezra Pound; jeden z największych poetów amerykańskich i światowych naszego stulecia, który gdyby nie został uznany wariatem, to by wisiał; tragikomiczna postać o wręcz dantejskim formacie... Z racji jego „wojennych zabaw" twórczość Ezry Pounda raczej mało jest u nas znana; ciąży na niej piętno, na które my, Polacy — w przeciwieństwie do wielu innych nacji — jesteśmy wyjątkowo uczuleni. Natomiast spotykaliśmy to nazwisko czytając wspomnienia i listy T.S.Eliota, Hemingwaya, Joyce'a, Cocteau, W.C. Williamsa, E.E. Cummingsa..., innych intelektualistów i artystów z międzynarodowej czołówki. Niemniej trzeba sobie uświadomić fakt, że bez tego nazwiska nie istnieje pełny kontrfekt poezji anglojęzycznej i literatury światowej; nie ma też legendy awangardy lat 20-tych i 30-tych.

Hemingway tak go widział: — „Mieliśmy oto wielkiego poetę, Pounda, który na własną twórczość poświęcał — powiedzmy — jedną piątą czasu. Reszta — to starania dla przyjaciół, zarówno materialne jak i artystyczne. Bronił ich, gdy byli atakowani, umieszczał ich utwory w periodykach, walczył o zwolnienie z więzień, pożyczał im pieniądze, sprzedawał za nich obrazy. Urządzał im koncerty, pisał o nich artykuły. Wprowadzał do salonu bogatych dam. Przekonywał wydawców, by drukowali ich książki (...) Kończyło się na tym, że tylko niewielu spośród nich nie wbijało mu noża w plecy, gdy tylko nadarzyła się okazja".

Pound pochodził ze starej, pionierskiej rodziny amerykańskich kwakrów, w której było kilku koniokradów i kilku senatorów. Studiował romanistykę. Noc spędzona z pewną aktoreczką i późniejszy skandal zniechęciły go do purytańskiej Ameryki. Wyjeżdża i odtąd będzie tworzył na emigracji. W Londynie zdobywa dużą popularność, gromadzi nowocześnie myślących, artystów różnych branż i nacji... I wojna zabiera kilku z nich. Pound jest zdjęty grozą, ogarnia go pesymizm, pisze przeciw wojnie „Hugh Selwyn Mauberley"... Potem jest Paryż i „stracone pokolenie"; wielki kryzys i karkołomne pomysły polityczne i ekonomiczne Pounda, fascynacja Mussolinim i Hitlerem, wreszcie owe fatalne audycje w radiu włoskim dla alianckich żołnierzy w czasie wojny. Kiedy miano go w 1945, w Waszyngtonie sądzić za zdradę, dawni przyjaciele — same znakomite nazwiska! — postarali się o uznanie go niepoczytalnym, co było po części prawdą (głupota i schizofrenia). Zamknięto go na 12 lat w domu wariatów. Przez cały czas Ezra Pound tworzył... Geniuszowi wybaczono zdradę; czy wybaczono człowiekowi?

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

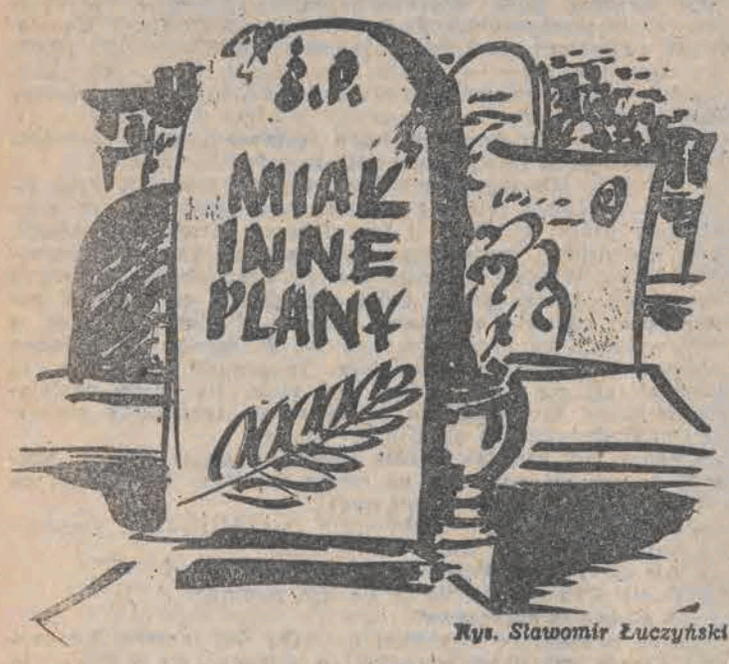

Rys. Sławomir Łuczyński

COŚ Z (KULTURY) ŻYCIA

„Zechce Pan łaskawie przyjąć wyrazy szczerego uznania oraz z głębi serca płynące gratulacje za wprowadzenie na rynek znakomitej torby jednorazowego użytku (w cenie bagatela!, 10.600 zł za sztukę). To już nawet nie drugi etap reformy, to etap dwudziesty. Wprawdzie symbol torby „BX—319" każe domyślać się kryptonimu B jak BUBEL albo B jak Butelka (w jaką nabija się klienta), nie sądzę jednak, by dla Białostockich Zakładów Wyrobów Galanteryjnych miało to jakiekolwiek znaczenie. Utwierdza mnie w takim przekonaniu podpisane przez szanownego Pana pismo z dn. 1988.08.09 (znak: DJ-826-88) odstępujące od uznania reklamacji nr 346 z dnia 1988.08.02 nadesłanej przez sklep nr 644 Przedsiębiorstwa Handlu Ubiorami „Otex" (Łódź, ul. Piotrkowska 130). Otóż Pański Zakład do reklamacji (polegającej na wymianie skruszonych kółek) nie poczuwa się. I słusznie! No bo jakże: tak znakomity towar i tak nierozgarnięty klient, który nie potrafi z niego skorzystać! No bo przecież, jeśli już torba posiada kółka — to nie po to, żeby ułatwiały podróż, ale w tym celu, by je wyłącznie oglądać i podziwiać przy tym szczyt osiągnięć technicznych i ekonomicznych Białostockich Zakładów Wyrobów Galanteryjnych! A propos: nazwa Waszych Zakładów nie ma chyba nic wspólnego ze słowem GALANT, które — jak Pan zapewne wie — oznacza człowieka grzecznego, uprzejmego, eleganckiego. Kłaniam się zatem Wielce Szanownemu Panu Dyrektorowi z galanterią (czyli wytwornie, bo na to mnie stać, chociaż nie stać mnie na zakup torby „BX—319", co jest równoznaczne z wyrzuceniem pieniędzy w błoto!)".

Tu następuje podpis klienta, który stracił pieniądze, lecz nie stracił kultury osobistej. Może to jest jedyny sposób na panujące stosunki?

O A. SOŁŻENICYNIE

„W lutym 1974 r., dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, laureat Nagrody Nobla, pisarz Aleksander Sołżenicyn został pozbawiony obywatelstwa ZSRR na podstawie art. 64 Kodeksu Karnego „za zdradę ojczyzny". A. Sołżenicyn został aresztowany w swoim mieszkaniu i przewieziony do więzienia lefortowskiego, gdzie poinformowano go o artykule i o wyroku. Specjalnym samolotem został wywieziony poza granice swojego kraju. Miał wówczas 56 lat. Na jego życie w Rosji składały się: nauka w dwóch instytutach, wojna (w czasie wojny dowódca baterii odznaczony orderem Wojny Narodowej II stopnia oraz Czerwonej Gwiazdy!), 8 lat obozów, zesłanie, praca w charakterze nauczyciela matematyki w szkole wiejskiej, a później w riazańskiej oraz codzienna, pełna zapału i uniesień praca twórcza, bez jakiejkolwiek taryfy ulgowej ze względu na bardzo trudne warunki życiowe, na nagonkę, oszczerstwa i chorobę... Sołżenicyn nie w pełni dobrowolnie zgodził się na opublikowanie za granicą tego najdroższego swemu sercu, ukrywanego przez pewien czas utworu (pierwszy tom „Archipelagu Gułag"), o którym wiedziało tylko kilku jego najbliższych przyjaciół. Zmusiły go do tego kroku okoliczności. Rzecz w tym, że w sierpniu 1973 roku skonfiskowano jeden z początkowych wariantów książki. Później, w niewyjaśnionych okolicznościach, zginęła Jelizawieta Denisowna Woronianska, stara, samotna mieszkanka Leningradu, która przez wiele lat pomagała Sołżenicynowi jako maszynistka.

...Historia z konfiskatą rękopisu „Archipelagu" nie była pierwszą w łańcuchu przemocy wobec archiwum pisarza. 11 września 1965 r., w mieszkaniu osób, którym Sołżenicyn powierzył przechowywanie rękopisów, skonfiskowano jego powieść „W kręgu pierwszym" oraz wiersze („Serce pod kurtką marynarską") i sztuki napisane jeszcze w obozie. Ta pierwsza konfiskata dała początek nagonce na Sołżenicyna i doprowadziła do wykluczenia go ze Związku Pisarzy ZSRR (grudzień 1969 r.), wystawiła go na burzę nieustannych oszczerstw, pogróżek i zniewag. A co najważniejsze, zagrodziła drogę do publikacji jego utworów na ziemi ojczystej. Żadna z książek, które napisał w Rosji po 1965 r. — „Oddział chorych na raka", „Bódł się cielak z dębem", „Sierpień roku czternastego" (nie mówiąc już o scenariuszach i opowiadaniach) — nie została dopuszczona na łamy prasy radzieckiej...". (Fragment publikacji literaturoznawcy, Jeleny Czukowskiej w „Kniżnoje Obozrienije"). Dodajmy, że „Nowyj Mir" zapowiada druk „Oddziału chorych na raka".

FRONCZEWSKI W ROLI ŚLIWY

We Wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych skierowano do realizacji w Zespole Filmowym „Kadr" nowy film fabularny „Konsul" w reżyserii i ze scenariuszem Mirosława Borka. Film wykorzystuje autentyczne wydarzenia związane z działalnością słynnego oszusta, rzekomego konsula zagranicznego Śliwy vel Silbersteina, który skutecznie wprowadzał w błąd nie tylko obywateli, ale i władze w latach sześćdziesiątych. W roli tytułowej wystąpi Piotr Fronczewski.

A skoro już mowa o wrocławskiej wytwórni to warto odnotować, że na półmetku znajdują się zdjęcia do filmu pt. „Światło odbite" w reżyserii Walentego Titkowa, w którym przypomniane zostaną dzieje życia i twórczości Andrzeja Bursy. Bohdan Poręba zaś kończy ostatnie zdjęcia plenerowe (Zespół „Profil") do nowego filmu fabularnego pt. „Penelopy" o nocy sylwes-

Muzeum na wyjeździe

— rozmowa z dyrektorem Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi — NORBERTEM ZAWISZĄ

— Duża czasowa wystawa w salach Centralnego Muzeum Włókiennictwa, a do takich zalicza się Międzynarodowe Triennale Tkaniny, to zarazem pewność, że swoje zbiory prezentujecie gdzieś poza muzeum.

— To prawda. Do końca wakacji będzie eksponowana duża wystawa tkaniny artystycznej twórców łódzkich w Muzeum w Nowej Soli. W sierpniu gościliśmy na Zamku w Książu. Pokazujemy tam przegląd polskiej tkaniny powojennej, poczynając od klasyki, takich autorów jak **Helena i Stefan Gałkowscy** kończąc na pracach artystów, którzy debiutowali w połowie lat osiemdziesiątych. Natomiast zamówienia zagraniczne będziemy realizować od wczesnej jesieni. Najbliższą wystawą, którą szykujemy jest wystawa dla Meksyku, która następnie zostanie przewieziona na Kubę. W Meksyku zaistniejemy w miejscu jednym z najbardziej prestiżowych dla sztuki współczesnej — Museo Rufino Tmayo. Dostaliśmy tam chyba najlepsze sale o powierzchni około 700 m kw. i około 140 m ekspozycyjnych ścian.

— Będzie można pokazać te prace, których na przykład łódzka publiczność nie może oglądać, ponieważ CMW nie posiada dostatecznie wysokich na to sal?

— Oczywiście korzystamy — jak zawsze zresztą z możliwości stwarzanych nam przez partnerów. Mamy w zbiorach kilkadziesiąt prac, które nigdy nie były pokazywane w Łodzi. Okazjonalnie, pojedyncze egzemplarze prezentujemy w innych miastach, jeżeli warunki ekspozycyjne na to pozwalają. W bez mała trzydziestoletniej historii naszego muzeum właściwie tylko raz mieliśmy okazję przedstawić te prace w większym wyborze. Te największe kompozycje były prezentowane na wystawie zorganizowanej w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w salach wówczas jeszcze nie wykończonych Zamku Królewskiego w Warszawie.

— Wróćmy do wystawy w Meksyku.

— Przewidujemy pokazanie około 70 prac — a więc jest to już wystawa zaliczana do większych — takich, które dadzą reprezentatywny obraz polskiej tkaniny artystycznej ostatnich prawie dwudziestu lat. Taki wybór podyktowany jest tym, że w końcu lat sześćdziesiątych gościliśmy już w Meksyku z podobną wystawą, na której pokazane były prace z okresu poprzedzającego tamten pokaz

— Nie jest tajemnicą, że Centralne Muzeum Włókiennictwa współpracuje z pokrewnymi mu instytucjami w Iwanowie i w Karl-Marx-Stadt.

— Miło mi odnotować, że zarówno strona radziecka jak i koledzy z NRD podkreślają nasz istotny wkład w programowanie przygotowywanych przez nich ekspozycji. A jeżeli chodzi o to, co teraz tam się dzieje, w Iwanowie jest czynna wystawa z naszych zbiorów, znana łodzianom — **Sekrety mody kobiecej.** Byłem na jej otwarciu, i mogę powiedzieć, bo po prostu to widziałem, że wzbudziła wielkie zainteresowanie. Tego rodzaju wystawy tam nie było. Jeszcze kilka lat temu jej urządzenie, nie tylko w Iwanowie, ale w ogóle w Związku Radzieckim, byłoby nie do pomyślenia.

— Czy ze względu na ogromny kapelusz, który jest ozdobą tej wystawy?

— Myślę, że raczej z powodu bardziej intymnych części garderoby, które na ogół nie oglądają światła dziennego... Bardzo się to podobało.

— A co słychać u drugich sąsiadów?

— W połowie maja, na zaproszenie Centrum Kulturalnego i Muzeum Miejskiego w Karl-Marx-Stadt uczestniczyłem w międzynarodowym sympozjum, które dotyczyło związków pomiędzy muzeami i przemysłem lekkim, mówiłem o polskim wzornictwie tkanin przemysłowych. We wrześniu spodziewamy się przyjazdu pięcioosobowej grupy na wystawę Triennale.

— Bodaj rok po objęciu przez pana dyrekcji Muzeum odbyliśmy dosyć długą rozmowę na temat działalności publikatorskiej. W pana wypowiedzi nie było wówczas zbyt wiele optymizmu.

— Wiadomości nadal nie są pocieszające. Sytuacja z papierem raczej się pogorszyła i nikt już nie obiecuje, że to się w ciągu najbliższych lat zmieni. Na ten rok otrzymaliśmy przydział 500 kg papieru i 200 kg kartonu. Mimo to w ciągu siedmiu lat nie zdarzyło się, aby — jeżeli w ogóle planowaliśmy wydanie katalogu lub plakatu — nie był on gotowy przed otwarciem wystawy, której dotyczył.

— Rzeczywiście. Jednak dla pozycji Muzeum ważne są także publikacje naukowe nie związane z działalnością wystawienniczą.

— Będziemy mieli publikacje, ale nie w wydawnictwach naszego Muzeum. Kustosz **Halina Jurga** i pani **Małgorzata Wróblewska-Markiewicz** przygotowały opracowanie poświęcone tkaninie artystycznej i Konstytucji 3 Maja. Jest ono wynikiem współpracy z Komitetem Wydawniczym i Naukowym utworzonym przez Uniwersytet Łódzki, a mającym na celu upamiętnienie tej historycznej ustawy. Ukaże się publikacja odnosząca się do spraw politycznych, społecznych, historycznych i również artystycznych tego okresu. Także na rok dziewięćdziesiąty przygotowujemy katalog i zarazem opracowanie naukowe — autorką jest pani **Halina Jurga** — poświęcone polskiemu kilimowi, związane z dużą wystawą, którą na ten czas planujemy. Mogę jeszcze wspomnieć o wydawnictwie przygotowanym w pełni do druku, a zawierającym katalog polskiej tkaniny artystycznej lat 1945—1980. Do tej pory materiały te leżą w naszym archiwum. Muzeum nie jest w stanie wydać tego własnymi środkami, nie udaje się nam też znaleźć kontrahenta. Natomiast, co nam się sprawdzi i co będziemy robić? Slajdy. Można je w Polsce wykonać, niezłe i po przystępnych cenach.

Rozmawiała:
KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

*Centralne Muzeum Włókiennictwa — Międzynarodowe Triennale Tkaniny: **Filaret Oloier** (Rumunia)*

Kronika

DWUJĘZYCZNY PRZEWODNIK PO LWOWIE planują wydać rzeszowski oddział KAW i lwowski „Kamieniar".

NA PREMIERĘ DOKUMENTALNEGO FILMU „VIOLETTA VILLAS", zrealizowanego w Wytwórni Filmów Dokumentalnych przez Zbigniewa Kowalewskiego, zapowiedziała swój przyjazd — z Chicago do kraju — sławna piosenkarka wraz z mężem Tedem Kowalczykiem.

Z WYSTAWĄ SWOICH FOTOGRAFII WYBIERA SIĘ DO WARSZAWY znana gwiazda filmowa — Gina Lollobrigida.

JEDNĄ Z GŁÓWNYCH ATRAKCJI wrześniowego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku będzie — zaprezentowany poza konkursem — najnowszy film Romana Polańskiego „Frantic". W tym trzymającym w wielkim napięciu thrillerze główną rolę kreuje Harrison Ford, zaś jego partnerką jest piękna Emmanuelle Seigner.

Drugą niespodzianką będzie specjalny pokaz obrazu „Na srebrnym globie" Andrzeja Żuławskiego. Reżyser zmontował ten film (bez dokrętek) po dziesięciu latach od chwili przerwania jego produkcji przez ówczesne kierownictwo kinematografii.

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY W WENECJI rozpoczął się projekcją obrazu „Drogi Gorbaczow" (reż. Carlo Lizzani). Kanwę jego stanowi relacja, dotycząca rehabilitacji jednego z przywódców Rewolucji Październikowej — Mikołaja Bucharina, straconego w 1937 r. z rozkazu Stalina.

Na pokazie obecna była wdowa po Bucharinie — Anna Bucharin.

WE WRZEŚNIU UKAŻE SIĘ PIERWSZY numer magazynu „Atut" organu Federacji Konsumentów. Ma to być atrakcyjne pismo dla sterroryzowanych przez producentów klientów.

Jego redaktor naczelny — Andrzej Zmuda — zapowiedział, iż nie będzie w „Atucie" miejsca na golizznę.

W MEMPHIS (w stanie Tennessee) odbył się doroczny tydzień, poświęcony uczczeniu pamięci legendarnego piosenkarza, króla rocka, Elvisa Presleya.

Do jego posiadłości — muzeum — przybyły tłumy turystów z całego świata.

Przechowywane są ekscentryczne ubiory piosenkarza, smoking z wesela, stroje sceniczne.

Eksponowana jest też biżuteria, ze słynnym 16-karatowym diamentem.

JESIENIĄ ODBĘDZIE SIĘ W BUDAPESZCIE zagraniczna premiera azerbejdżańskiego filmu „Nikczemnik".

Piętnuje on ujemne przejawy życia społeczeństwa radzieckiego w latach zastoju (za kadencji Leonida Breżniewa).

Obraz ten będzie pokazany na festiwalu w San Francisco.

STARANIEM SPOŁECZNEGO KOMITETU ROZBUDOWY MUZEUM BITWY NAD BZURĄ W KUTNIE wybito medal dla uczczenia pamięci poległych tam w 1939 r. polskich żołnierzy.

Autorem projektu jest warszawski artysta Grzegorz Kowalski.

Dochód ze sprzedaży medalu (kosztuje 2 tys. zł) będzie przeznaczony na budowę nowego pawilonu muzealnego.

Z OKAZJI 49 ROCZNICY AGRESJI HITLEROWSKICH NIEMIEC we wrześniu 1939 r. na Polskę Klub Kombatantów II wojny światowej przy Łódzkim Komitecie Stronnictwa Demokratycznego organizuje 9 IX br. okolicznościowe spotkanie.

Mgr Eugeniusz Duch wygłosi na nim prelekcję pt. „Wojna Obronna Polski 1939 r.".

PO PRZERWIE URLOPOWEJ wznawiają działalność łódzkie teatry.

Teatr Nowy inauguruje sezon 8 września br. spektaklem „Jaja jak berety" Stanisława Tyma. Przedstawienie to zobaczymy w reżyserii Jerzego Hutka.

Następnymi premierami będą: „Wędrowny teatr Sopalovicja" Ljubomira Simovicia" (reżyseria Krzysztofa Rościszewskiego) i „Bonjour Marcel D" Jerzego Sitarza (wyreżyserowany przez Lucynę Mielczarek).

Pod koniec września Teatr Nowy wyjedzie na tournee do Jugosławii (zaproszony przez Serbski Teatr Narodowy z Nowego Sadu).

Wznowił też, po wakacjach, działalność Teatr Lalek „Pinokio". W sali przy ul. Ogrodowej 18 można oglądać przedstawienie pt. „Drobne zdarzenie z zamierzchłej przeszłości", według A. Puszkina i M. Zoszczenki. Adaptacja: Bogumiły Rzymskiej, reżyseria Wojciecha Kobrzyńskiego, scenografia Janiny Kamińskiej.

W STOŁECZNYCH BIBLIOTEKACH, podczas letnich miesięcy, najczęściej czytaną książką — absolutnym szlagierem — było „Imię róży" Umberto Eco.

Do najbardziej poszukiwanych należały również: „Wielki las" Zbigniewa Nienackiego, „Jaśnie panicz" Joanny Siedleckiej i „Dzienniki" Witolda Gombrowicza.

NA DWORCU CENTRALNYM W WARSZAWIE, w sałce mogącej pomieścić 45 osób, od niedawna czynne jest dworcowe kino wideo.

Podróżni — za jedyne 200 złotych — mogą obejrzeć film japoński oraz kabaret Jana Pietrzaka.

Warto też chyba o czymś takim pomyśleć w „straszących" łódzkich poczekalniach dworcowych.

W GALERII PRACOWNI KONSERWACJI ZABYTKÓW, na warszawskiej Starówce, czynna jest wystawa obrazująca dziesięcioletni dorobek Łódzkiego Oddziału PKZ.

Łódzcy konserwatorzy zasłynęli w tym okresie przy odnowie zabytkowego zespołu pałacowo-parkowego Sans-Souci w Poczdamie i polichromii mieszczańskich kamieniczek Tallina.

W kraju pracowali przy renowacji 1200 obiektów — m.in. Zamku Królewskiego w Warszawie

Opracował: JAK

„W muzyce szukam spokoju..."

Rozmowa z BARBARĄ PUCHALSKĄ.

— Jaką drogą doszła pani do „męskiej" raczej dziedziny twórczości, jaką jest kompozycja?

— Drogą taką samą, jak niektórzy koledzy. Od dziecka improwizowałam na fortepianie, potem — jeśli była okazja — również na organach. To mnie bawiło. „Sama" mi się jakoś układała forma (najczęściej A-B-A). Z zapałem wyszukiwałam co ciekawsze współbrzmienia. Gdy chodziłam do szkoły muzycznej i jednocześnie ogólnokształcącej, w LO proszono mnie często o „podegranie" czegoś, dorobienie akompaniamentu itp.

— A w czasach studenckich?

— Studiując teorię muzyki w PWSM zaczęłam pisać utwory kameralne. Wykonywali je koledzy — instrumentaliści. Prof. **Przybylski**, u którego miałam współczesne techniki kompozytorskie i zajęcia z kompozycji dla teoretyków, pochwalił kiedyś mój pastisz pieśni Musorgskiego. W końcu zaproponował systematyczne studia kompozytorskie. W ich trakcie pisałam już najczęściej atonalnie i z uwzględnieniem nietypowych zestawów instrumentalnych. Zawsze lubiłam bowiem eksperymenty kolorystyczne.

— Czy nie zastanawiała się pani, dlaczego od czasów Safony tak mało niewiast osiągnęło liczące się rezultaty kompozytorskie? Np. wydany przez PWM leksykon „1000 kompozytorów" wymienia zaledwie 8 kobiet parających się twórczością muzyczną.

— Myślę, że dawniej kobiety nie miały w tej dziedzinie podobnych możliwości kształcenia się, jak mężczyźni. Teraz, oczywiście, nie trzeba już o równouprawnienie walczyć. Ale i dziś panowie traktują pracę kompozytorską o wiele bardziej ambicjonanie od nas, dążą do zrobienia kariery.

— Czy istnieje, posiadająca pewną odrębną specyfikę, „muzyka kobieca"?

— Płeć autora nie ma chyba większego wpływu na charakter czy styl dzieła. Raz tylko zdarzyło się, że określono moje kompozycje jako „kobiece". Zrobił to **prof. Bauer** wtedy, gdy zaczynałam studia. Chodziło mu jednak o „cienkość" i niedoskonałość faktury. Później takie „cienkie" utwory przestałam pisać. Udało mi się fakturę zagęścić, zwiększyłam też zadania wirtouzowskie. I np. ostatnio, po prawykonaniu w Oporu mego Concertina na obój i orkiestrę kameralną muzycy zgodnie stwierdzili że „jest tam co pograć".

— Mówimy o fakturze pani utworów. A forma?

— Wie pan, mam w tym względzie swoistą koncepcję. Otóż marzy mi się, aby muzyka „płynęła". To znaczy, by rozwijała się w sposób ewolucyjny, mniej więcej tak, jak w formach barokowych a nie późniejszych, klasycznych czy romantycznych, wyzyskujących zdecydowane kontrasty. Ja w muzyce szukam spokoju. I niechby również słuchacz mógł w moich utworach znaleźć okazję do odprężenia, relaksu, a nawet i medytacji. Nad tym właśnie pracuję.

— Pisze pani głównie muzykę solową i kameralną, w tym też utwory pedagogiczne, prezentowane m. in. na festiwalu DO-RE-MI...

— Dzieje się tak pewnie dlatego, że z problemami pedagogiki muzycznej stykam się na co dzień. W łódzkiej uczelni na Wydziale Wychowania Muzycznego prowadzę zajęcia z propedeutyki kompozycji, kontrapunktu oraz improwizacji fortepianowej. Do rozwijania kreatywnego myślenia studentów przykładam zresztą ogromną wagę. Dlatego cieszę się, że udało mi się spowodować wprowadzenie (wzorem sekcji rytmiki) ćwiczeń z improwizacji także na tym wydziale.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Majówki otrzepane z kurzu

Animatorzy kultury z ZDK „Poltex" porozumieli się ze związkowcami z Teatru Powszechnego w sprawie wspólnego show na podobieństwo „Kramu z piosenkami", tyle że ze starołódzkimi akcentami.

Efektem współpracy jest godzinny, wyłącznie śpiewany program pt.: „Obrazki łódzkie, czyli zabawa wre na fest". Jego autorem jest Jerzy Korsztyn, aktor z „Powszechnego", a z konsultacją etnograficzną pospieszyła pracowniczka naukowa UŁ mgr Maria Wasiak.

Cała wyjątkowość przedsięwzięcia polega na tym, że po licznych stylizowanych przedstawieniach powstało pierwsze widowisko oparte na autentycznych tekstach, układanych spontanicznie przez (przeważnie) anonimowych autorów. Piosenki wykonywane przez najmłodszą łódzką kapelę „Włókniarska Brać" do muzyki jej akordeonisty Władysława Gamonia mają wiele wspólnego z treścią oraz atmosferą robotniczych majówek w parku na Julianowie.

Treścią widowiska są zabawne teksty o mentalności świeżo wykreowanych robociarzy, jak w jej piosence nieznanego autora: „Przyjechał Wojtek do Łodzi, chciał grać rolę pana/ dostał się do fabryki, już chodzi od rana/ I już nie jest chłopem prostym, pija kawę czasem/ wąsy smaruje pokostem, włosy koperwasem".

„Obrazki łódzkie, czyli zabawa wre na fest" będą pokazane w najbliższym czasie w Teatrze Powszechnym, jako jeden z akcentów 135-lecia dzisiejszych zakładów im. Juliana Marchlewskiego. Atrybutem spektaklu jest istna feeria świateł oraz dużo ruchu scenicznego. W przedstawieniu udział bierze, obok 5-osobowej „Włókniarskiej Braci", 5 aktorów zawodowych. Uproszczona scenografia powstała z myślą o występach plenerowych oraz na wyjeździe.

W. KUPISZ

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

trowej żon marynarzy pływających w dalekomorskich rejsach.

G. SZAPOŁOWSKA O SOBIE

„Myślę, że pojawiłam się w kinie w momencie przełamywania pewnego tabu. Konsekwentnie brałam w tym udział, nie oglądając się ani na krytykę, ani na prywatne docinki. Robiłam to, ponieważ nie miało to żadnego związku z moją prywatnością. A poza tym kobieta, jeśli jest naprawdę kobietą, jest nią do końca i tu nie chodzi o to, żeby się rozebrać i powiedzieć: proszę bardzo, stać mnie na to... To tak, jak z aktami. Albo są one mniej lub bardziej wiernym odtworzeniem kobiecego ciała, albo też emanuje z nich ta niepowtarzalna atmosfera, te trudne do określenia fluidy... Na przykład Węgrzy odkryli we mnie ostatnio femme fatale w pełnym tego słowa znaczeniu. Taką rolę zaproponował mi Szabó w „Hanussenie"... Kobiecie jest o wiele łatwiej wygłupiać się i kreować, to leży w jej naturze. Mężczyzna zaś musi być bardzo serio i to serio wypada czasami bardzo komicznie. Ja na przykład częściej „gram" w życiu niż w kinie. Zachowuję się prowokująco, głośno się śmieję. Mówię rzeczy, które nie mają ze mną nic wspólnego. Przyjmuję jakąś konwencję i bawię się nią... Zaproponowano mi rolę, ale już sam tytuł „Sztuka kochania" jest tak zachęcający, że nic tylko szybko wyjechać na wakacje... Nie wiem, może według Wisłockiej. Dzwoni telefon: Tu produkcja „Sztuki kochania", czy zgodzi się pani u nas zagrać? Ale w czym, pytam. No, w „Sztuce kochania". Odpowiedziałam więc: Nie, bo już się tej sztuki nauczyłam. Mówiąc poważnie chciałabym zagrać w filmie, który by ludzi naprawdę poruszył. Dostałam propozycję od Amerykanów i w tej chwili czekam, aż się ponownie odezwą. Może to zrobią, a może nie... (**Grażyna Szapołowska w rozmowie z Małgorzatą Domagalik — „Film" nr 36**).

MOCNY POCZĄTEK SEZONU W TEATRZE WIELKIM

Niezwykle interesująco zapowiadają się pierwsze dni września w Teatrze Wielkim. Niezależnie od zaplanowanych przedstawień operowych kierownictwo teatru zapowiada specjalne koncerty **Delfiny Ambroziak** (6. IX., godz. 20.30, foyer teatru), która wykona utwory **Romualda Twardowskiego** dla niej napisane i jej dedykowane („Erotyki") i **Paulosa Raptisa** (7. IX. jak wyżej), który wykona słynne arie i pieśni. Jednakże najbardziej uroczystym akcentem początku sezonu będzie koncert orkiestry TW z udziałem słynnej Polki — **Teresy Wojtaszek-Kubiak**. Ten ostatni koncert zapowiedziany jest na 10 i 11 IX. br.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Leon Wasilewski „Józef Piłsudski, jakim go znałem" — 8000 zł; **Jurij Sztanberg** „Pieczęcie powstańcze 1863—1864" — 2500 zł (cena nominalna 1100 zł); **Album „Łódź"** (zdjęcia fotograficzne dawnej Łodzi) — 10000 zł; **Lew Trocki** „Historia rewolucji rosyjskiej" (2 t.) — 20000 zł; **„Ze wspomnień żołnierzy AK Okręgu Nowogródek"** — 1500 zł (cena nominalna 600 zł); **E. O. Wilson** „Społeczeństwo owadów" — 1100 zł; **La Fontaine** „Bajki" — 10000 zł (cena nominalna 5500 zł); **A. Manfred** „Rausseau, Mirabeau, Robespierre" (Biografie sławnych ludzi) — 2000 zł (cena nominalna 1100 zł).

Myśli nieuczesane

STANISŁAW JERZY LEC

- „Pogrożę mu tylko palcem" — rzekł, kładąc go na cynglu.
- Czy z oka Opatrzności spadła kiedyś ludzka łza?
- I masochiści wyznają wszystko na torturach. Z wdzięczności.
- Litera prawa powinna być włączona do alfabetu.
- W piekle diabeł jest postacią pozytywną.
- Najwierniej podtrzymują mity — najmici.
- Dzwon na trwogę musi mieć odważne serce.
- Że dopuszczono wówczas do Stworzenia Świata!!!

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Prawdziwy koniec łódzkiej dintojry

(4)

ARNOLD MOSTOWICZ

Znudziła się wreszcie Szai bezczynność. Zaczął się za czymś rozglądać... Nie, nie... Nie chodziło, rzecz jasna, o jakąś pracę dla paru groszy gettowych i jednej głodowej racji żywnościowej. Taką pracę uważałby chyba Szaja za hańbę. Dawny boss dintojry zaczął szukać możliwości zarobku na większą, godną jego przeszłości i jego renomy skalę. Mistrz wszelkich fachów złodziejskich mógł zarabiać w jeden tylko sposób. Sam pan rozumie. Bez trudu mógł postarać się o jakieś kierownicze stanowisko i kraść ile wlezie — robiłby to z pewnością znacznie sprawniej i eleganciej niż inni. Ale Szai marzyło się coś znacznie większego i intratniejszego. Zważ pan, że od razu w tym założeniu widoczna jest niechęć Szai Magnata do okradania ludności żydowskiej, do owych brudnych interesików, z których większość polegała na kradzieży i handlu produktami żywnościowymi.

Krótko mówiąc, postanowił Szaja Magnat, że jeśli już ma kogoś okradać, to okradać będzie Niemców. Uważał, że w ten sposób odseparuje się od owych pętaków, którzy na każdym bochenku chleba, na każdym kartoflu i na każdej brukwi okradali ludność getta. Miał być może jakieś niejasne uczucie, że okradając Niemców walczyć będzie z wrogiem narodu żydowskiego, ale tego toku jego rozumowania nie jestem pewny. Powie pan, że to ostatecznie nic wielkiego. Z okradania Niemców żyło w czasie okupacji pół Polski. Tak, prawda. Tylko niech pan nie zapomina, że znacznie łatwiej było żyć z tego procederu poza gettem niż w getcie. To tak, jakby zaplanować w więzieniu okradanie strażników. Obliczył sobie Szaja, że zanim Niemcy się zorientują, iż ktoś ich okrada, i zanim odkryją winnego — dawno będzie po wojnie. Był więc, jak widać, Szaja takim właśnie głupim optymistą jak miliony Żydów, chociaż z drugiej strony, chciałbym wiedzieć, co im wówczas innego pozostawało?

Zanim Szaja przystąpił do dzieła, dokładnie starał się wybadać sytuację. Siedział więc w swoim mieszkaniu na Marysińskiej i kalkulował. Co kalkulował, jak kalkulował, tego panu nie powiem. Odwiedzali go różni ludzie, których wypytywał o najróżniejsze sprawy. Wkrótce lepiej się orientował w różnych gettowych układach niż władze na Bałuckim Rynku. O każdym z dygnitarzy gettowych — mniejszych, średnich i większych — wiedział wszystko, co wiedzieć można... Orientował się nawet w politycznym horyzoncie getta, choć był to raczej skromniutki landszafcik, którym nawet Niemcy zbytnio się nie interesowali. Jednym słowem, z wysokości swojej marysińskiej siedziby wyrobił sobie Szaja Magnat pogląd na sprawy getta prawie doskonały.

W każdym razie podjął decyzję. Uznał, że towar, którego kradzież byłaby najkorzystniejsza i najbezpieczniejsza, to skóra. Skóry do getta przychodziło dużo, bardzo dużo. Była ona dostarczana do warsztatów szewskich, czyli tak zwanych resortów, które zajmowały się produkcją butów przede wszystkim dla wojska... Chyba nie sądził pan, że z myślą o mieszkańcach getta? Przepraszam, nie chciałem pana obrazić... Kradzież skóry przeznaczonej na buty dla wojska była więc moralnie usprawiedliwiona, ale przy największej nawet sympatii dla Szai Magnata wątpić należy, czy ta strona zagadnienia specjalnie go frapowała. O tym, że żydowscy szewcy będą Niemcom coraz bardziej potrzebni, wiedział Szaja Magnat chyba wcześniej od władz getta. Doświadczenie pokoleń uczyło, że podczas wojny najbardziej potrzebni są generałowie, sierżanci i szewcy. Generałów i sierżantów mieli Niemcy w bród — szewców zawsze za mało. A cóż dopiero mówić o żydowskich szewcach!

Proszę pana, niech mi pan wierzy — to byli artyści, cudotwórcy, geniusze dratwy i szydła. Dla samych żydowskich szewców i resortów szewskich Niemcy gotowi byli utrzymać getto — tak sądził Szaja i tak chyba rzeczywiście było, bo jeśli doda się do tego jeszcze żydowskich krawców!... Zresztą, jak sądził, tak sądził, dość że po pewnym czasie ku zdumieniu wszystkich Szaja Magnat rozpoczął pracę właśnie w resorcie szewskim, no i nie byłby Szają Magnatem z Bałut, gdyby mu się nie udało otrzymać pracy w magazynie. Nie muszę chyba panu wyjaśniać, że w takich warsztatach szewskich, opartych na pracy ręcznej, magazyn, gdzie rozdziela się surowiec, gdzie gromadzi się gotowy do wysyłki produkt, to punkt węzłowy, serce, można powiedzieć, interesu. Reszta poszła już łatwo. Wprawdzie swoje plany postanowił poprowadzić sam, ale pomoc była niezbędna. Bez trudu kupił sobie kierownika magazynu. Później przyszła kolej na głównego księgowego, no i w końcu na samego kierownika resortu, którego Szaja mocno, jak się okazało trzymał w garści. Czym trzymał? Nie mam pojęcia. Ale chyba każdego kierownika resortu można było od biedy czymś szantażować. Mając odpowiedni zespół, opracował Szaja taką metodę kradzieży surowca, że wcześniej nie powinna była ona wyjść na jaw jak po dwóch, trzech latach. Do tego czasu po Hitlerze i po Gettoverwaltung nie powinno było pozostać śladu.

Doświadczenie uczyło również Szaję Magnata, że przed rozpoczęciem takiej imprezy zapewnić sobie musi pomoc policji, i to nie w osobie byle jakiego komisarzyka. Wybór jego padł na ówczesnego komendanta więzienia, który nazywał się... No, ostatecznie, co za różnica, jak się nazywał? W całej tej historii odgrywa on raczej marginesową rolę. Powiedzmy, że była to znana w getcie postać, ów komendant... Dlaczego na niego akurat padł wybór? Jak w wielu wątkach tej sprawy, tak i tutaj musimy pozostać jedynie przy domysłach. Była to, zdaje się, znajomość z czasów przedwojennych, a ów komendant podobno coś tam Szai zawdzięczał. Zresztą wybór Szai nie mógł być lepszy i choć cała historia rozwinęła się nie tak, jak to sobie wyobrażał, to przecież trzeba powiedzieć, że w doborze ludzi okazywał wech nie lada. Każdemu by życzyć...

Od pierwszej chwili interes zaczął się znakomicie rozwijać. Wszyscy w nim zainteresowani bez słowa podporządkowali się Szai, którego mołojecka sława w dintojrze przecież nie wygasła. Większą część kradzionych skór Szaja postanowił zmagazynować. Ukryć na terenie getta, aby zaraz po wojnie można było z tych zapasów skorzystać. Kiedy Niemców już nie będzie, a zapasy skóry znajdą się u niego, Małą cząstkę zaś przeznaczył Szaja na bieżącą produkcję. Nie na długo mogło starczyć ludziom obuwie zabrane do getta. Trzeba było je naprawiać. Trzeba było je uzupełnić. Szaja umożliwiał naprawy, Szaja umożliwiał uzupełnienie. Za to wszystko oczywiście płacono. Nawet jeśli płacono bezwartościowymi rumkami, Szaja potrafił zamieniać je na walory znacznie cenniejsze. Jak on to robił — nic panu na ten temat nie potrafię powiedzieć, nie wiem. Pomogło mu chyba doświadczenie z czasów dintojry. Szaja Magnat wiedział dobrze, kto się podczas różnych rewizji czy konfiskat, o ile brała w nich udział żydowska policja, najbardziej obławiał. Ta część dochodów starczyła na opłacenie wszystkich zainteresowanych. Resztę Szaja Magnat chował. Jak skórę. Kiedyś podobno wyznał, że to, co gromadzi, nie jest jego własnością i że on to zwróci, komu należy... Nie bardzo mi się chce w to uwierzyć, chociaż kto wie, może rzeczywiście trafiła do rąk Szai książka o Robin Hoodzie? To są oczywiście wszystko domysły i o ile zamierza pan o tych sprawach kiedyś napisać, to niech pan podkreśli, że jesteśmy tutaj wyłącznie na te domysły skazani, tym bardziej że, w przeciwieństwie do Ślepego Maksa, był Szaja Magnat zdecydowanym milczkiem.

Jak już powiedziałem, uprzedzając w pewnym sensie zakończenie tej historii, wszystko wzięło inny obrót niż przewidział Szaja. My dzisiaj wymądrzając się możemy powiedzieć, że naprawdę niewielką miał on szansę na to, by swoje plany doprowadzić do końca. Patrząc tak z perspektywy czasu na poczynania bywszego bossa dintojry, muszę powiedzieć, że było w nim wiele z niepoprawnego romantyka czy może nawet idealisty. Jego metody i sposób myślenia były anachroniczne. Reguły gry przestarzałe. W tej swojej walce z machiną hitlerowską był z góry skazany.

Zaczęło się od tego, że pewnego dnia, ku zdumieniu ludności getta, zaaresztowany został przez gestapo ów komendant więzienia, ostoja Szai. Były to czasy, kiedy jedno aresztowanie mniej, jedno więcej — nie odgrywało specjalnej roli, ale tym razem chodziło o kogoś, kto w oczach getta uchodził za potęgę, za człowieka, któremu wszystko było wolno. Szaja Magnat nie tylko zrozumiał, zdaje się, że to początek końca jego dalekosiężnych planów, ale także i to, że w sytuacji hitlerowskiej okupacji działają pewne prawa, których nie wkalkulował w swoją grę. A jednym z tych praw był fakt, iż okupacja ta w ogóle nie dawała się zamknąć w jakichś określonych regułach, co przekraczało już granice doświadczeń zakodowanych w tradycji bitego i prześladowanego od pokoleń narodu. W każdym razie Szaja Magnat, o ile dzisiaj możemy się zorientować śledząc jego ówczesne poczynania, postanowił swój prosperujący interes jak najszybciej zlikwidować, co notabene wcale nie było rzeczą łatwą.

Pozwoli pan teraz, że na chwilę przerwę ten tok mojej relacji, aby wprowadzić pana w niektóre sprawy getta. Mógłby pan zresztą dożyć stu dwudziestu lat nie mając o nich zielonego pojęcia i nie będąc mniej szczęśliwym od tych, którym sprawy te nie są obce, ale nie miałbym czystego sumienia, gdybym ich panu nie ujawnił. Prawdę powiedziawszy, dla ich dokładniejszego sprecyzowania należałoby może ustalić, jakie funkcje pełniły w getcie różne władze i instytucje niemieckie — między innymi gdzie kończyła się władza Kripo, a gdzie zaczynała — gestapo. Niestety nie będę mógł zostać tutaj pana przewodnikiem. Moja wiedza jest w tym zakresie żadna, wszelkie subtelne różnice między poszczególnymi umundurowanymi formacjami niemieckimi sprowadzają się dla mnie do różnego nasilenia prześladowań i tortur. W tej dziedzinie gestapo, jak panu wiadomo, było nie do pokonania. W każdym razie to gestapo miało pieczę nad wszystkimi instytucjami, które ze strony niemieckiej zarządzały gettem i które ciągnęły z getta niewiarygodne zyski. Nie trzeba być ekonomistą, by to obliczyć. Wystarczy sprawdzić, ile może kosztować utrzymanie stu tysięcy ludzi na wąskiej granicy między życiem a śmiercią i ile dawała zysku ich niewolnicza praca. Nie, nie, to nie ma żadnego związku ze sprawą Szai, ale wie pan, jak stary człowiek dorwie się do gadania...

No więc mówiąc krótko, kiedy aresztowano owego komendanta więzienia, pojawiła się w getcie nowa postać, której funkcje od początku były co najmniej niejasne. Tą postacią był niejaki Dawid Gertler. Pojawił się od razu jako ktoś o władzy, a raczej o możliwościach niczym nie ograniczonych. Jednocześnie w tym samym czasie powołano do życia instytucję, której uprawnienia były równie niejasne, jak podejrzane, a nazwa brzmiała wręcz złowrogo. Instytucja ta nazywała się Sonderkommando, a podobną przecież nazwę nosiły służące do przeprowadzania likwidacji Żydów, do wysiedleń czy pacyfikacji oddziały SS. Otóż szefem Sonderkommando został właśnie Gertler, a zastępca jego przyjaciel — Marek Klieger.

Gertler — niski, czarny mężczyzna, był prostakiem, typem gangstera z dawnych filmów. Natomiast Klieger to był gettowy Gary Cooper. Wysoki, śniady, o nienagannej prezencji, mógł śmiało uchodzić za wziętego fordansera z prowincjonalnego dansingu. W getcie, gdzie los każdego mieszkańca nigdy nie był pewny i zależał od widzimisię całej hierarchii władzy, Gertler i Klieger odgrywali rolę obrońców uciśnionych. Od czasu do czasu rzeczywiście tu czy tam rzucali jakiś ochłap pomocy, co wystarczyło, by wytworzyć wokół nich swego rodzaju legendę, która ich nic nie kosztowała.

Otóż nie ulega, proszę pana, wątpliwości, że obydwaj byli, i to bardzo ściśle, powiązani z nie byle kim, bo z gestapo... Co? Powiada pan, że takie oskarżenie trzeba udowodnić? Ma pan rację. Niech mnie pan tylko uważnie wysłucha. To, co panu teraz opowiem, wiem od pewnego lekarza. Zapewniam pana, że można mieć do niego całkowite zaufanie. Zresztą lekarz ten jeszcze, do stu dwudziestu lat, żyje i jeśli pan się go o to zapyta, z pewnością potwierdzi moje słowa. W całej tej sprawie ów lekarz staje się, można powiedzieć, koronnym świadkiem.

Są oczywiście tacy, którzy uważają, że nie bardzo wypada pisać po latach, iż wśród Żydów znaleźli się współpracownicy gestapo. Dlaczego nie wypada, kiedy to jest prawda? I, pozwolę sobie zapytać w jakim sensie oczernia dobre imię stu kilkudziesięciu tysięcy Żydów łódzkich fakt, iż znalazło się wśród nich dwóch wyrodków? Zresztą wyrodków takich było więcej, no i co z tego?

...Ojciec tego lekarza, o którym mówię, wówczas młodego jeszcze człowieka, znalazł się podczas wojny w Warszawie. W getcie warszawskim występował jako aktor. Otóż lekarz ten pewnego dnia zostaje wezwany do Sonderkommando. Takie wezwanie zawsze wzbudzało pewien niepokój, ale okazało się, że zastępca Gertlera, Klieger, przywiózł dla owego lekarza list od ojca. Niech pan tylko posłucha i dobrze sobie to zanotuje. Było to lato 1942 roku! Dwa tygodnie przed rozpoczęciem likwidacji warszawskiego getta! A wstępem do tej likwidacji było zagarnięcie przez gestapo i wysłanie do Treblinki przedstawicieli inteligencji gettowej. Ojca zaś tego lekarza właśnie pierwszego dnia akcji zabrano prosto ze sceny, podczas przedstawienia. A więc, uważaj pan, tuż przed rozpoczęciem likwidacji warszawskiego getta bawił tam Klieger! Jak gdyby nigdy nic! Jak tam pojechał? Na jakiej zasadzie? Na wycieczkę? Żeby zwiedzić sobie miasto? Na pewno nie jechał po to, by przywieźć stamtąd list ojca do syna w Łodzi. Notabene na pytanie tego lekarza, jaka jest sytuacja w getcie warszawskim, Klieger odpowiedział enigmatycznie, że wygląda na to, iż czekają tamtejszych Żydów ciężkie chwile.

Nie upłynęły więcej jak dwa miesiące, gdy Niemcy zabrali się do wywożenia z getta łódzkiego wszystkich nie pracujących, to znaczy dzieci, ludzi chorych i starszych. W tym celu ogłosili zakaz wychodzenia z domu, czyli szperę. Wyobraża pan sobie, jaka wówczas zapanowała atmosfera! Nikt nie był pewny dnia ani godziny. Ale szpera ta ogłoszona została podczas szalejącej w getcie epidemii duru brzusznego. No i tak się złożyło, że na tyfus zachorował sam Klieger — pałeczka Eberta nie bała się widać pałek gestapo. Do takiego chorego jak Klieger jeden lekarz to było za mało. U łoża szefa Sonderkommando zjawili się wszyscy najwybitniejsi lekarze gettowi, którzy zadecydowali, że tak poważna i szanowana persona nie może być wzięta do szpitala. Kliegera leczono więc w domu. I ustalono, że na wszelki wypadek powinien chory znaleźć się pod stałą, to znaczy trwającą dwadzieścia cztery godziny, opieką lekarską. Gertler zażądał, aby Wydział Zdrowia wydelegował do tej funkcji kogoś najlepszego i traf chce, proszę pana, że ówczesny kierownik tego wydziału skierował tam właśnie tego samego lekarza, któremu Klieger przywiózł dwa miesiące wcześniej list od ojca z Warszawy... Powiem już panu gwoli ścisłości, że lekarz ten początkowo odmówił, aczkolwiek nęcono go dodatkową kromką chleba dziennie. Odmówił zaś nie dla jakichś przyczyn typu moralnego. Ani moralność tak bardzo nie ważyła w tych czasach, ani w ogóle nie zastanawiał się wówczas specjalnie nad związkami Gertlera czy Kliegera z gestapo. Odmówił bo podczas szpery chciał zostać przy boku swojej młodej żony i jej rodziny. Ale tu zainterweniował sam Gertler. W nocy przyjechał po tego lekarza i zagroził takimi argumentami, że temu ostatniemu, proszę pana, nie pozostało nic innego, jak wziąć szczotkę do zębów, pidżamę i przenieść się do mieszkania chorego na tyfus Kliegera... Panu wybaczy, że opowiadam to z takimi szczegółami, ale chcę pana przekonać, że nie dzielę się z panem jakimiś bajeczkami, które nie mają pokrycia w faktach.

Jednym słowem, ten młody lekarz przez dwa tygodnie mieszkał u Kliegera. Nie wolno mu było ani na chwilę opuścić chorego, u którego codziennie zbierało się konsylium lekarskie, aczkolwiek stan pacjenta bynajmniej tego nie wymagał. Również i Gertler prawie nie opuszczał swego przyjaciela. A kiedy wreszcie Klieger poczuł się już zupełnie dobrze, obydwaj godzinami wiedli rozmowy w cztery oczy. W cztery oczy, ale nie zawsze w czworo uszu. Ów młody lekarz robił bowiem wszystko, aby podsłuchać treść tych rozmów. Powiada pan, że to nietaktnie? Ma pan rację. To samo powiedział przydzielony do opieki nad Kliegerem pielęgniarz, pracownik Sonderkommando, który złapał tego lekarza na gorącym uczynku podsłuchiwania... Na szczęście zachował ten fakt dla siebie.

Mówiąc krótko, owego młodego lekarza ciekawiło przede wszystkim, jak Żyd, nawet jeden z szefów potężnego Sonderkommando, może swobodnie podróżować sobie między Łodzią a Warszawą? Frapowało go to tym bardziej, że kilka miesięcy wcześniej przyjechał do łódzkiego getta z warszawskiego niejaki Skosowski... Może pan słyszał? Otóż ten Skosowski, który pochodził z Łodzi, chwalił się swoim łódzkim znajomym, że pracuje w gestapo i korzysta z wszelkich praw autentycznego aryjczyka. Tego Skosowskiego zabito później w Warszawie z wyroku AK. Sam pan rozumie, że paralela między Skosowskim a Kliegerem sama się narzucała. I oto niech pan sobie wyobrazi młodego, dobrze wychowanego lekarza z przytkniętym do dziurki od klucza uchem, starającego się wyłowić treść prowadzonych, niestety bardzo cicho, rozmów i jednocześnie zmuszonego do ostrożności, by go nie przychwycił ów sanitariusz.

To, co usłyszał, albo raczej co podsłuchał wówczas ów młody lekarz, było nieprawdopodobne. A przypominam panu, że informacje te mam od niego, a nie z drugiej czy trzeciej ręki. Do uszu jego dochodziły niestety tylko urywki zdań, strzępy rozmów. Padały w nich często nazwy takich miast, jak Kijów, Charków, Lwów, Odessa, Połtawa. Z rozmów wynikało, że Gertler był we wszystkich tych miastach, wysyłany albo przez gestapo, albo przez jakieś organizacje czy instytucje niemieckie. Wynikało też niedwuznacznie z tych rozmów, że do jego funkcji należała pomoc w wyszukiwaniu pochowanych magazynów, ukrytych składów czy zapasów lub wreszcie prywatnych majątków. Widocznie byli panowie G. i K. w sprawach tych nie byle jakimi fachowcami i potrafili oddać hitlerowcom duże usługi. Chyba pan zauważył, że miasta, których nazwy padały podczas tych rozmów, to duże skupiska ludności żydowskiej.

Sprawa więc była jasna i można ją nazwać po imieniu. Gertler i Klieger pomagali Niemcom w doprowadzeniu do końca rabunku terenów okupowanych, i to terenów tak odległych od Łodzi, jak Ukraina. Co pan na to? Jakiś pisarz powiedział podobno, że są takie sprawy, o których nie śniło się filozofom... Dlaczego od razu filozofom? Ja też mam prawo do snów i pan ma prawo do snów i pytam się, jakiemu Żydowi coś podobnego mogło się przyśnić?

C.D.N.

Łódzkie getto

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż", która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbeletryzowane wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.

„Azyl polityczny" — nowa książka Andrzeja Brychta (9)

Polski prysznic

Konsjerżka, pani Wróbelek, miała wygląd zmęczonej życiem, podstarzałej barmanki z powiatowego miasteczka. Brzęcząc kluczami szła po schodach na pierwsze piętro, Jan Duch i Georgia za nią. Znaleźli się po chwili w niezbyt obszernym pokoju, z dużym oknem, wychodzącym na podwórko — studnię. Z podwórka dobiegały hałasy, krzyki. Pani Wróbelek rzuciła się do okna, zamknęła je i pobiegła do drzwi.

— *Zaraz wrócę, tylko pościągam bieliznę!*

I już jej nie było. Georgia natychmiast otworzyła okno. Pogoda była ładna, słoneczna, zaś pokój, kiedy tylko okna zostały zamknięte, wypełnił się zapachem wilgoci i grzyba.

— *Teraz lepiej* — rzekła Georgia.

Z powietrzem było lepiej, ale krzyki wzmagały się. Były to krzyki, znane Duchowi od dziecka: wiecznie takie same wrzaski facetów, chlejących wódę. Spojrzał przez okno. Na dole pani Wróbelek pospiesznie ściągała ze sznurów bieliznę. Podwórze było ciasne, okna wszędzie pootwierane. Hałas niósł się z górnych pięter, z kilku pokoi. Pani Wróbelek ukryła się z białym naręczem we wnętrzu domu. Duch zajął się rozpakowywaniem podróżnej torby, Georgia z uwagą rozkładała swoje szmatki, mocno wygniecione, na łóżku.

— *Pada* — powiedziała w pewnym momencie.

Duch spojrzał w okno. Nadal świeciło słońce. Ale deszcz bębnił po parapecie okna. Podszedł do okna. Dwa piętra wyżej, w każdym z okien okalających podwórze, stał facet i lał. Chyba z piętnaście fujar.

— *Widzicie państwo, dobrze, że się pospieszyłam z tą bielizną* — powiedziała pani Wróbelek, która znowu pojawiła się w pokoju.

Georgia nie mogła mówić ze wzburzenia. Takie rzeczy były ponad jej wytrzymałość.

— *Niech pani zawezwie milicję!*

— *Tu nie ma milicji* — powiedziała pani Wróbelek spokojnie. — *Tylko policja. A zanim przyjadą, to tamci już schowają.*

— *Ale przecież leją, jesteśmy świadkami!*

— *Leją zawsze, kiedy piją. Specjalnie trzymają, żeby potem wszyscy naraz... Dobrze, że tu często deszcze padają, inaczej by ze smrodu nie można było wytrzymać.*

— *Ale przecież istnieją sposoby...* — trzęsła się Georgia. — *Przecież to cywilizowany kraj, dwudziesty wiek, zachodnia Europa...* — i wygadywała sporo podobnych banialuków.

— *Na nich nie ma sposobu. To porządne chłopaki. Tylko się niecierpliwią, bo długo na azyl czekają.*

— *Jak długo?* — zainteresował się Duch.

— *Po parę miesięcy, nieraz i dłużej.*

— *To skandal* — orzekł Jan Duch, który liczył na otrzymanie azylu w ciągu tygodnia.

Georgia zamknęła okno, bo zalatywało alkoholową szczyną. Wyszli na spacer.

— *Już mi się ta Belgia mniej podoba* — powiedziała Georgia.

— *To nie Belgia* — odparł Duch. — *To jeszcze Polska. Słyszałaś co ta Wróbelek powiedziała: polski prysznic, le ducha polonaise, czy jakoś tam, diabli wiedzą.*

— Polish shower — przetłumaczyła Georgia na angielski. — *Musimy zabrać się natychmiast do nauki języka. Założę się, że ci szczacze, chociaż siedzą tu po parę miesięcy, nie potrafią odróżnić oui od non.*

I miała rację. Stałem przed wejściem do domu SPK z paroma takimi nygusami, kiedy Jan Duch z żoną wracali. I tam się spotkaliśmy. Była radość. I nie wiem, kto bardziej się ucieszył, oni czy ja. Chyba jednak ja, z powodu Georgii.

Znaliśmy się od wielu lat, i zawsze między mną a nią stawały jakieś przeszkody. A to wyszła za mąż, kiedy pierwszy raz ją poznałem, a to znów ja się ożeniłem, i nie miałem ochoty na żadne afery. A kiedy ja się rozwiodłem, Georgia znów wyszła za mąż, tym razem za Jana Ducha. Potem z Duchem zaczęło się coś psuć, ale ja znów byłem włączony w inne sprawy i Georgię widywałem przelotnie. Los działał przeciw nam. Teraz jednak...

Ona również o tym pomyślała. Zobaczyłem to wyraźnie w jednym błysku jej oczu.

Trzeba powiedzieć, że z seksem było kiepsko. Znaczy, dla nas, dla grupy czekających na azyl. Sami mężczyźni — jeśli nie liczyć brzyduli, podającej się za dentystkę, brzyduli tak okropnej, o twarzy osoby rodzinnie napiętnowanej schizofrenią, że nawet najbardziej pijany i najbardziej tępy spośród nas wolałby walić konia niż się do tej kobiety zbliżyć.

Nikt z naszych nie znał języka francuskiego, nie mówiąc już o flamandzkim, zresztą Flamandki i tak nie byłyby do wyjęcia, różnią się od Walonek temperamentem i moralnością. Ale przede wszystkim brakowało forsy. Ostatecznie w tych sprawach można się dogadać na migi, ale takie dogadywanie jest możliwe tylko wtedy, kiedy dogadujące się osoby mają na względzie jakieś wzajemne korzyści. Forsa! Kurwy były drogie w Brukseli. Za drogie nawet dla facetów, którzy podjęli pracę, właśnie w tym celu, żeby sobie na frajdę uskładać.

Franio Zajdel najął się do knajpy, jako pomywacz. Po dwóch miesiącach miał już dość, i pracy, i forsy. Poszedł na Avenue Louise, najbardziej elegancką ulicę Brukseli i nawiązał kontakt. Dama zabrała go do siebie, kazała sobie zapłacić z góry — dokładnie taką sumę, jaką Franek zarobił przez dwa miesiące harówy w parze i smrodzie. Następnie Franek zdjął spodnie i położył się na skórzanej kanapce, a dama obejrzała go dokładnie, szukając ewentualnych objawów choroby wenerycznej. Wycieku nie było, ani herpesa. Bon, tres bon. Pani zdezynfekowała mu ptaka kilkoma siknięciami ze sprayu, następnie założyła gumową rękawiczkę, usiadła na skórzanym stołku - regulowana wysokością, ujęła rzecz w dłoń i wskazawszy na stojący w kącie zegar dała Franiowi do zrozumienia, że ma dziesięć minut. Jeżeli w tym czasie nie skończy, to już nie jej sprawa.

Zajdel zdecydowanie zaprotestował. On chce robić miłość!

— *Ze wudre fet amur!* — krzyczał, ale bez skutku.

Pani wytłumaczyła mu, że w Belgii prostytucja jest zabroniona, że jeśli zrobią „amur", to oboje dostaną się do więzienia.

— *Ale przecież, cholero, jesteś prostytutką, poderwałem cię na ulicy, wzięłaś forsę...*

— *Nie jestem prostytutką* — wyjaśniła. — *Jestem damą do towarzystwa oraz masażystką. Moja specjalność to masaż relaksujący.*

— *Oddaj forsę, oszustko!* — krzyczał Franio po polsku, a morda mało mu nie pękła z wściekłości.

Dama wzięła to za objaw orgazmu, zerknęła na czas, uśmiechnęła się i powiedziała, że odwiezie go w to samo miejsce, z którego wystartowali.

Nie mógł znieść takiego poniżenia. Ruszył ostro na złodziejkę, ale w tej właśnie chwili wyszło z przyległego pokoju dwóch panów, którzy przypadkowo tam się znajdowali. To wyjaśniło sprawę. Nie, nie pobili go ani nie wyrzucili. Tak załatwia się sprawy w Polsce. Tam wystarczyła ich obecność. Franio odział się i wyszedł, rezygnując z podwiezienia, a ponieważ nie miał na tramwaj, wrócił do Domu Kombatantów pieszo, skromne dziesięć kilometrów.

Ta historia była głośna wśród naszych, ponieważ każdy miał ochotę na kurwę, a Franio po koleżeńsku ostrzegł kolegów. Jednak wielu miało mu tę szczerość za złe, bo zburzył im marzenia. Uważali, że był to wypadek jednostkowy, że trafił na wyjątkową oszustkę, i byli pewni, że im uda się lepiej. Byli pewni, a mimo to nie odważyli się ryzykować. Franio zrobił mocną propagandę klęski.

Trzy, cztery miesiące bez kobiety... Czasami i pół roku. Nie pracują, nudzą się. Jedzenia jest dość. Wódy też. Wokół tętni normalne, cywilizowane, belgijskie życie. Nasi wychodzą na bogate ulice śródmieścia, lezą na Stare Miasto, na wspaniały Grand Place, przyglądają się ludziom, samochodom, pięknym przedmiotom na wystawach sklepów. To wszystko nie dla nich. Jeszcze nie dla nich. Snują plany, marzą na jawie. Szykują się na Kanadę, na Stany. Mało kto chce zostać w Europie. Jeżeli tu jest już tak dobrze ludziom, to jak wspaniale musi być za oceanem! Dalej, aby dalej. Zresztą, Polska tak blisko. Nie wiadomo, co może się stać. Józio Golczyk, ślusarz z zawodu, był przekonany, że rząd Polski Ludowej o niczym nie marzy, tylko o porwaniu go i dostawieniu przed oblicze proletariackiej sprawiedliwości. W nocy zamykał się na dwa zamki, a na rynek po zakupy nigdy nie szedł tą samą trasą. Jego szaleństwo wsiąkało w innych niepostrzeżenie. Chyba każdy, chociaż raz, na serio pomyślał, że ambasada knuje zamach na niego, porwanie albo likwidację. Poczucie własnej niezwykłości, wyjątkowej wartości dla kraju rozwijało się w ludziach, zawieszonych w próżni, niepewnych swojego losu.

Było to takie psychologiczne sprzężenie zwrotne: im dłużej nie dostaję azylu, tym bardziej jestem wystawiony na niebezpieczeństwo, a więc tym więcej wart dla opuszczonego kraju, który teraz ma czas przygotować jakiś numer. A kiedy tutejsze władze wreszcie zobaczą, jak bardzo czerwonym zależy na unicestwieniu mnie, to przecież natychmiast dadzą mi azyl, i jeszcze przeproszą, że tak długo zwlekali!

To wszystko, oczywiście, rozgrywa się w najmniejszym teatrze: w mózgu zainteresowanego swoim losem biedaka. I nie ma żadnego wpływu na działania tak zwanego rzeczywistego świata.

Spędziłem wieczór z Jankiem i Georgią. Opowiedzieli mi swoje przygody od chwili zejścia ze statku. Starałem się je powtórzyć tu wiernie. Od tej pory nasze losy toczyły się równolegle.

Po kilku dniach Georgia stała się tak popularna wśród mieszkańców domu, że postanowili wydać na jej cześć biesiadę. Do mnie należało przekonanie małżonków, że powinni wziąć w niej udział. Nie przedstawiało to żadnej trudności.

Uczyli mnie w szkole, że zdanie: „*Opary poszły w las. Echo ich grania...*" jest jednym z najpiękniejszych zdań polskiej prozy. Gdybym miał kiedykolwiek napisać epopeję emigracyjną w trzech opasłych tomach, zacząłbym od zdania: „Opary poszły w gaz. Jęki, zgrzytania..." Było bowiem dwóch braci Oparów, jeden Zenon, drugi Marian. Uciekli z Polski, ponieważ pobili milicjanta, zabrali mu broń i planowali skok na spółdzielnię gminną. Czekali na azyl bez większej nadziei, równie dobrze mogła ich spotkać deportacja. Z Polski odpowiednie władze nadsyłały dowody ich przestępczej działalności. Władze azylowe podchodziły do nich sceptycznie, ale jednak... Marian i Zenon przeżywali męki psychiczne, ponieważ w Polsce groziło im wiele lat ciurmy. Tutaj zagrywali bojowników o wolność Polski spod uciemiężenia przez czerwoną żmiję, tak to dosłownie określali. Składali oświadczenia, protesty, przysięgi, starali się za wszelką cenę udowodnić, że napad na milicjanta był akcją polityczną, a nie kryminalną. Według nich sam fakt, że ktoś napada na milicjanta, jest już dowodem samym w sobie na działalność polityczną — napada się przecież na przedstawiciela reżimu, a nie na prywatną osobę. Gdyby byli kryminalistami, mogli z łatwością obrobić jednego z okolicznych badylarzy. Ale im nie chodziło o pieniądze, tylko o broń, ponieważ byli w trakcie zakładania organizacji bojowej, antykomunistycznej, mającej na celu uwolnienie Polski od czerwonej żmii.

Ich zdecydowana postawa, nieugiętość poparta szantażem (*„będziecie mieli dwa trupy na sumieniu, jak nas odeślecie"*) powodowały, że Komisariat do Spraw Uchodźców przy ONZ wahał się, co z Oparami zrobić. Tymczasem oni spędzali czas na obmyślaniu coraz to nowych argumentów, odwołań, na spotkaniach ze swoim adwokatem, który prowadził ich sprawę bezinteresownie oraz na piciu wódki.

Pili prawie bez przerwy. Zenon potrafił śpiewać, a Marian potrafił zjadać szklanki. Dom SPK zaczynał się kołysać, kiedy Opary poszły w gaz. I w niecałą godzinę później było słychać przez otwarte okna trzaski miażdżonego w szczękach Mariana szkła.

— *Dobre, belgijskie szkło* — mamrotał z uznaniem. — *Możesz wpierdolić cztery szklanki i przejdą przez kichy jak kaszanka. Żebyśmy takie szkło mieli w kraju, to ile bym wódy zarobił?*

Bo w kraju zakładał się z kumplami, że zje szklankę, i wygrywał, ale po jednej miał dość, nie takie szkło.

Kiedy wszedłem do pokoju z Duchami, Marian Opara był już po pierwszej szklance. Na widok Georgii oniemiał. Jest! Nareszcie jest ta ostra dupa u niego w pokoju! W niezwykłej, niewyjaśnionej bliskości jego męskiego, spragnionego ciała! Wykonał gest powitalny, znaczy półukłon na zgiętych kolanach i opadł z powrotem na kanapę. Golczyk, Zajdel, Muszkatułowicz i Stasiu Gral zlekceważyli jego próbę zwrócenia na siebie uwagi. Pozostali panowie, a było ich jeszcze pięciu, zerwali się z krzeseł i zaczęło się witanie ceremonialne, tylko po to, żeby wziąć tę dupę za rękę, żeby jej dotknąć, żeby poczuć jej zapach... Cmokali, zostawiając mokre ślady, a następny cmokał w to samo miejsce. Zbiorowy gwałt, dokonany na dłoni Georgii.

Wcale jej to nie przeszkadzało. Objęła całe to towarzystwo spod ciemnej gwiazdy jednym spojrzeniem i wiedziała o nich wszystko. Nie było wśród nich ani jednego mężczyzny. Parobki, owszem. Pawiany i szympansy płci męskiej, ale człowieka nie uświadczysz. Plewa, broch, trociny.

Uśmiechnęła się do wszystkich najładniej, jak umiała. Zaraz ją posadzono, ale nie w pobliżu Mariana, który już chwytał następną szklankę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ja też udawałem, że mi wcale na bezpośredniej bliskości Georgii nie zależy. Nie trzeba zrażać sobie Ducha, ani nawet tych neandertalczyków, którzy wierzą już dinie, że są prawdziwymi uchodźcami politycznymi.

Cała ta galeria rozgrzanych wódą mord i pysków rozjaśniła się od wewnątrz, jak za dotknięciem różdżki. Nie wiedząc o tym, że mężczyzna milczący jest stokroć bardziej interesujący od gaduły, każdy z nich starał się gadać jak najwięcej. Ale co może gadać prostak? O czym, jeśli nie o własnych, najbardziej prywatnych przeżyciach? O żadnej tam abstrakcji, szerszej tematyce, nie związanej z michą i kimą nie ma co marzyć. Jak w celi więziennej, czy może powinienem powiedzieć: „pod celą", żeby nie urazić purystów kminy, jak słynny niegdyś w mieście Łodzi Cezary Kruk, zwany Książę Nocy. (*„Jestem Cezary Kruk, Książę Nocy"*, tak się przedstawiał, możliwe, że mieliby sobie wiele do powiedzenia z księciem Sapiehą z Brukseli, który przedstawiał się po prostu: „Tu mówi książę", bez poetyckich dodatków).

Przekrzykując się wzajemnie starali się opowiedzieć swoje historie, które doprowadziły do tego, że uciekli z kraju. Starali się w sposób możliwie najbardziej dramatyczny odmalować sam moment ucieczki, zerwania się ze statku czy skoku z autobusu.

Było to bardzo interesujące, tak przynajmniej twierdziła Georgia. Ale najbardziej interesowało ją jedno: jak prędko i do jakiego stopnia upije się Jan Duch. Ci, którzy napalali się na Georgię, też się o to starali. Po dwóch godzinach Duch już beknął, już pokładał głowę na stole. Georgia piła mało, mimo namawiania, obserwowała bacznie sytuację. Golczyk, Zajdel i Stasiu Gral cieszyli się, że sprawa idzie naprzód w niezłym tempie. Chodziło, rzecz jasna, żeby Duch padł, zanim oni padną, bo gdyby oni padli, to kto by fikał z dziewczyną?

W godzinie trzeciej Marian Opara zjadł szóstą szklankę. Przeszedł samego siebie. Patrzył z tryumfem na Georgię, oblizując się po ostatnim kęsie szkła.

— *Proszę zjeść moją* — podała Oparze swoją szklankę z czarującym uśmiechem.

I Opara zabrał się do zjadania siódmej. Tymczasem Bolek, producent kart pornograficznych z Zabrza, osunął się pod stół. Jego nieodłączny kompan Wacek, który uciekł z Polski, ponieważ teściowa zatruwała mu życie, pochylił się, żeby go podnieść, i też spadł. Zostali tam obaj, nie wadząc nikomu. Mrugnąłem na Muszkatułowicza — ten był mi najbliższy spośród całej grupy — i postąpił według umowy.

— *Panowie! Pijemy po szklance!* — krzyknął i walnął pięścią w stół.

Miał umiejętność wypicia pełnej szklanki wódki bez żadnych widocznych konsekwencji, odwrotnie, można było odnieść wrażenie, że trzeźwieje. Muszkatułowicz był plastykiem, skończył warszawską Akademię Sztuk Pięknych, i zwiał z podróży statkiem do Gibraltaru, wysiadł w hiszpańskim porcie Almeria i lądem dotarł do Brukseli. On jeden mówił trochę po francusku, a przynajmniej uczył się codziennie na kursie w SPK, a także wieczorami w szkole miejskiej. Chodziłem z nim na kurs, więc byliśmy z sobą bliżej niż z pozostałymi. Wysoki, brzydki, o chudej twarzy, w okularach. Jedno oko odchodziło w bok, jakby chciało zajrzeć mu do ucha. Nie brał udziału w spisku satyrów, nie bawiły go pijane orgie, miał dziewczynę w Szwecji, do której dzwonił prawie codziennie i rozmawiał po godzinie. Po prostu otwierał wytrychem pokoje biurowe Stowarzyszenia i używał ich telefonu. Kiedy po miesiącu przyszedł rachunek, sekretarz SPK o mało nie umarł na atak serca. Nie tylko ze Szwecją bowiem łączył się sprytny malarz, ale także z Nowym Jorkiem, z Moskwą, z Kanadą. Gdziekolwiek znajdował się któryś z jego przyjaciół... Rachunek był niebotyczny. Wynosił więcej niż normalnie SPK płaciło przez całe dziesięć lat. Dochodzenie niczego nie wykazało. Nikt nie wiedział o numerach plastyka. Bo oczywiście natychmiast by doniesiono.

Muszkatułowicz zorganizował dodatkowe szklanki, nalał sprawnie, po wrębek. Duch też był w eksperyment włączony, choć nie mógł już unieść ręki. Ale Georgia wzięła go na ambit:

— *Janek, pokaż, co potrafisz!*

I pokazał. Wypił nie odrywając ust. I padł.

Pozostali patrzyli na niego z uwagą, rozumiejąc, że droga do ciała Georgii stoi otworem. Poczem podnieśli szklanki ostrożnie, ja z nimi. Pili, patrzyłem na nich, trzymając swoją szklankę u pyska. Wypili, a ja nie.

Nie mieli nawet czasu na wyrażenie pretensji. Marli w oczach. Po dziesięciu minutach leżeli tak samo, jak Duch, z głowami na stole, albo przewieszeni przez poręcz krzesła. Jeden tylko Opara wodził po wszystkim nieprzytomnym wzrokiem, pracując nad grubym dnem siódmej szklanki.

Georgia uśmiechnęła się do mnie nad pobojowiskiem. Po dwóch kieliszkach wina wyglądała dobrze, pora nie była jeszcze zbyt późna, dopiero dochodziła dziewiąta. Mrugnęła do mnie i wyszła. Nikt nie zauważył jej braku. Po chwili i ja wyszedłem.

Zrobiliśmy sobie godzinny, szybki spacer po ulicach. Wróciliśmy do domu odświeżeni, pełni optymizmu. Następnie oboje weszliśmy pod prysznic. Zmyć z siebie smród papierosów, pijanych oddechów, zmyć wspomnienie „polskiego prysznica"!

— *Ta woda zmyła ze mnie samotność* — powiedziała Georgia. — *Wiesz, że od dnia wyjazdu nie miałam mężczyzny? Nie żyjemy z Jankiem już od ponad roku.*

Trudno mi było to zrozumieć.

— *Przecież wyjechaliście razem.*

— *Tak. Z kumpelstwa. We dwójkę raźniej. Ale nic nas nie łączy. Każde z nas ma swoje własne, osobne plany.*

— *Opowiesz mi wszystko.*

— *Dobrze* — powiedziała. — *A teraz chodź.*

I kochaliśmy się całą noc.

C.D.N.

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

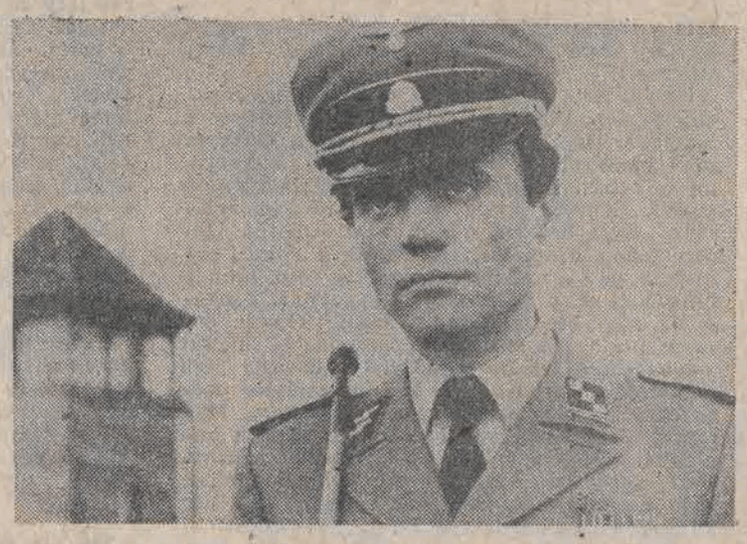

Marcin Troński w roli Josefa Mengele w filmie „I skrzypce przestały grać".

„... Kiedy przestaną mnie prosić do tańca..."

— rozmowa z MARCINEM TROŃSKIM, aktorem Teatru Współczesnego w Warszawie.

— Od przeszło 10 lat wykonuje pan zawód aktora. Ma pan w swoim dorobku: 23 role w teatrze scenicznym, 22 — w teatrze telewizji i 52 role filmowe. Dorobek imponujący. Jak pan ocenia własne początki?

— Uważam że moje początki były prawidłowe. Nie jestem talentem samorodnym.. Towarzyszy mi powolny, systematyczny i dość konsekwentnie prowadzony rozwój rzemiosła aktorskiego.

— Który z pana filmów uważa pan za przełomowy?

— Na pewno film **Filipa Bajona „Rekord świata".** Zagrałem w nim Michała, swoją pierwszą główną rolę. Byłem wtedy studentem czwartego roku PWST w Warszawie. Od razu zostałem wrzucony na głęboką wodę, a wybroniłem się jedynie młodością. W tym filmie pokonywałem pierwsze trudności związane z budowaniem postaci. F. Bajonowi zależało na znalezieniu do filmu człowieka, którego nikt wcześniej nie widział. Wybór padł na mnie. Pozbawiony wcześniejszych doświadczeń filmowych wiele prywatności przeniosłem na ekran. Reżyser cały czas czuwał, abym nie wypadł z roli i tak mną sterował, że kiedy czasem po latach oglądam ten film, to widzę wyraźnie gdzie w moim zachowaniu ekranowym przejawia się naturalność, prywatność, a gdzie zaczyna się wyobrażenie jak ta rola powinna wyglądać. Wyobrażenie, które konsekwentnie było realizowane. W ten sposób zdobywałem pierwsze doświadczenia.

— Czy w filmie „SPRAWA HRABIEGO ROTTERA", nakręconym niemal dziesięć lat później, miał pan już poczucie dojrzałości zawodowej?

— Trudno powiedzieć, tak naprawdę nigdy nie jestem zadowolony z tego co zrobiłem. Ciągle wydaje mi się, że jakąś rolę mogłem lepiej dopracować. Postać hrabiego Rottera zapewne była postacią bardziej ukształtowaną aniżeli Michał. Potrafiłem zdystansować się wobec mojej prywatności i jej udziału w roli. Starałem się aby każdy gest, każde zachowanie czy spojrzenie w pełni podążało za rolą. Czy udało się do końca? Nie pani, bardzo się boję takiego dnia, w którym powiem: umiem, potrafię. Będzie to oznaczało, że przestałem szukać popełnionych przez siebie błędów, a to będzie jednoznaczne z końcem w moim zawodzie. Błędy mają to do siebie, że człowiek wspaniale się na nich uczy. Zmuszają do poprawy dotychczasowych umiejętności, do szukania nowych rozwiązań.

— Czym jest dla pana aktorstwo?

— Dla mnie to sposób na życie. Fascynujące w tym zawodzie jest to, że realizuję w nim marzenia kim chciałbym być, podczas gdy codzienne życie odmawia takich możliwości...

— Czy jest to zawód męski?

— Od swego zarania aktorstwo było zawodem męskim. Weźmy teatr antyczny... Kobiety znacznie później trafiły na scenę.

— Istnieje opinia głosząca, że aktorstwo jest mało męskim zajęciem...

— Chyba tylko wtedy... Może inaczej... Wie pani, kiedy przestałbym wykonywać ten zawód?

— ...?

— Kiedy przestaną mnie prosić do tańca... To jest tak jak z dziewczyną która przychodzi na zabawę i przez cały czas stoi pod ścianą. Jest to w jakiś sposób upokarzające dla niej, a dla mężczyzny nie do zniesienia... Trzeba tak grać żeby być najlepszym. Tylko taki sens widzę w wykonywaniu mojego zawodu.

— Czy inni w zawodzie to konkurencja?

— Nie, to partnerzy do grania.

— Partnerzy, których trzeba pokonać, aby udowodnić, że jest się najlepszym?

— Może tak i jest, ale pod warunkiem, że w uczciwej grze...

— Jakimi cechami powinien wyróżniać się aktor, który pragnie być najlepszym w kraju?

— Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, po prostu doskonaliłbym się. Niestety, nie wszystko zależy ode mnie.

— Od czego zależy sukces?

— W jednym procencie od szczęścia, w jednym procencie od talentu i w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach od pracowitości.

— Otworzyła się przed panem ogromna szansa. RYSZARD BER powierzył panu główną rolę — Jana Zamoyskiego, wielkiego trybuna Rzeczypospolitej, w pięcioodcinkowym serialu telewizyjnym „KANCLERZ", a później zagra pan w wersji kinowej „ŻELAZNĄ RĘKĄ". Czego oczekuje pan po tej kreacji, o której marzyłby niejeden aktor?

— Właściwie to nie wiem. Sam jestem bardzo ciekawy, jak wypadnie ta rola. Oglądałem już materiały i ciągle zastanawiam się, jakich barw mogę dołożyć mojemu bohaterowi, aby stał się soczysta, ciekawą postacią. Po raz pierwszy w życiu mam do czynienia z tak ogromną rolą. Każdy dzień pracy wnosi nowe pomysły, nowe rozwiązania budowania postaci. Trudno mieć całościowe spojrzenie na kreowanego bohatera. W teatrze jest pod tym względem łatwiej. W filmie metoda dochodzenia małymi kroczkami do roli dokonuje się już na oczach widzów. Także wspólnie zobaczymy, co udało mi się zrobić.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?

Proponujemy dziś głośny film **Jeana Jacquesa Annauda pt. „Imię róży"** według powieści **Umberto Eco.** Wszyscy, którzy nie obejrzeli filmu na ubiegłorocznych „Konfrontacjach" nareszcie będą mieli okazję poznać to słynne dzieło. Ujęte w dość niezwykłej formie romansu kryminalnego stanowi jednocześnie panoramę kultury europejskiej schyłku średniowiecza. Oto wiek XIV, klasztor Benedyktynów na północy Włoch, w którym mają miejsce tajemnicze zabójstwa. O tych tragicznych wydarzeniach opowiada świadek, wówczas 16-letni nowicjusz zakonny. Jednakże wszystko to służy do ukazania głębokiej analizy postępowania ludzi wiernych aż do granic absurdu i doktrynerstwa. Film zdobył w ub.r. „Cezara" jako najlepszy film zagraniczny.

Fakty ◆ Plotki ◆ Anegdotki

● Z XXV Międzynarodowego Festiwalu Filmów Telewizyjnych „Złota Praga" dochodziły wieści mające posmak skandalu. Ponoć nawet podwójnego — z powodu „ostrości zdjęć" filmu konkursowego „Głód serca" Romana Załuskiego i fatalnej kopii jaką przywieziono na festiwal. Elżbieta Królikowska w korespondencji z Festiwalu (dla „Anteny") uśmierzyła łowców skandali pisząc: „Wydawało się, że skandal wisi w powietrzu. Polska Telewizja wymieniła kilka teleksów i telefonów na okoliczność „Głodu serca" Romana Załuskiego. Okazało się jednak, że alarm wywołany informacją Leszka Mazana, iż film ten wskutek fatalnego stanu kopii „tylko otarł się o nagrodę", był przedwczesny. Kopia była istotnie niedobra (jak to się stało, ta prezentowana w naszej telewizji nie odbiegała od normy?), jednak film, choć rzeczywiście jeden z lepszych na tym festiwalu, nie miał chyba szans na nagrodę. Praski festiwal rządzi się swoimi prawami i kluczem nagród — pisze pani Królikowska i stwierdza. — A gdyby tak na koniec spróbować podsumować XXV MFFTV „Złota Praga" jednym zdaniem można by powiedzieć, że nie jest on centralnym punktem bojów o nowy film telewizyjny.

No cóż! Kopia była fatalna, lecz alarm przedwczesny. A w ogóle, po co się umartwiać sprawami festiwalu, który dziś niewiele znaczy! Co innego, wtedy, gdybyśmy zgarnęli furę nagród. O, wówczas byłby to prawdziwy festiwal!

Co to znaczy telewizyjna szkoła komentowania.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

8 września — MAREK KOPROWSKI — godzina 10—15.

15 września — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—15.

RELACJA Z DYŻURU PRZY TELEFONIE Z DNIA 1 WRZEŚNIA 1988 R.

Samo życie — tak można najkrócej określić sprawy, z którymi zwracali się do nas czytelnicy. Mało było więc o polityce, o postawach ludzkich, o problemach w skali kraju (co może dziwić, w tak „gorącym" okresie); dużo natomiast — o tym, o czym w „normalnych" krajach gazety z reguły nie piszą, gdyż są to kwestie do szybkiego załatwienia przez administrację, nie zaś przez redaktorów. U nas — z konieczności — redakcję uważa się często za ostatnią deskę ratunku.

Tak też jest w przypadku, który zreferuję na wstępie, gdyż najbardziej jest chyba dramatyczny. Państwo Stanowscy z Bełchatowa (osiedle 1000-lecia) gnieżdżą się z dwojgiem dzieci w maleńkim, klikumetrowym pomieszczeniu, stanowiącym część 3-pokojowego lokum, zamieszkanego w sumie przez 7 osób. Na domiar złego, dziecko Stanowskich cierpi na wadę serca i wkrótce — w podwarszawskim Centrum — poddane zostanie operacji. Lekarze zapytują: kiedy wreszcie państwo zmienicie mieszkanie? Po operacji maluch nie będzie mógł przebywać w takiej ciasnocie... Stanowscy starają się o mieszkanie, ale bez skutku. Sądzili, że otrzymają ze „Stomilu", jeśli tylko pan Stanowski zatrudni się w tym zakładzie. Uczynił to przed 4 laty, lecz obietnica pozostała na papierze — i to w dosłownym sensie, bowiem Stanowscy trzymają w domu druczek z takim właśnie zapewnieniem, podpisanym przez dyrektora. Co z tego, że otrzymali pokoik w hotelu robotniczym, skoro na czas remontu musieli się z niego wyprowadzić (ze względu na alergię dziecka), a po remoncie okazało się, że pokój został już zajęty przez kogoś innego, zaś rzeczy państwa Stanowskich znalazły się w piwnicy hotelu, w wielkim nieładzie. Od tej pory „Stomil" nie podejmuje żadnych starań, aby wywiązać się z obietnicy. Przyszedł nowy, komisaryczny dyrektor, a specjalność pana Stanowskiego przestała być widoczna. „Stomilowi" niezbędna, gdyż kolejne mieszkanie z „odzysku" otrzymuje co roku kto inny, nie oni, zrozpaczeni chorobą dziecka. Wszyscy bezradnie rozkładają ręce: wydział lokalowy — bo za dużo metrów na „głowę", spółdzielnia — bo za dużo chętnych do przyspieszeń, związki zawodowe — bo dyrektor wie lepiej, komu przydzielić mieszkanie... Tyle jest w Bełchatowie organizacji społecznych, które mogłyby sobie i Stanowskim udowodnić, że są społeczeństwu potrzebne — jak długo będą zwlekać z pomocą?

Inny problem, wobec którego bezradne są instytucje, zasygnalizowała nam pani z ulicy Nawrot (nazwisko do wiadomości redakcji). Oto w jednym z domów przy tejże ulicy stała się rzecz nieoczekiwana: młoda, 23-letnia kobieta poczuła się nagle powołana do „uzdrawiania". Odkryła w sobie „bioprądy", i — oczywiście — zadbała o reklamę. Na skutek nie trzeba było długo czekać: od kilku miesięcy klatka schodowa zapełnia się codziennie chorymi, spieszącymi po pomoc więcej niż wątpliwą. Naszą czytelniczkę zbulwersował widok maleńkiego dziecka z widocznym niedowładem kręgosłupa, niesionego przez rodziców do „uzdrawiaczki". Żerowanie na ludzkim nieszczęściu i naiwności jest dużo gorsze niż hałas, który czynią „pacjenci" — twierdzi pani z ulicy Nawrot i trudno nie zgodzić się z jej opinią. Celowo nie podaję dokładnego adresu, obawiając się, że mogłoby to jeszcze powiększyć legion naiwnych... Okoliczni lokatorzy są oburzeni, starają się interweniować — bez skutku. Nie ma silnych na „bioprądy"? A może wypowie się Wydział Zdrowia UM?: jak postępować w podobnych przypadkach „objawień"?

Pan Stanisław Buturewicz z ul. Ossowskiego też czuje się bezradny, a na dodatek oszukany. W lipcu żona zakupiła w Związku Radzieckim kolorowy telewizor, powierzając jego przewóz (od granicy) PKP. Telewizor powinien był zjawić się na dworcu Łódź Kaliska w niedługi czas po zjawieniu się w Łodzi pani Buturewicz — sliści, jak poinformowano w Urzędzie Celnym, nie zjawiał się. Tak przynajmniej zapewniała pani po drugiej stronie słuchawki. Mijały tygodnie, a pani w słuchawce wciąż powiadała, że odbiornika nie ma. Wreszcie pani Buturewicz — straciwszy cierpliwość — zjawiła się osobiście w urzędzie. Jakież było jej zdumienie, gdy celnik — sprawdzając dokumenty — doszedł do wniosku, że telewizor stoi już od tygodni! Kto w takim razie źle informował? Niestety — urzędniczki nie mają zwyczaju przedstawiania się przez telefon. A szkoda, bo może wtedy państwo Buturewicz nie musieliby zapłacić dziwnej, podwójnej aż kary: powiększonej o 6,5 tys. zł opłaty celnej (za przedłużenie odbioru) oraz 4 tys. zł za nieterminowy odbiór (?!). Państwo Buturewicz wszystko to zapłacili, ale teraz — za naszym pośrednictwem — radzą: nie odstępujcie ani na krok telewizorów w podróży! Weźcie je z sobą do przedziału, choćby to było niewygodne — inaczej zapłacicie jeszcze za cudzą indolencję!

Bardziej ogólną sprawę poruszyła pani L.S. z Bełchatowa. Porównała ona dochody dwóch rodzin: swojej oraz sąsiadów. Zacznijmy od sąsiadów. Głowa rodziny, zatrudniona prywatnie zarabia oficjalnie 20 tys. zł, zaś nieoficjalnie — około 100 tys. zł miesięcznie. Dochodzą do tego premie gratis od państwa: zasiłki po 7,5 tys. zł na każde z dwojga dzieci oraz dodatek na niepracującą żonę. W sumie — dodatkowo — około 20 tys. zł, czyli tyle samo, ile wynosi pensja pani S., która od marca poszła do pracy. Mąż jej otrzymuje przez to mniejszy dodatek na dzieci — po 2 tys. zł na każde, czyli razem 4 tys. zł. Ponieważ pracuje w zakładzie uspołecznionym, zarabia o połowę mniej od sąsiada. Wniosek: Sprawiedliwość Społeczna jest ślepa, bo patrzy tylko na oficjalne dochody, zapominając o realiach życia. Kto dziś wierzy — zapytuje pani S. — że w firmie prywatnej zarabia się 20 tys. zł?

Panią Bielską z ulicy Woronicza denerwuje sytuacja na dworcu Łódź-Żabieniec, gdzie niedawno zakończył się remont. Wnętrze dworca jest teraz ładne, ale droga na peron pierwszy — okrężna. Zamiast prosto z hali, trzeba się tam dostawać podziemnym przejściem, podobnie, jak na peron drugi. Z tym drugim peronem sprawa jest zrozumiała, gdyż służy to bezpieczeństwu pasażerów, ale — zaznacza pani Bielska — peron pierwszy przylega bezpośrednio do dworca. Dlaczego więc utrudniać ludziom życie, i to na trwałe, skoro dostęp zagrodzony został solidną, wmurowaną siatką? Czekamy na wyjaśnienie od kierownika dworca.

Z podobnymi sprawami zwrócili się do nas: pani z ul. Okólnej (nazwisko do wiadomości redakcji) oraz pan Czesław Makowski z ul. Olimpijskiej. Oboje domagają się ułatwienia przejścia na pobocznych dróg — na ulicy Biegunowej, na odcinku od ul. Krakowskiej do cmentarza na Manii, gdzie w słotę — z braku chodnika — tonie się w błocie; oraz na ul. Okólnej, koło hipodromu, za skrzyżowaniem z ul. Łagiewnicką w stronę Zgierza. Jest tam w pobliżu szkoła i dzieci — z konieczności — wędrują asfaltem szosy, narażając się na wypadek. Potrzebne są — domagają się czytelnicy — skromne chociaż chodniki!

Na koniec pan Waldemar Kuczyński z Piotrkowa Trybunalskiego dziwi się, czemu na kartach zaopatrzenia w mięso wypisano nazwę: cielęcina. Przecież nie uświadczy się jej nigdzie, i to od lat. Skoro cielęcina zniknęła na amen — radzi pan Kuczyński — lepiej zaniechać wypisywania jej nazwy, bo i po co denerwować obywateli?

Nie jestem pewny, czy jest to najlepszy sposób na brak cielęciny.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

OZORKOWSKIE ZAKŁADY PRZEMYSŁU BAWEŁNIANEGO
„M O R F E O"
95-035 Ozorków, ul. Łęczycka 5/7
OGŁASZAJĄ
PRZETARG NIEOGRANICZONY
na wykonanie
REMONTU DROGI WEWNĄTRZZAKŁADOWEJ.

W zakres robót wchodzi:
— rozebranie nawierzchni z kostki betonowej, wykonanie koryta, ustawienie krawężników, wykonanie podsypki piaskowej oraz ułożenie nawierzchni z betonu żwirowego w ilości ok. 900 m kw.

Informacji o pracach objętych przetargiem udziela wydz. mechaniczny n. zakładu, telefon: 18-10-34 wew. 354 lub 164.

Do przetargu mogą przystąpić jednostki gospodarki uspołecznionej, spółdzielczej i nie uspołecznionej.

Oferty należy składać w wydz. mechanicznym n. zakładu w terminie 7 dni od daty ukazania się ogłoszenia, a ich otwarcie nastąpi w dniu następnym. Zakłady zastrzegają sobie wybór oferenta lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyny.

2476 K

DZIEWIARSKA SPÓŁDZIELNIA PRACY
„R E N O M A"
w Łodzi, ul. Prożka 11
OGŁASZA
PRZETARG NIEOGRANICZONY
na sprzedaż nw.
MASZYN I URZĄDZEŃ:

1.	DZIURKARKA KL. LBH-762	szt. 1
2.	OVERLOCK KL. CS-303000	szt. 1
3.	OVERLOCK KL. 208	szt. 4
4.	OVERLOCK KL. 8514	szt. 3
5.	SZYDEŁKARKA PŁASKA RĘCZNA	szt. 2
6.	CEWIARKA 3-WRZECIONOWA	szt. 2
7.	BARWIARKA DO PRZĘDZY KSS-8P	szt. 1
8.	SILNIKI DO MASZYNY SZWALNICZEJ	szt. 28
9.	POMPA OBIEGOWA DO C.O.	szt. 4
10.	STOŁY SZWALNICZE	szt. 10

Bliższych informacji udziela dział gł. mech. tel. 55-33-00. Przetarg odbędzie się w dniu 22 września 1988 r., o godz. 10 w ZDK, ul. Prożka 11.

Jeżeli I przetarg nie dojdzie do skutku, II odbędzie się tego samego dnia o godz. 12 z ceną wywoławczą niższą o 25 proc. Zgłoszone maszyny i urządzenia można oglądać w dniu 20 września w godz. 9—12 w ZFW, ul. Urzędnicza 36.

Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10 proc., ceny wywoławczej w kasie spółdzielni przy ul. Prożka 11, najpóźniej w dniu poprzedzającym przetarg.

Spółdzielnia nie odpowiada za braki w wyposażeniu, wady ukryte i nie udziela gwarancji na sprzedane maszyny i urządzenia. Zastrzegamy sobie prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

2477-K

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

· polemiki · listy · opinie · | polemiki · listy · opinie ·

NIE WTRĄCAJ SIĘ TATO...

Jest letnia wolna sobota. Na dworcu PKS Łódź-Fabryczna tłum podenerwowanych podróżnych zwiększa się z minuty na minutę. Dochodzi 10.30. Autobus relacji Łódź — Nowe Miasto podjeżdża na pierwsze stanowisko. Tuż przy wejściu tłoczą się ci bez biletów. Szczęśliwcy, którzy zaopatrzyli się w nie wcześniej, z trudem przeciskają się do drzwi autobusu. Wcześniej kupiony bilet to istne „błogosławieństwo" — nie tylko toruje drogę do wejścia, ale nawet uprawnia do zajęcia oznaczonego danym numerem miejsca...!

Po długiej przepychance i mnie udaje się wejść do środka (bilet wykupiłam trzy dni wcześniej w ORBISIE, odczekawszy przeszło pół godziny w kolejce). Tuż za mną starsza kobieta taszczy coś w tekturowych pudłach. Siada obok, ale już w chwilę potem wędruje w głąb pojazdu, bo oto zjawia się ktoś, kto ma bilet na to właśnie miejsce. Liczba osób w autobusie powiększa się. Kierowca zabiera wszystkich (każdy przecież chce jechać). Jest taki tłok, że trudno przecisnąć się pomiędzy siedzeniami. Ciasno i duszno. Ruszamy. Jeszcze przy wyjeździe z dworca dociera do moich uszu głos młodej kobiety:

— Przepraszam, czy pani ma bilet na to miejsce?

— Tak — słyszę odpowiedź „pani z pudłami".

— To dziwne, bo ja również mam ten numer na bilecie. Czy mogłabym zobaczyć pani bilet? — dopytuje się stojąca blondyna.

— Nie — brzmi odpowiedź. — Skoro tu jestem, to znaczy, że mam bilet.

Do rozmowy włącza się siedzący obok dwudziestokilkuletni mężczyzna:

— Jeżeli pani ma, to niech pokaże — zwraca się do starszej osoby — bo jak nie, to pani musi ustąpić.

— Sam niech pan ustąpi — słyszy odpowiedź.

Do „dyskusji" dołączają się inni pasażerowie. Większość z nich jest zdania, że trzeba „sprawdzić". Ktoś oznajmia:

— „Ona" siedziała najpierw na moim miejscu, a przecież nie miała biletu. Dopiero jak „Ją" przeprosiłam — przesiadła się tam.

Teraz ludzie jeszcze ostrzej napiętnują starszą panią. Nie kłóci się z nimi, nie odpowiada, nie wstaje. Jej zachowanie bulwersuje wszystkich i wyzwala dodatkowe napięcie. Emocje rosną.

— Niech pokaże! — krzyczą ci stojący i siedzący.

Ledwie słychać głos łysawego mężczyzny, który mówi:

— Przecież to jest starszy człowiek... — ale ludzie nie dają mu dokończyć.

— Ja „Jej" nie „wygryzę" z tego miejsca, bo i tak tam już siedzi — tłumaczy się pani, która wszczęła awanturę. — Chodzi przecież tylko o zasadę!

— O jaką zasadę? Ludzie, jak Wam nie wstyd? Gdzie Wasza kultura? — usiłuje protestować ten sam (stojący — na szczęście dla niego) mężczyzna. Bez skutku. Rezygnuje więc, zgaszony słowami kilkunastoletniego syna:

— Nie wtrącaj się tato, to nie twoja sprawa...

Tłum żądny sensacji i wrażeń dyskutuje coraz żywiej. O kulturze, o uczciwości, o pomocy, o młodych i o starych. Nagle robi się zamieszanie. Ktoś wstaje z fotela, ktoś otwiera okna, ktoś podaje tabletkę młodemu chłopcu, który przed chwilą stracił przytomność. Jest tak ciasno, że nie upadł, a tylko osunął się w dół po czyichś plecach. Teraz siedzi blady w porozpinanej koszuli. W ręku ściska bilet z numerem miejsca, przy którym stał...

IZABELA BORECKA
Tomaszów Maz.

GIEWONT BEZ WODY

Ulica Giewont — ulica jakich na obrzeżach Łodzi dziesiątki. Każda z nich ma coś wspólnego, ale każda jest inna. Ulica to nie tylko arteria komunikacyjna, jest to też miejsce zamieszkania. Zamieszkania — często do końca swoich dni. Są przypisani do ulicy. Ludzie ci jak wszyscy pracują dla wspólnego dobra, płacą podatki, są obywatelami tego samego państwa. Tylko, jak żyją? Dlaczego muszą mieć tak skrajnie różne warunki bytowania? To, że nie ma utwardzonej jezdni, że jest błoto, kurz, nie ma chodników, to jeszcze można wytrzymać! Ale tam nie ma wody!

Ktoś wymyślił, że będzie to ulica zabudowana po jednej tylko stronie. Drugą zarezerwowano dla jakiejś tam instytucji. Ta decyzja posłużyła jako jeden z argumentów, aby tych co tam mieszkają pozbawić wody. Drugi argument, to, że tam kiedyś będzie przeprowadzona magistrala wodna o dużym przekroju. Kiedy to będzie, tego nie wiadomo.

Na ulicy (odcinek od ul. Chałubińskiego do Telefonicznej) jest jeden jedyny hydrant u wylotu ulicy Wyżynnej. Latem ludzie wożą wodę beczkami na wózkach lub noszą wiadrami w rękach. Natomiast zimą — to już katorga. Nie dość, że śniegi po pas lub błoto i kałuże, to jeszcze bardzo często studzienka zamarza na całe tygodnie.

Próżne gadanie o demokracji, sprawiedliwości społecznej, o równości wobec prawa, obowiązkach obywateli. Ci ludzie czują się gorsi, im odmawia się tego najbardziej niezbędnego artykułu, którego niczym się nie zastąpi. Człowiek żyje tylko raz i chciałby to życie jakoś znośnie przeżyć, ale jak to zrobić?

Starania mieszkańców o wodociąg trwają od dziesiątków lat. Był już okres, kiedy na wniosek jednego z mieszkańców ulicy Giewont przyjęto postulat i ogłoszono, że będzie woda. Trwało to krótko! Zaczęto budować Widzew-Wschód i zabrakło funduszy. No bo cóż tych paru ludzi — niech się nadal pomęczą. Czym są oni gorsi od tych co dostali mieszkania, gdzie jest woda, gaz, pełny komfort. Chyba tym, że nie wyciągali rąk do państwa o mieszkania i że nie płacą miesięcznego czynszu a tylko roczny podatek.

W ostatnim czasie o wodę „walczyły" dwie kobiety z ulicy Giewont. Jedna z kobiet to pani Adamczewska — sołtys i radna, właścicielka gospodarstwa rolnego położonego na samym początku ulicy Giewont (tuż przy ulicy Brzezińskiej). Druga zaś, to Jadwiga Saar — emerytka. Pani Adamczewska zaczęła sprzedawać działki różnym wpływowym nabywcom. A ci z kolei zaczęli budować sobie domki. Wytyczono ulicę, którą wyłożono bezotworowymi ścianami z budownictwa komunalnego (tak jakby za dużo było domów). Oczywiście, jak dom — to trzeba mieć i wodę. I właśnie dla tych, którzy dopiero mają tu zamiar mieszkać już znalazły się fundusze i siły przerobowe. Tak że w 1987 roku zbudowano wodociąg od ulicy Brzezińskiej do Chałubińskiego.

Jadwiga Saar nie ustaje w zabiegach. Trafiła do przeróżnych biur i ludzi związanych z wodociągami. Każdy obiecywał, odsyłał, odkładał, tłumaczył, co ma być i jak, ale bez skutku. Pani Saar była również u prezydenta miasta, pisała do KC PZPR. Wreszcie osiągnęła to, że odcinek od ulicy Chałubińskiego do Telefonicznej umieszczono w planie inwestycji Widzewa. Zrobiono podkłady geodezyjne, proponowano wkład pieniężny jako czyn społeczny i dalej nic! W czerwcu 1988 roku pojawiła się urzędniczka, która szukała miejsca na składanie materiałów i postawienie „pakamery" dla robotników. Prace miano zacząć z końcem lipca 1988 roku. Ponieważ terminu nie dotrzymano, Jadwiga Saar była u przewodniczącego — pana Michalskiego. Przewodniczący dał słowo honoru, że w tym roku będzie woda. Radny Szymański to samo, ale na razie to tylko słowa bez pokrycia. Są jeszcze tacy ludzie wszechmocni jak Pani Dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Wodno-Kanalizacyjnych. Powiedziała do Jadwigi Saar cyt.: — Wejście z robotami leży w mojej gestii, jak zechcę to zrobię, a jak nie, to nikt mi nie udowodni złej woli.

K. PASZKOWSKI

KIM BYŁ FRANCISZEK GROCHALSKI?

Z okazji 22 Lipca odbyła się kolejna uroczystość nadania Drzewom Pamięci imion zasłużonych dla Łodzi Obywateli. Jedno drzewo poświęcono Franciszkowi Grochalskiemu.

„Express Ilustrowany" podał, iż był on od 1955 roku przewodniczącym Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. W rzeczywistości F. Grochalski był przewodniczącym Prezydium WRN w Łodzi dwa razy: w latach 1950—1952 i 1959—1967.

W latach 1947—1949 był przewodniczącym Rady Narodowej we Wrocławiu, a następnie krótko w Krakowie. W okresie 1952—1957 był przewodniczącym Prezydium WRN w Zielonej Górze i Koszalinie, po czym krótko pracownikiem Ministerstwa Gospodarki Komunalnej. Był też posłem na Sejm, członkiem NK ZSL, działaczem FJN, ZHP i przewodniczył Towarzystwu Przyjaźni Polsko-Indyjskiej w Łodzi. Zmarł 1 listopada 1967 r. przeżywszy 55 lat.

W latach 1952—1956 przewodniczącym Prezydium WRN w Łodzi był Julian Horodecki, późniejszy sekretarz Rady Państwa (1957—1969).

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

KTO JESZCZE NAZYWA SIĘ BUŁHAK?

Niedawno zgłosił się do mnie przedstawiciel Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, Andrzej TURLO i poinformował, że przystąpił do prac zmierzających do opracowania dziejów mego rodowodu — Bułhak. Pragnie on dowiedzieć się m. in. czy sławnego dramatopisarza i prozaika Michaiła Bułhakowa (1891--1949) a także znanego profesora fotografika wileńskiego Jana Bułhaka (1876—1950) łączą jakieś więzy pokrewieństwa.

Wobec powyższego za pośrednictwem „Odgłosów" zwracamy się z prośbą i jednocześnie apelem do osób, które noszą nazwisko Bułhak, aby skontaktowali się z **Andrzejem Turlo (86-200 Chełmno, oś. M. Kopernika 8/15, skr. pocztowa 15)** albo ze mną **(49-250 Otmuchów, ul. M. Konopnickiej 28)**. Czekamy na odzew osób, które noszą to rzadkie nazwisko.

KAZIMIERZ BUŁHAK

BYLI WYSIEDLENI CHCĄ SIĘ ZRZESZYĆ

W 23 numerze „Odgłosów" ukazał się list Jana Kabata pt. „Kto zajmie się wysiedlonymi z Łodzi". Przeczytałam z wielkim zainteresowaniem, gdyż sama byłam wysiedlona i sprawa ta żywo mnie interesuje. Porusza ona bardzo bolesny i istotny problem Polaków wysiedlonych przez Niemców z Łodzi w grudniu 1939 roku oraz kwestię powołania organizacji (stowarzyszenia), mogącego ich zrzeszać.

Sądziłam, że notatka ta wywoła żywy oddźwięk i dyskusję, tak ze strony byłych wysiedlonych, jak też pewnych organizacji, np. Stowarzyszenia Polaków Eksploatowanych przez III Rzeszę Niemiecką. Nic takiego nie nastąpiło. Brak zainteresowania? Mimo to sądzę, że powołanie takiego stowarzyszenia jest sprawą konieczną i niezwykle aktualną.

WŁADYSŁAWA KEMBŁOWSKA

CZAS TEN SPÓR ZAKOŃCZYĆ

Od pewnego czasu toczy się na naszych łamach spór między Symforianem Warteckim a Mieczysławem Kozakiem na temat tego, czy we wrześniu 1939 roku było Pogotowie Harcerskie czy Wojenne Pogotowie Harcerskie. Aby sprawę doprowadzić do końca — skoro żeśmy ją zaczęli — publikujemy listy obu zainteresowanych, które naszym zdaniem sprawę wyjaśniają.

Od ponad 20 lat pracuję nad materiałami dotyczącymi działalności harcerskiej w wojnie obronnej 1939 roku. Niektóre z tych faktów ogłosiłem w „Odgłosach". Symforian Wartecki zakwestionował nazwę „Wojenne Pogotowie Harcerzy". Z satysfakcją muszę zaznaczyć, że znalazłem dokument potwierdzający tę nazwę. Jest to ogłoszenie konkursu na pracę związaną ze wspomnieniami o „Wojennym Pogotowiu Harcerzy". Konkurs został ogłoszony w r. 1984 przez Komisję Historyczną Głównej Kwatery ZHP w Warszawie i redakcję tygodnika „Motywy" i tam Symforian Wartecki winien zgłosić i zażądać wyjaśnień co do swoich zastrzeżeń i wątpliwości.

MIECZYSŁAW KOZAK

Znane mi są fakty pomocy łódzkiej młodzieży gimnazjalnej świadczonej polskim jeńcom wojennym. Gimnazjum Żeńskie im. M. Konopnickiej w Łodzi przy ul. Wólczańskiej świadczyło pomoc na rzecz polskich jeńców wojennych, gotując i donosząc im ciepłą strawę. Wśród tej młodzieży znajdowały się również harcerki, a organizatorem tej pomocy była nauczycielka łaciny w tym gimnazjum. Świadczy to, że młodzież ta została wychowana w duchu patriotycznym, ale również i o tym, że patriotami byli nauczyciele i wychowawcy tej młodzieży.

I sprawa ostatnia, która ciekawi M. Kozaka. Należałem do 43 ŁDH przy Państwowej Szkole Techniczno-Przemysłowej w Łodzi, ul. Żeromskiego 115, której byłem uczniem. Czynną służbę w Pogotowiu Harcerskim (a nie w WPH — jak mylnie podaje M. Kozak) pełniłem, powołany przez Komendę Hufca Harcerzy w Łodzi, uważając to za swój obowiązek zgodny z Przyrzeczeniem Harcerskim i istniejącą w tym czasie potrzebą mojego kraju.

SYMFORIAN WARTECKI

PS. 01.08.88. w Łódzkiej Komendzie Chorągwi ZHP (w Komisji Historycznej) poinformowano mnie, że Rozkazem Naczelnika Harcerzy l. 16 z dn. 10.06.1939 powołano Komisarza Pogotowia Harcerzy w ŁKCh., harcmistrza Jerzego Wolskiego. A więc istniało Pogotowie Harcerzy.

Jednocześnie druhowie z Izby Pamięci ŁKCh oświadczyli mi, że w tym czasie, tj. wojny 1939 r. nie było żadnego Wojennego Pogotowia Harcerzy, na które cały czas powołuje się Mieczysław Kozak. Tak więc wyjaśniła się sprawa właściwej nazwy.

PRZEGLĄD BALKONÓW

W nawiązaniu do artykułu zamieszczonego w numerze 31 „Kuriera Polskiego" pt. „Trzy piętra do śmierci — Balkony i gzymsy lecą na głowy przechodniów" oraz licznych artykułów na ten temat w prasie lokalnej (w tym w „Odgłosach") wyjaśniam:

Zabudowa dzielnicy śródmiejskiej charakteryzuje się starą zabudową, w której na około 1760 posesji 75 proc. stanowią obiekty wzniesione w początku obecnego stulecia, a także w końcu XIX w. Część z nich wpisana do rejestru zabytków o unikalnym często wystroju wymaga w przypadku napraw lub robót odtworzeniowych znacznych nakładów i środków (przy istniejącej barierze finansowej) z racji pracochłonności oraz konieczności zatrudnienia fachowców o bardzo wysokich kwalifikacjach, którymi zarządcy posesji nie dysponują.

Stan techniczny większości budynków oraz ich elementów konstrukcyjnych, w tym balkonów i elewacji jest zły. Złożyło się na to wiele przyczyn: niewłaściwa w poprzednich latach gospodarka remontowa przy mocno zredukowanych nakładach finansowych, brak kadry posiadającej uprawnienia w zakresie budownictwa, brak dostatecznego potencjału budowlanego przedsiębiorstw remontowych realizujących zadania dla potrzeb dzielnicy, a także dostosowanego do tych celów sprzętu specjalistycznego (podnośniki, rusztowania itp.).

Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej, jak i inni zarządcy budynków mieszkalnych przy swoim niskim potencjale zmuszeni są do spełniania swoich statutowych obowiązków w bardzo skromnym zakresie ograniczając je do robót — remontów bieżących i eksploatacyjnych nie wymagających pracowników o wysokich kwalifikacjach.

Podejmowane przez nadzór budowlany działania na terenie dzielnicy Łódź-Śródmieście w okresie poprzedzającym wypadek przy ul. Sienkiewicza nr 52 — to wydanie nakazów (decyzji) na usunięcie balkonów stanowiących bezpośrednie zagrożenie w 18 posesjach oraz na usunięcie elementów elewacji grożących użytkownikom ulicy w 9 posesjach. Decyzje zostały wyegzekwowane.

Stwierdzenie bezpośredniego zagrożenia ze strony balkonów i elementów elewacji wymaga niezwłocznego usunięcia zagrożenia przez jego likwidację (rozebranie). Elementy balustrad stanowiące wartość kulturową są zabezpieczone (magazynowane) w celu przyszłego ich odtworzenia. W tej sprawie nadzór budowlany na interwencję Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wydał stosowną decyzję zarządcom posesji. Odtworzenie usuniętych elementów nastąpi w ramach planowanych remontów kapitalnych.

Obecnie trwają przeglądy wszystkich balkonów i elementów elewacji przez zarządców posesji. Z uwagi na znaczną liczbę, tj. 2540 budynków będących w administracji Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej i 450 budynków w administracji prywatnej przegląd prowadzony będzie w okresie roku bieżącego i 1989.

mgr inż. WŁODZIMIERZ ZAJDLER
(zastępca naczelnika dzielnicy)

ZDANIEM MPK NARUSZONO PRZEPISY

Ustosunkowując się do informacji Czytelniczki zamieszczonej w „Odgłosach" nr 32 z 6 sierpnia 1988 r. wyjaśniamy:

Z przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego wynika, że pasażerka okazała do kontroli wkładkę nr 599084 na linie „88" i „57" z nadrukiem ceny biletu zł 600,— bez ważnego znaczka kontrolnego w tej samej cenie. Poinformowana o braku znaczka pasażerka wyjęła z portfela drugą wkładkę nr 595729 na linie „81" i „1" z nadrukiem ceny biletu zł 360,— od której podała znaczek w cenie zł 600,— z wypisanym numerem wkładki 599084 umieszczonym w niewłaściwym miejscu, tj. na odwrocie znaczka. Z powyższego wynika, że pasażerka korzystała z dwóch wkładek i znaczka przekładanego w miarę potrzeby do jednej lub drugiej wkładki. Migawka pracownicza w cenie zł 600,— jest biletem miesięcznym ulgowym ważnym na wyznaczonej trasie. Korzystanie z dwóch wkładek na różnych trasach i jednego znaczka jest nadużyciem. O ile pasażerka chciała korzystać z więcej niż jednej trasy mogła nabyć bilet miesięczny ulgowy w cenie zł 1250,—, który uprawniałby do korzystania ze wszystkich linii normalnych w granicach miasta Łodzi. Powyższe jest zawarte w Zarządzeniu nr 3/88 Prezydenta Miasta Łodzi z 12.02.1988 r. w sprawie ustalenia opłat za przewozy osób i bagażu środkami miejskiej komunikacji masowej.

Pasażerka zdecydowała się korzystać z biletu miesięcznego na trasie linii „88" i „57" w związku z czym została zatrzymana wkładka nr 595729.

mgr inż. LUCJAN STRAWA

PKS WYJAŚNIA

W nawiązaniu do interwencji złożonej przez ob. Joannę Federowicz-Borowiec w redakcji tygodnika „Odgłosy" w sprawie scysji powstałej na tle kwalifikacji bagażu pasażerów do opłaty, w autobusie relacji Kudowa — Łódź w dniu 25.06.1988 r., Dyrekcja Okręgowa Krajowej PKS w Łodzi uprzejmie informuje:

Odpowiedź na skargę pasażerki została udzielona przez II Oddział KPKS w Łodzi 4.08.88 r. — kopię odpowiedzi oraz dokumentacji wyjaśniającej przesyłamy w załączeniu. Jednocześnie informujemy, że z uwagi na ostateczną ocenę bagażu jako podlegającego opłacie dokonanej przez rewizorów Okręgu Wrocławskiego sprawę kierujemy do Dyrekcji Okręgowej KPKS we Wrocławiu w celu bezpośredniego rozpatrzenia i poinformowania zainteresowanych.

mgr LECH KUKUŁKA

Odpowiadając na skargę dotyczącą niewłaściwego zachowania kierowcy, jak również rewizorów dokonujących kontroli biletów we Wrocławiu w dniu 25.06.88 r. w autobusie obsługującym kurs z Kudowy do Łodzi, Krajowa PKS II Oddział w Łodzi uprzejmie wyjaśnia, że zgodnie z taryfą przewozu osób i bagażu w międzymiastowej komunikacji autobusowej opłatę za przewóz bagażu dokonuje ten podróżny, którego bagaż posiada łączne wymiary (długość, szerokość i wysokość) przekraczające 200 cm lub łączna waga bagażu przekracza 20 kg (rozdział 5 § 24 pkt. 1 taryfy przewozu osób i bagażu w międzymiastowej komunikacji autobusowej PP—8).

Dążąc do obiektywnego zajęcia stanowiska w przedmiocie niewłaściwego, jak pisze Obywatelka, zachowania kierowcy wystąpiliśmy do świadków zdarzenia z prośbą o przekazanie nam swoich wrażeń i spostrzeżeń. Mimo że otrzymane wypowiedzi nie potwierdziły stawianych kierowcy zarzutów, pouczono go o ciążących na nim obowiązkach i jego służebnej roli w stosunku do pasażerów.

Kontrolę biletów we Wrocławiu przeprowadzili rewizorzy z Wrocławia i tam też należy przesłać swoje roszczenia o zwrot kwoty 1.500 zł + 230 zł za „wymuszony na nas bilet bagażowy".

Kierowca w złożonej do sprawy wypowiedzi wskazał, że osobami wysiadającymi w Tyblach, Sokolnikach i Okupie byli pracownicy PKS, którzy posiadają prawo do bezpłatnych przejazdów.

Za zwłokę w udzieleniu odpowiedzi przepraszamy. Powodem jej był długi okres wyczekiwania na wypowiedź świadka zajścia zamieszkałego w Lublinie.

Za przedstawione w piśmie spostrzeżenia dziękujemy.

PKP OLECHÓW PRZEPRASZA

Lokomotywownia Łódź-Olechów w odpowiedzi na skargę ob. Lucyny Gałkiewicz wyjaśnia, że w okresie letnim przydzielono nam do obsługi pasażerów dodatkowe pociągi. Dlatego też, aby nie spowodować odwołania planowych pociągów może się zdarzyć, że są one obsługiwane jedną EZT. Za powstałe uciążliwości w trakcie podróży naszymi pociągami — przepraszamy.

mgr in. STANISŁAW GNACIKOWSKI

WIELOPROFILOWA PRACOWNIA USG

diaSon®

Łódź, ul. Piotrkowska 59
czynna codziennie w godzinach 16—18
w soboty w godzinach 10—15.

Lekarze specjaliści wykonują badania:

- ginekologiczno-położnicze
- jamy brzusznej
- układu moczowego
- rozwoju stawów biodrowych u niemowląt — czwartki, soboty.

Informacja telefoniczna

w godz. 10—18, telefon 33-16-88.

g

MEDAR

Spółka z o.o.

Łódź, ul. Zielona 6
tel. 33-85-20

OFERUJE

USŁUGI:

USG-SONO badania

— tarczycy
— piersi
— wątroby
— pęcherzyka
— dróg żółciowych
— śledziony
— trzustki
— nerek
— układu moczowego
— dróg rodnych
— wykrywania ciąży
— ocena płodu
— badania jąder — gruczołu krokowego

codziennie 9—17
soboty 9—13

USG — serca

Diagnostyka wszystkich chorób serca.

Konsultacje lekarzy specjalistów:

— urolog
— kardiolog
— internista
— onkolog

codziennie 15—19
soboty 9—13

ZAPRASZAMY!

2504 K

ZAPRASZAMY W GODZ. 9-17. W SOBOTY ZAKŁAD NIECZYNNY

5 5

ANGLO-WENTRUST

KSEROGRAF

ZACHODNIA 101 TEL. 32-32-77

WYKONUJEMY ODBITKI
DOKUMENTÓW
DRUKÓW
RYSYNKÓW

FIVE DOLLARS FIVE

2505 K

UWAGA FOTOAMATORZY!

OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY,

j e ż e l i

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!

— Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych,
— Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych,
— Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
Z A P R A S Z A !

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-38-07.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.
Prace można również nadsyłać pocztą.

g

Baltona

PHU „OTEX"
w Łodzi
i
PHZ „BALTONA" SA
w Gdyni

Z A P R A S Z A J Ą

do swoich sklepów, polecając:

— ul. ZGIERSKA 22

- sprzęt RTV i audiowizualny
- kasety video
- art. kosmetyczne
- zegary i zegarki
- zabawki i kalkulatory

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

— ul. ZGIERSKA 11

- art. spożywcze
- napoje

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW!

2494 K

WESTA

Rok założenia 1988

UBEZPIECZA - ZAWSZE TANIEJ!

Proponujemy Naszym Klientom ubezpieczenie mieszkań od kradzieży z włamaniem, rabunku, ognia, zalania i innych zdarzeń losowych po cenach konkurencyjnych względem PZU.

Wartość mienia	Składka w PZU	Składka w „Weście"	Różnica na korzyść klienta
300.000	2.700	1.590	1.110
500.000	3.825	2.650	1.175
1.000.000	6.300	5.300	1.000
2.000.000	12.600	10.600	2.000
5.000.000	31.500	26.500	5.000
10.000.000	63.000	53.000	10.000

W WEŚCIE można ubezpieczyć wszystko na korzystnych dla Klienta warunkach: kolekcje, dzieła sztuki, biżuterię, księgozbiory, telewizory, magnetowidy, komputery, instrumenty muzyczne, anteny satelitarne itd. wg cen wolnorynkowych.

Można nie ubezpieczać mieszkania a ubezpieczyć jego elementy wyposażenia.

ZAPEWNIAMY DALSZE OBNIŻENIE SKŁADEK Z TYTUŁU CIĄGŁEGO WIELOLETNIEGO I BEZSZKODOWEGO UBEZPIECZENIA.

Informacje i zawieranie umów u pośredników i w przedstawicielstwie „WESTY"

WESTA

Rok założenia 1988

P O L E C A

DLA ROLNIKÓW, RZEMIEŚLNIKÓW, DLA KAŻDEGO DODATKOWO.

R E N T Ę O D R O C Z O N Ą

ZE SKŁADKĄ MIESIĘCZNĄ.

Przy opłaceniu składki np. 1.000 zł miesięcznie WESTA proponuje dożywotnią rentę miesięczną płatną po umówionym okresie opłacenia składek.

Renta wynosi przykładowo:

Lata opłacania składek	Wpłacone składki	Wysokość renty miesięcznej zł	Okres zwrotu wpłaconych składek m-ce.
10	120.000	6.857	18
15	180.000	15.428	12
20	240.000	27.428	9
25	300.000	42.857	8
30	360.000	61.714	6

Renta płatna od 50 roku życia, a nie później jak od 65 roku życia.

Dla dzieci kalekich, rentę mogą wykupić opiekunowie i w tym przypadku nie ma ograniczenia wieku rozpoczęcia wypłaty.

W przypadku przedwczesnej śmierci ubezpieczonego WESTA wypłacać będzie umówioną rentę rodzinną.

Informacje i zawieranie umów u pośredników i w przedstawicielstwie WESTY.

Nasz adres: **PRZEDSTAWICIELSTWO „WESTY" 91-416 Łódź ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.** 2495 K

Obyczaje Polaków 1988..

A nazywa się to — chamstwo

Cham, chamstwo — to słowa, które w ostatnich dziesiątkach lat obrosły niepisanym tabu. Stąd też nawet najbardziej rażące przejawy grubiaństwa, nieokrzesanego, ordynarnego zachowania się człowieka nie nazywamy po imieniu, aby to właściwe nazewnictwo nie obróciło się przeciwko nam. Przemilczamy więc, omijamy napotykane na każdym kroku przejawy chamstwa i poddajemy się temu chamieniu, głuchnąc i ślepnąc na urodę świata i ludzi.

Słowo cham pochodzi, jak wiemy, od imienia syna Noego, wyliczanego zwykle jako drugi z rzędu, który podczas potopu uratował swe życie przebywając w arce. Z powodu nieprzystojnego zachowania się w stosunku do własnego ojca, Cham i jego potomkowie popadli pod klątwę ojcowską. Jak pisze Władysław Kopaliński — Cham zgrzeszył, spojrzawszy na obnażonego, upitego winem ojca i wzywając braci, aby przyszli popatrzeć. Ale Sem i Jafet włożyli płaszcz na ramiona i, krocząc tyłem, zakryli ojcowskie łono. Gdy Noe się o tym dowiedział, przeklął nie Chama, ale jego syna, Kanaana, który miał za karę zostać niewolnikiem swych braci.

Nazwę chamitów stosuje Biblia do szczepów afrykańskich i do Babilończyków, Asyryjczyków, Filistynów i Kanaanejczyków. Tą mało pochlebną nazwą obdarzano narody wrogo nastawione wobec narodu wybranego. I z tych właśnie źródeł wzięło się, stosowane dawniej w znaczeniu pogardliwym słowo cham — jak podaje słownik — stosowane w języku warstw uprzywilejowanych do człowieka należącego do niższej klasy, głównie chłopa.

Likwidacja klas społecznych w powojennej rzeczywistości, społeczne zrównanie wszystkich warstw sprawiło, że użycie słowa cham wywoływało dwojaki skutek. Z jednej strony wszyscy, i słusznie, pochodzący z gminu, czy jak to nazywano pogardliwie: wiejskiego motłochu, odcinali się od przeszłości, zdobywszy dla siebie nowe perspektywy. Z drugiej zaś — nikt nie stosował tego słowa, aby nie być posądzonym o humanistyczne a nawet polityczne odszczepieństwo. Z tych chyba względów nie posługiwano się tym słowem nawet wtedy, kiedy czyjeś zachowanie było (czy jest) niedwuznacznie chamskie, obelżywe. Jak określa słownik: Cham — *„człowiek ordynarny, grubiański, nieokrzesany"*; Skończony cham. Robić coś na chama, *„robić coś (coś zabronione) bez osłonek, bez ukrywania właściwej intencji, często przemocą, z użyciem siły itp."* Tak więc chamstwo to *„ogół cech właściwych chamowi; zachowanie charakterystyczne dla chama; ordynarność, grubiaństwo, nieokrzesanie"*.

Przywróćmy temu słowu właściwe znaczenie, nazywajmy rzeczy po imieniu, gdy mamy do czynienia z pospolitymi przejawami chamstwa, które nas obezwładnia, znieważa, rozjusza, utrudnia życie i wyniszcza, pod którego przemożnym wpływem sami psiejemy, pokorniejemy, popadając w coraz większą degradację.

To dawne słowo cham — wstydliwe i niegodne, straciło dziś znaczenie i stało się czymś przebrzmiałym. Nie przebrzmiało natomiast chamstwo. Nazywajmy więc zachowanie i ludzi niegodnych z tego tytułu po imieniu. Cham to cham. Bez względu na to czy jest człowiekiem prostym czy utytułowanym, dobrze osadzonym w naszej rzeczywistości czy nie, zasobnym czy biednym. A jeśli ktoś doszuka się w tym słowie innych skojarzeń — to jego sprawa.

Rzecz może i niegodna byłaby uwagi, gdyby nie to, że chamstwo osacza nas na każdym kroku. Chamstwo rozbudzane od nadmiaru. Chamstwo z gębami wymoszczonymi bluźnierstwem; chamstwo przepojone alkoholem; chamstwo napuszone krzepą; chamstwo chojrackie, jurne chamstwo młodości; chamstwo nabzdyczone i nadęte od dawnych zasług. Chamstwo z głupoty i niewiedzy, chamstwo z poczucia pewności siebie, poczucia władzy, chamstwo, z którym spotykamy się na co dzień, na każdym kroku — na ulicy, w sklepie, w tramwaju, w pracy i w domu. Chamstwo, o którym mówimy — i na które utyskujemy — ale między sobą, rzadko publicznie, nie za głośno.

O przejawach chamstwa trzeba krzyczeć. Głośno i dosadnie. Jeżeli chcemy zachować własną godność, żyć godnie, po ludzku — nazywajmy rzeczy po imieniu. Musimy podnieść głowę i dać głośny odpór wszelkim przejawom chamstwa. Wtedy tylko zdolni będziemy przywrócić właściwe miary i rangę temu, co nazywamy kulturą życia, bycia, zachowania, czy kulturą obyczaju. Gubiąc z języka powszedniego słowo chamstwo, żyjąc zniewoleni pod jego przemożnym wpływem, zagubiliśmy w naszym słownictwie słowo *„przepraszam"*, *„dziękuję"*, *„proszę"*, słowa, które wyrażają nasz stosunek do innego człowieka. Poddaliśmy się chamstwu i obcesowości. Zmaltretowani chamstwem — marniejemy. I tylko od czasu do czasu na obcesowość odpowiadamy tym samym, jak to się powiada: — pięknym za nadobne, poddając się i utożsamiając. Jest w tym coś upodlającego...

Czy trudno o przykłady? Proszę — oto codzienne i na każdym kroku. Pragniemy wejść do przepełnionego sklepu. Nikt nie przepuści wychodzących, żeby można się było we wnętrzu swobodniej poruszać. Wszyscy walą, pchają, rozpychają się, a kogoś przepuszczającego wychodzących — traktuje się za durnia mającego widać czas.

Wchodzimy do tramwaju czy autobusu — stojący tuż przy wejściu nie przepuszczą wsiadających. Nagabywani zdolni są tylko do chamskiej opryskliwości. Co innego, gdy sami są w roli wsiadających...

Te relacje można powielić na rozbuchanych od nadmiaru właścicieli czterech kółek w stosunku do pieszych, rozwścieczonych pieszych na kierowców, wściekłego urzędnika, który spogląda na interesanta-intruza niczym na rozdeptaną żabę, sprzedawczynię nadąsaną na widok klienta, szefa — na podwładnego i podwładnego, szyjącego buty swojemu szefowi, na chama i po chamsku. Bo w tym powszechnym schamieniu zatraciliśmy także i poczucie tego, kto dla kogo kim jest, kto po której stronie akurat znajduje się i w jakiej roli. Inni jesteśmy po tej i tamtej stronie biurka, po tej i tamtej stronie okienka i lady, na chodniku i na drodze, za kółkiem, na zebraniu i w domu. Po prostu — zakłamani i źli.

Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy to widzą i publicznie wskazują. Oto przeczytałem w tygodniku „Antena" (nr 30) list pani Krystyny Nowickiej, która pisze w związku z felietonem KTT „Z satelity":

„...nasza telewizja rzeczywiście służy głównie przekazywaniu deklaracji, ich wyrażaniu myśli i emocji. Mam nadzieję — pisze autorka listu — *iż nie bierze się to stąd, że brak u nas myśli i emocji. Raczej stąd, że Polak przed kamerą uważa, iż łatwiej i bezpieczniej jest składać deklaracje niż wyrażać własne myśli i emocje, które zostawia sobie na bardziej prywatne okazje..."*

Ano właśnie. I oto mamy te buźki i buziaczki na publiczny i prywatny użytek, te minki zalotne i mizdrzące się na pokaz i rozwścieczone na użytek własny, prywatny niejako. Tyle że ten właśnie stanowi o człowieku.

MARIAN ZDROJEWSKI

1 Nagłe zastępstwo

Lato w mieście

Sezon się kończy nieodwołalnie (nie mam na myśli sezonu politycznego — zbyt poważna sprawa na mały felieton) — chodzi wyłącznie o sezon urlopowy i „artystyczny" jeśli na taką nazwę zasługują festiwale na pieśń wszelaką. I w tym miejscu chcę się pochwalić swoim tekstem sprzed dwóch miesięcy, w którym to tekście kpiłem w czambuł z tych artystycznych niesłychanie imprez, a także z uczestniczącej w nich publiki.

Miałem rację (a bardzo nie lubię mieć racji), że w Kołobrzegu wystąpią artyści dyżurni. Nie przewidziałem jednak w najśmielszych oczekiwaniach, że z okazji rocznicy odzyskania niepodległości organizatorzy i kierownicy artystyczni wystąpią z koncertem, który nazwałem na własny użytek „festiwalem pieśni pijackiej". Czego tam nie było? Był pełny repertuar patriotyczno-alkoholowy, którego nie powstydziłyby się żadne imieniny czy chrzciny... Już nawet nie chodzi o legionową piosenkę „Hej strzelcy wraz..." Wśród pieśni zmilitaryzowanych znalazł się nawet góral, któremu — jak wiadomo — żal!

O osobistym występie Dziadka, czyli Komendanta już pisałem. Zabrakło tylko Kasztanki. To byłby ubaw!

Zostawmy piosenkę żołnierską. Odbył się również doroczny przegląd „piosenki aktorskiej". Różne tam rzeczy były, ale nic na ten temat nie napiszę, bom profan i nie rozumiem co to jest piosenka aktorska. No bo żołnierska — wiadomo, o wojsku i dla wojska, jako głównego odbiorcy. Radziecka — też wiadomo. Podobnie np. harcerska. A aktorska? Czy to są może piosenki o aktorach i dla aktorów? Przypuszczam, że chodzi tu o piosenkę zwaną dawniej literacką, która wyróżniała się przyzwoitym tekstem w pierwszym rzędzie i ewentualnie także muzyką i wykonaniem, w wyniku którego słuchacz ten tekst zrozumiał. Jeśli już przy tym gatunku jesteśmy, niewątpliwą frajdę zrobili widowni panowie Wojciech Młynarski i Jan Pietrzak. Zwłaszcza Młynarski, występujący w znakomitym towarzystwie w swoim koncercie jubileuszowym udowodnił, że jako poeta stanął zdecydowanie w takim szeregu najświetniejszych polskich tekściarzy jak Hemar, Tuwim, Przybora... I kto by pomyślał! Facecik, który debiutował przed laty studenckim songiem „Niedziela na Głównym" — też zresztą dobry tekst...

Potem był Sopot, który — jak co roku — nudził, mnie najbardziej. Tym razem może nawet trochę bardziej. Główna gwiazda, niejaka panna Sabrina, niesłychanie urodziwa, śpiewać przecież nie musi umieć. Potwierdza to znaną tezę, że piękne kobiety dają sobie radę w każdym wybranym zawodzie, osobliwie artystycznym.

Jarocin też był — jak twierdzą znajome małolaty — w tym roku kiepski. Piknik w Mrągowie także jakby podupadł.

Przejdźmy do sezonu urlopowo-wypoczynkowego. Lato było piękne nad wyraz. Natomiast niepokojąco duża część moich znajomych nigdzie nie wyjechała! Coś mi się wydaje, że handlowo-rynkowe podejście do tzw. letniego wypoczynku ludzi pracy, uprawiane przez FWP i inne firmy doprowadzi do tego, że konstytucyjne prawo do wypoczynku zostanie na papierze, chyba że tu chodzi tylko o prawo do urlopu w mieście?

A jeśli przy wakacjach w mieście jesteśmy, to chcę zasygnalizować sprawę, przekazaną mi przez Czytelnika (imię i nazwisko znane autorowi, adres poniżej). Otóż na obszernym podwórku posesji przy Piotrkowskiej 62 był od lat taki ogródek z dziecięcymi karuzelami, huśtawkami itp. Przez całe lato gwar dziecięcy wypełniał podwórko... Może nie wszystkim było to na rękę, bo tego roku, gdzieś tak przed samymi wakacjami przyjechali jacyś panowie i zwinęli ten cały sprzęt wywożąc go w nieznane.

Domyślać się należy, że jakiś kompetentny organ doszedł do wniosku, że sprzęt trzeba naprawić, albo że jest bardziej potrzebny gdzie indziej. Może nawet mają rację, mnie to w końcu nic nie przeszkadza, ale może kompetentni panowie z kompetentnych organów — chyba Urząd Dzielnicowy? — wytłumaczą to małemu Mareczkowi, plegowatej Małgosi i urwisowatemu Piotrusowi z Piotrkowskiej?

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Krok naprzód, dwa kroki w tył

Nie tylko złotówka jest walutą niewymienialną. Niewymienialny jest także, przynajmniej na naszym rynku krajowym, dolar. Jeśli ktoś posiada oryginalne, zielone banknoty amerykańskie, a osób, które je posiadają jest, w naszym kraju, niemało, to nie może tych banknotów wymienić uczciwie, oficjalnie na złotówki. Może to tylko uczynić u pokątnego handlarza, popełniając przy tym oczywiste przestępstwo. Legalnie może tylko dolary wymienić na bony dolarowe, po czym w innym banku bony wymienić z kolei na złotówki. Nikt nigdy nie wyjaśnił, dlaczego nie jest możliwa wymiana bezpośrednia, dlaczeg trzeba to czynić poprzez dwa banki, marnując parę godzin na stanie w kilku kolejkach po to właśnie, żeby dać wreszcie państwu tak potrzebne mu dewizy. Chciałbym znaleźć gdzieś w prasie wyjaśnienie tej sprawy, ale tak zrozumiałe, żebym nawet ja pojął wreszcie, o co tu chodzi.

Ze wszystkich stron słyszy się o zrównaniu w prawach wszystkich sektorów gospodarczych, o zielonym świetle dla prywatnej inicjatywy (to „zielone światło" brzmi już w moich uszach jak wręcz nieprzyzwoity slogan, bo słyszę je od kilkudziesięciu lat, powtarzane w paroletnich odstępach i nigdy jeszcze nie potraktowane poważnie.) Namawia się ludzi do podejmowania inicjatyw gospodarczych, oblicza się z góry, jakie to może przynieść korzyści gospodarce narodowej. Jednocześnie wprowadzono właśnie nowy podatek obciążający przedsiębiorstwa uspołecznione, które będą korzystać z usług i dostaw firm prywatnych. Jest tak, jak gdyby wszystkie państwa świata nałożyły olbrzymie cła na towary importowane z Polski, a potem dziwiły się, że ta biedna Polska jakoś wcale się nie może podźwignąć. Jakież to zielone światło dla rzemieślnika, skoro wytwór jego pracy będzie obciążony dodatkową karą wobec jego klientów? Przecież ci klienci natychmiast przestaną nimi być...

Ogłoszono już rządowy projekt ustawy o działalności gospodarczej. Zanim się ukazał, rzecznik prasowy rządu nazwał go czymś w rodzaju konstytucji gospodarczej państwa polskiego. I oto tuż po jego ogłoszeniu posypały się ze wszystkich stron uwagi, a prawie wszystkie krytyczne. Ostrzelano głównie ten paragraf, który dopuszcza nieograniczoną działalność gospodarczą we wszystkich branżach, oprócz — i tu następuje tak długa lista branż wyjętych spod działania ustawy, że wreszcie niewiele z całości pozostaje.

Zapewne we wszystkich tych wypadkach istnieją jakieś skomplikowane racje, których — ze smutkiem przyznaję — nie rozumiem. Może to moja wina, ale może te bardzo ważne akty, przepisy walutowe, prawo o działalności gospodarczej, prawo o zrównaniu sektorów gospodarczych, wcale nie idą po myśli reformy? Albo idą, ale bardzo nieśmiało, krok naprzód, dwa kroki w tył? Gdzież wreszcie my, ci niezmordowani zwolennicy naprawy Rzeczypospolitej mamy szukać rzetelnych, autentycznych prób idących w tym kierunku?...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Pod prąd

Wielka ropa

Co prawda geolodzy nie powiedzieli jeszcze ostatniego zdania, ale jak na razie wszystko wskazuje na to, że w polskiej ziemi nie ma wielkich złóż ropy naftowej, a co najwyżej — jakieś tam następne Karlina. Zastanawiam się jednak, co by było, gdyby mimo wszystko pewnego dnia trysnęła gdzieś w Polsce wielka ropa. Na przykład pod Łodzią albo Warszawą, w najmniej spodziewanym miejscu i czasie. Toż by to dopiero było nieszczęście!

Oczywiście na początku wszyscy bardzo by się cieszyli, dziękując nafciarzom za ich uwieńczoną sukcesem pracę (odznaczenia, odznaczenia) i Bogu, że o nas nie zapomniał w tak trudnej chwili, ale potem... niechybnie „rozpoczęłyby się schody".

Przede wszystkim dziurę z ropą szybko by zakorkowano, bo — choć to wielkie bogactwo — jak ją wydobywać na powierzchnię? czym transportować? gdzie magazynować i przerabiać? Przecież niczego nie ma. Nie byliśmy zupełnie przygotowani — powiedziałby ktoś kompetentny. A ktoś inny — że musimy głęboko zastanowić się, jak najracjonalniej wykorzystać to nasze niespodziewanie odkryte płynne złoto. I zaczęłoby się wielkie zastanawianie od Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium Rządu poczynając, a na Gminne Radzie Narodowej w Dobroniu kończąc, jeśliby tam właśnie trysnęło. Posiedzenia, narady, rozmowy, konferencje i obrady ciągnęłyby się pewno z rok, zanim nie doszlibyśmy do odkrywczego wniosku, że skoro już jest ta ropa, to jednak trzeba ją wydobyć i jakoś spożytkować. Ale jak? Tym zajęłaby się zapewne specjalna rządowa komisja albo nawet utworzone ad hoc nowe ministerstwo, działające pod nazwą Wspólnota „Polska Ropa", czy coś takiego. Opracowano by w nim w czasie następnych dwunastu miesięcy szeroki i wielowariantowy program eksploatacji złoża, na terenie którego w pierwszej kolejności pojawiłyby się tablice z napisem „zakaz fotografowania", później zaś rozpoczęto by budowę wielkiego biurowca i ewentualnie bocznicy kolejowej. Inwestycje te, często odwiedzane przez reporterów Dziennika Telewizyjnego nie położyłyby jednak kresu krążącym uparcie po kraju plotkom, że znowu Rosjanie „położyli na wszystkim łapę", ani też nie spowodowałyby zniesienia reglamentacji paliw, które w dalszym ciągu sprowadzalibyśmy z zagranicy w oparciu o wieloletnie umowy.

Po przedyskutowaniu programu przez wszystkie zainteresowane gremia kierownicze i konsultacyjne, przystąpiono by prawdopodobnie do poszukiwań odpowiednich dostawców potrzebnego sprzętu wydobywczego, a negocjacje z nimi zajęłyby co najmniej kolejny rok. Naturalnie dostawy sprzętu chcielibyśmy spłacać częścią wydobytej ropy, której cena tymczasem — na wieść o naszym odkryciu oraz na skutek dalszych oszczędności energii i paliw w krajach wysoko uprzemysłowionych — znów spadłaby o kilkadziesiąt centów na baryłce. Nie bylibyśmy tym, rzecz jasna, zachwyceni, doszukując się w owej obniżce różnych podtekstów, ale w końcu — cóż znaczą jakieś tam centy wobec perspektywy spłacenia kiedyś naszych wielomiliardowych długów. Bo przecież myśl ta nieustannie towarzyszyłaby wszelkim publicznym dyskusjom na temat polskiej ropy, a i różni wybitni specjaliści optowaliby za takim właśnie rozwiązaniem. Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że władze centralne zdecydowałyby się — póki co — eksportować surową, nie przerobioną ropę za dolary, które szerokim strumieniem miałyby popłynąć do... Bonn, Londynu, Waszyngtonu, Zurychu... Korzyść byłaby przy tym podwójna, bo długi spłacałyby się niejako same, prawie że bez naszego udziału, no i odpadłby także problem inwestowania na gwałt w przemysł petrochemiczny, tworzyw sztucznych, itd. Słowem, prawie wszystko mogłoby pozostać po staremu, jeśli nie liczyć odstąpienia jednak od reglamentacji benzyny przy równoczesnym podniesieniu jej ceny i uwolnienia części przedsiębiorstw od konieczności eksportu swoich wyrobów za wszelką cenę, czyli — na ogół niższą od kosztów produkcji.

A kiedy mniej więcej po pięciu latach przygotowań i eksperymentów ruszyłoby wreszcie prawdziwe wydobycie, moglibyśmy wszyscy po raz pierwszy od Bóg wie jak długiego czasu, spojrzeć w przyszłość z autentyczną nadzieją na naprawdę lepsze życie. Zrozumiałe, że nie tak od razu, nie w każdej dziedzinie, nie bez pewnych ograniczeń... Jak to u nas.

Oczywiście wcale tak być nie musi i raczej nie będzie, gdyż odkrycie wielkiej ropy w Polsce jest — jak pisałem na wstępie — mało realne. Ale — nigdy nic nie wiadomo. Jeśli taki Paryż — jak się okazało — leży na ropie, to dlaczego nie mogłaby też — na przykład Łódź albo Warszawa?

JÓZEF RETMAN

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex

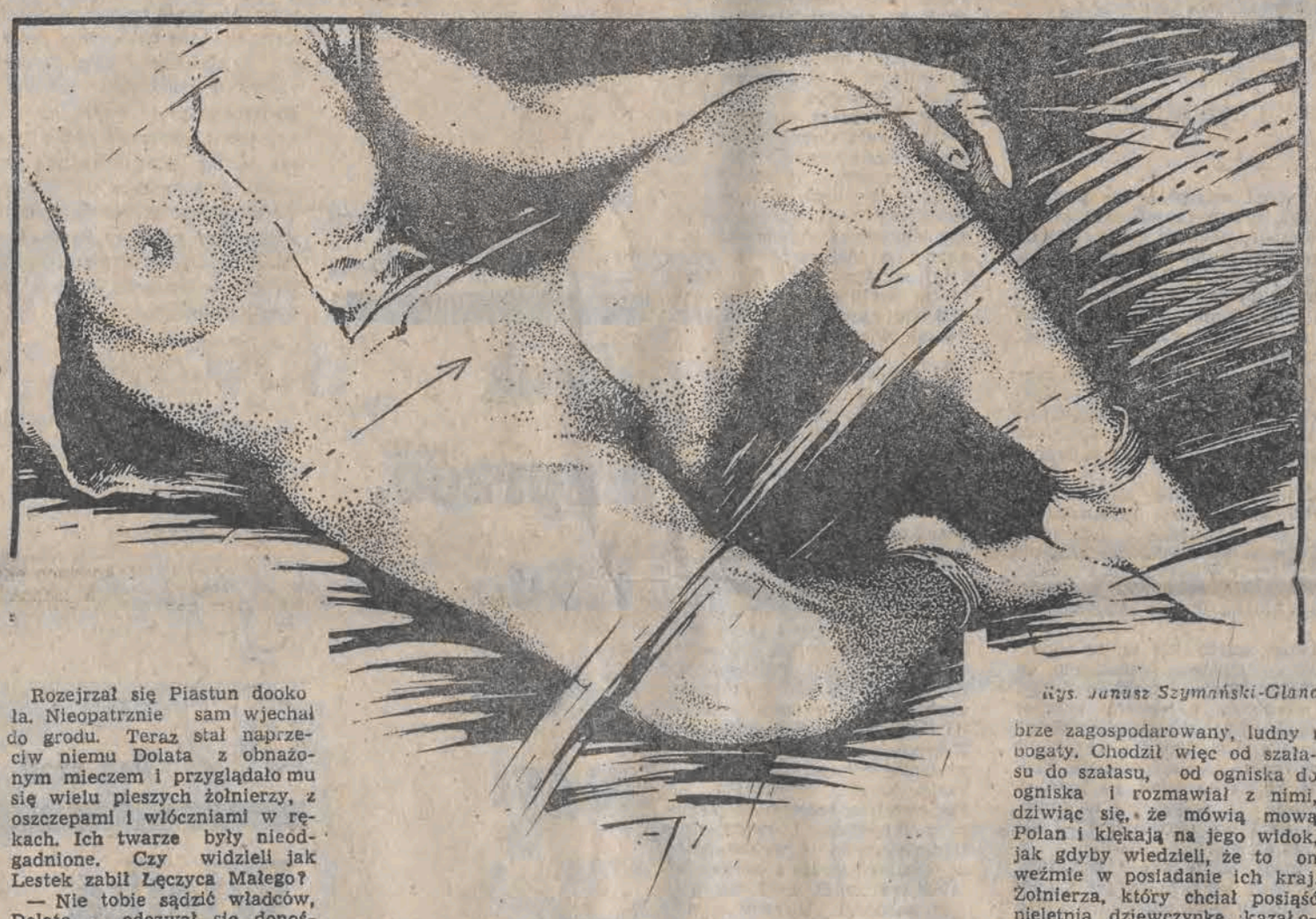

Rys. Janusz Szymański-Glanc

(18)

Rozstąpiły się przed idącymi szeregi białych Lestków. Wpuścili Estów między siebie, chciwie patrząc na stos pozostawionej przez nich broni. Na wałach grodu pokazali się wszyscy obrońcy, a nawet wyniesiono na łożu starego Łęczyca, aby był świadkiem odejścia Estów.

Raptem Spicimir zadął w róg, a wtedy przemówił do Lestków ich pan i władca:

— Jeśli w waszych wioskach brakuje ludzi do pracy, bierzcie ich ile chcecie, a resztę mordujcie jako i ja będę czynił.

To powiedziawszy wyciągnął z pochwy swój miecz i spiął konia ostrogami. To samo uczyniło ponad czterystu Lestków. Z dwóch stron uderzyli na pieszą kolumnę bezbronnych Estów, zaczęli ich chwytać na pętle ze sznurów, a tych, którzy nie chcieli się oddać w niewolę — zabijali. Trzydziestu wodzów plemiennych i rodowych rzuciło się do obrony, ale oto już z grodu wyjechali Lestkowie na czele z Łęczycem Małym, który mimo osłabienia i ran postanowił zaspokoić swoje pragnienie pomsty na wrogach.

Jedni Estowie bronili się przed Lestkami, inni rzucili się do bezładnej ucieczki, krzycząc przeraźliwie. Dopędzali ich jednak konni żołnierze Piastuna, zarzucali sznury na szyję albo przebijali mieczami. Opowiada się, że ponad stu Estów zabito, ponad czterystu wzięto do niewoli, a tylko ponad stu zdołało uciec w kierunku Mazowii.

— Zdrajco, walcz ze mną — krzyczał Dywina i zabił dwóch Lestków, zanim dotarł do Piastuna.

Zwrócił ku niemu konia wódz Polan i podniósłszy rękę kazał mu się zatrzymać przed walką.

— Dlaczego nazywasz mnie zdrajcą? — zapytał. — Zdrajcą można okrzyknąć kmiecia i żołnierza. Ja zaś tylko złamałem przysięgę, a to jest sztuką rządzenia ludami.

Wyciągnął Piastun swój miecz i starł się z Dywiną. Zderzyli się tarczami, potem konie się rozbiegły i znowu zawróciły. Dopiero za trzecim zbliżeniem Dago ciął Dywinę w jego wilczy czerep na głowie, zrzucił go z konia, a potem zeskoczywszy z siodła, już na ziemi uciął mu głowę i zabrał złoty łańcuch z krzyżem. Opowiada się, że stojąc nad trupem Dywiny, zawołał:

— Bóg Chrześcijan pomaga zawsze tylko silniejszym i sprytniejszym. Dlatego pomógł Konstantynowi, a nie tobie, Dywina.

Na ośnieżonym polu leżało mnóstwo trupów, biegały konie bez jeźdźców, a poszczególni Lestkowie to dobijali pojedynczych Estów, to całe ich gromady prowadzili w sznurach. Dzielnie też stawał Łęczyc Mały, mimo rany i osłabienia zabijając nawet bezbronnych, którzy chcieli się oddać w niewolę.

Spicimir zatrzymał jakiegoś młodego Lestka.

— Podejdziesz do Łęczyca i wbijesz mu oszczep w plecy — rozkazał.

Zdumiał się ów Lestek, który był dopiero osiemnastoletnim mężczyzną i pierwszy raz brał udział w prawdziwej bitwie.

— Czy nie oddał się on w nasze piastowanie? — zapytał.

— Piastujemy tylko martwych książąt. — zadrwił Spicimir. — Po cóż nosisz biały płaszcz Lestka? Czy nie uczono cię bronić wolności? Nie wiesz, że dla młodego księcia szlachetną sprawą jest zginąć w obronie swojego ludu?

I położył dłoń na rękojeści swego miecza. Wówczas młody Lestek wjechał galopem między walczących i wbił oszczep w plecy Łęczyca Małego. Widzieli ludzie na wałach jak Łęczyc Mały spadł z konia i legł martwy na śniegu, zdało im się, że uczynił to żołnierz Piastuna, ale nie wierzyli własnym oczom W wirze walki bowiem, niełatwo odgadnąć kto kogo uderza i zabija

Zemdlał Łęczyc Biały na widok śmierci syna i zaniesiono go do jego komnat.

Na polach i zamarzniętych bagnach przed grodem jeszcze ciągle tu i ówdzie odbywały się potyczki, wiązano jeńców chwytano konie. Ale Piastun już wjeżdżał do grodu przez otwarte wrota, wyprostowany w błyszczącym złotym pancerzu i zakrwawionym płaszczu Obrońcy grodu ze strachem spoglądali na samotnego jeźdźca na białym koniu.

Stary Dolata, wódz Długogłowych, pieszo i z obnażonym mieczem zagrodził drogę koniowi Piastuna.

— Stój — wrzasnął. — Widziałem jak twój żołnierz zabił naszego księcia. Złamałeś przysięgę Piastunie. Złamałeś przysięgę daną naszemu młodemu księciu. Hańba ci.

— Kim jesteś, który ośmielasz się tak mówić? — zapytał Piastun wstrzymując swojego ogiera.

— Jestem Dolata, wódz — to mówiąc zrzucił z głowy hełm i stanął przed Piastunem z łysą, długą głową i posiwiałym kosmykiem na czaszce.

— Czy twoje miejsce nie było tam, na polu bitwy? — kpiąco powiedział Piastun, wskazując usiane trupami pola przed grodem. — I czy nie powinieneś jako wódz także zginąć szlachetnie broniąc swego ludu?

— Jestem tu, aby bronić księcia — odparł dumnie Dolata. — Nie pozwolę ci go zabić, krzywoprzysiężco.

Rozejrzał się Piastun dookoła. Nieopatrznie sam wjechał do grodu. Teraz stał naprzeciw niemu Dolata z obnażonym mieczem i przyglądało mu się wielu pieszych żołnierzy, z oszczepami i włóczniami w rękach. Ich twarze były nieodgadnione. Czy widzieli jak Lestek zabił Łęczyca Małego?

— Nie tobie sądzić władców, Dolato — odezwał się donośnie Dago Pan i Piastun. — Przybyłem tutaj nie dla łupów i nie jako wróg, ale na waszą prośbę i błagania. Ustąp mi z drogi, bo cię stratuję. Twemu władcy przyjechałem złożyć ukłon i nazwać go ojcem, gdyż jest sędziwy.

Nie wiedział, że to właśnie Dolata namówił Łęczyca Białego, aby zawarł przymierze ze Skrzydlatymi i Karakiem, gdyż nienawidził Lestków. Teraz to wszystko rozpadło się w gruzy. Nie przyszedł mu z pomocą Karak, ani Ludzie Skrzydlaci, zginęli synowie Łęczyca i Dolacie zdawało się, że oszaleje z rozpaczy.

— Zejdź z konia i walcz — niemal zawył z wściekłości.

Piastun lekko zeskoczył z siodła.

— Mój miecz nazywa się Tyrfing i jest przeklęty przez Odyna. Jeśli go wyjmę z pochwy, paść musi trup.

— To będzie twój trup — wrzasnął Dolata, plując śliną.

I cisnął włócznią w Dagona lecz ten zdołał ją odbić tarczą. Następnie Dolata rzucił się na Piastuna z uniesionym do góry mieczem. Wściekłość i szaleństwo jak gdyby odebrały rozum staremu wodzowi. Biegł na Dagona wciąż trzymając uniesiony miecz, a tamten czekał spokojnie, potem osłonił się tarczą przed spadającym na niego ciosem, a ostrze Tyrfinga wbił w brzuch Dolaty. Drugim szybkim gestem ściął mu głowę z karku. W pierś Piastuna uderzyła wypuszczona przez kogoś strzała z łuku i ześliznęła się po złoconym pancerzu. W tym momencie wpadł do grodu Spicimir i dziesięciu Lestków, którzy oszczepami zaczęli bić po głowach stojących ludzi i rozpędzać na wszystkie strony. Dago zaś jak gdyby tego nie widząc spokojnie skierował się do dworzyszcza Łęczyców.

Jakiś sługa czy niewolnik wskazał mu drogę do komnaty starego władcy. Stało tam na środku łoże z nieprzytomnym księciem, a dookoła łoża zawodziły dwie córki księcia i sługi. Na widok Piastuna zapadła cisza.

Piastun podszedł do łoża księcia, zdjął swój hełm i rzucił go na podłogę. Następnie przyklęknął i powiedział, całując porzuconą bezwładnie na pościeli dłoń umierającego:

— Ojcze mój, otom przybył ja, twój następca...

Opowiada się, że majestat Piastuna był tak wielki, że umierający i dotąd nieprzytomny Łęczyc Biały nagle po tych słowach otworzył oczy i przytomnie spojrzał na Piastuna.

— Hańba ci, Piastunie — wycharczał Łęczyc Biały — Hańba ci po stokroć, bo twoje piastowanie to śmierć i niewola. Jesteś krzywoprzysiężcą i zdrajcą. Czy tak czyni prawdziwy władca?

Podniósł się z klęczek Dagon i rzekł z pogardą, patrząc na umierającego starca:

— Sztuka rządzenia ludźmi uczy, że obietnic dotrzymuje się tylko wobec silnych, a nie wobec słabych. Hańba ci po stokroć Łęczycu Biały, ponieważ, choć osłabła ci dłoń, nie oddałeś władzy w ręce żadnego ze swoich synów, czyniąc kraj bezbronnym. Hańbą jest chcieć aż do ostatniego tchu pić słodycz władania. Hańbą byłoby dla mnie, gdybym nie poszerzał swoich granic, orężem albo krzywoprzysięstwem.

Żółta była skóra na twarzy i na łysej czaszce Łęczyca. Tylko od dawna nie golona broda jak biały bandaż osłaniała mu policzki. Poruszyły się blade wargi Łęczyca, ale nie wypowiedział żadnego słowa. Westchnął głęboko i skonał, a Piastun zamknął dłonią powieki jego oczu. A że dłoń Piastuna była zakrwawiona po zabiciu Dolaty, tedy na oczach i na policzkach Łęczyca pozostały czerwone smugi krwi. Mogło się nawet zdawać, że to Piastun zabił i jego, wszyscy jednak widzieli, że było inaczej i takiej prawdzie dali potem świadectwo...

A w tym samym czasie Olt Powała, oddychając gwałtownie i ocierając pot z czoła, zeskoczył z konia i popatrzył na ogromne pole pod wsią Glinojeck — całe zasypane trupami, które miejscowi kmiecie odarli z odzieży i teraz nagie, pożółkłe walały się na śniegu. Od świtu aż do południa rozprawiał się z armią Estów, obarczoną mnóstwem sań, niewolników, bydłem i końmi. Ukryty w lesie cierpliwie czekał aż przeprawili się przez zamarzającą Wkrę, a potem z dwóch stron zaatakował ich i odniósł zwycięstwo. Tylko pojedynczym wojownikom estyjskim udało się umknąć w głąb lasów. Na polu i na brzegu rzeki poległo ponad stu Estów, a rannych dobijali żołnierze Powały. On sam też zabijał, doznając uczucia, że jest już naprawdę dorosłym mężczyzną. Był zmęczony od machania mieczem, od dźgania i przecinania ciał ludzkich, a przecież wciąż upajał się własną siłą i męstwem. Beskrzewnie patrzył jak żołnierze zabierali broń zabitym, jak parzyli się z uwolnionymi z niewoli kobietami Długogłowych, zbierali w stada rozproszone w walce i biegające po polach konie. Był naprawdę zwycięzcą, ponieważ Zyfika, która zaczaiła się ze swymi wojskami koło spalonego grodu Ciechana na próżno czekała na nadejście Estów. Tamci poszli drogą na Glinojeck, cały łup i cała radość ze zwycięstwa przypadła więc nie jej, lecz jemu — Oltowi. Powale. Jaką nagrodę za to da mu jego władca — przedziwny Piastun?

Wieczorem ucztowano przy ogromnych ogniskach, nie troszcząc się o nagie trupy. Dzielono też zrabowane przez Estów przedmioty, gdyż — jak to zapowiedział Piastun — schwytani do niewoli ludzie w Kraju Długogłowych, ich bydło, ich konie, miały wrócić do ich własnego kraju, który (a o tym też wiedział Powała) miał być odtąd na zawsze krajem Piastuna.

Następnego zaś dnia tymi samymi tratwami przygotowanymi przez Estów przeprawiono się na lewy brzeg Wkry, zaczęto reperować sanie, siać po okolicy specjalne zwiady żołnierzy po siano i owies dla wykarmienia bydła i koni. Uwolnieni z niewoli ludzie zbudowali dla siebie szałasy i rozpalili ogniska, piekąc zabite woły i racząc się piwem i miodem, które wieźli Estowie. Również żołnierze rozstawili swoje namioty i największy, wysłany kobiercami — dla Olta Powały, niemal chłopca, a przecież mężczyzny. Przyprowadzono mu kilka pięknych kobiet, aby nocą zażył z nimi rozkoszy, ale odmówił. Zwycięstwo wciąż go upajało i nie pożądał żadnej. Pamiętał co mu przed opuszczeniem Gniazda szepnęła Gedania: „Dostaniesz całą ziemię Łęczyców, a potem ruszysz z Piastunem na Ludzi Skrzydlatych. Przyjdzie wam z pomocą Awdaniec i Pałuka". Nie żałował Kruszwic utraconej przez ród Powałów, Piastun go ochronił płaszczem przed mieczem starszego brata, wychował, nauczył walki, a teraz obdaruje krajem jednym, a może drugim, uczyni potężnym wodzem. Olt Powała weźmie sobie żonę, a może i dwie, spłodzi ród potężny i waleczny. Dlatego musi też dbać, aby ludzie z kraju Łęczyca powrócili do swych wiosek i grodów, a także ich stada. To przecież będzie jego kraj i musi być dobrze zagospodarowany, ludny i bogaty. Chodził więc od szałasu do szałasu, od ogniska do ogniska i rozmawiał z nimi, dziwiąc się, że mówią mową Polan i klękają na jego widok, jak gdyby wiedzieli, że to on weźmie w posiadanie ich kraj. Żołnierza, który chciał posiąść nieletnią dziewczynkę, kazał obatożyć dla przykładu. Przyjrzał się też uważnie wziętym do niewoli prawie dwustu Estom, których powiązano i posadzono przy ogniu. Czy będą z nich dobrzy osadnicy na ziemiach, które sami zniszczyli? Bo nie zobaczą już nigdy swych lasów i bagien na północy. Obetnie się im włosy i staną się niewolnikami.

Dzień był słoneczny i mroźny. Po drugiej stronie rzeki rozlegało się straszliwe krakanie wron i kawek, ucztujących na ciałach zabitych. Rzekę pokrywała lodowa kasza, która płynęła coraz wolniej i wolniej. Było oczywiste, że jeszcze kilka dni mrozu, a stanie zupełnie, pokryje się twardym lodem. Jak to dobrze, że dopiero teraz pojawił się mróz i Estowie musieli się przeprawiać przez ową kaszę, gdyż potem byli zmęczeni i nie okazali czujności. Jakże słabo się bronili, gdy z dwóch stron uderzyli na nich konni wojownicy Powały i jego tarczownicy. Zwyciężając ich stracił zaledwie dziesięciu swoich żołnierzy, pochwali go za to Piastun, otoczy białym płaszczem, włoży w swoje dłonie obydwie dłonie Powały, a może nawet nazwie go synem. Kto wie, kogo urodzi Gedania? Syna czy córkę? Może Piastun nigdy nie będzie miał syna olbrzyma, jak tego pragnie, a wówczas — kto wie — może spadnie łaska na Olta Powałę, który pochodzi z najznamienitszego rodu, choć teraz się tego nie uznaje, bo rządzą Lestkowie; on Powała też się uważa za Lestka i biały płaszcz nosi nie tylko jako wojewoda, ale jako Lestek, który nienawidzi książąt i komesów. Przedziwny jest ów Piastun, co dał Lestkom władzę i ludowi wolność, a przecież wszystko pozostało tak jak było — są ludzie niewolni i wolni, trzeba płacić daniny, są grododzierżcy, starostowie i wojewodowie, nie wolno tylko wspominać o komesach i książętach. Na czele zaś wszystkich stoi ów Piastun. Ale czy może być inaczej? Może istnieć państwo bez armii, bez wodzów, bez posłuchu i bez podatków?

Ktoś wbiegł do namiotu Powały i powiadomił go, że na drugim brzegu rzeki stanęła gromadka jeźdźców. Mimo odległości rozpoznał Powała, że oto na czele dziesięciu sauromackich wojowników przybyła Zyfika. Czego chciała? Udziału w łupach czy napawać się zwycięstwem młodego Olta?

Zmarszczył brwi młody Powała, przypominając sobie jak go upokorzyła, proponując mu swoje ciało w zamian za śmierć lub niewolę. Upił się z tchórzostwa — nie potrafił o tym zapomnieć, on, teraz pogromca Estów.

Rozkazał żołnierzom, aby posłali na drugi brzeg dwie wielkie tratwy, ale one uwięzły w lodowej kaszy. Wtedy Zyfika krzyknęła coś swoim żołnierzom i śmiało skierowała konia do rzeki. Przepłynęła mimo lodowej kaszy, a z nią jej sauromaccy żołnierze. Była tylko mokra i wszedłszy do namiotu Olta otrząsnęła się z wody jak pies.

— Rozkaż rozpalić ogień przed namiotem i niech osuszą moją odzież — powiedziała rozkazując do Olta, a potem rozebrała się do naga, nie wstydząc się swej kobiecości i wlazła w futra wyścielające łoże Powały.

Olt zrobił jak mu kazała. Polecił też podać jej gorącego miodu. Wydał również rozkaz, aby dla Sauromatów rozpalono ognisko nieco dalej od namiotu Powały, a jego namiot otoczyło piętnastu zbrojnych.

— Walczyłeś na prawym brzegu rzeki, ale już zdołałeś przeprawić się na lewy — powiedziała Zyfika, ukryta w futrach. — Czy to znaczy, że ci tak śpieszno odejść stąd z łupami?

— Wziąłem do niewoli niespełna dwustu Estów — rzekł Powała. — Piastun zechce ich osiedlić na zniszczonej ziemi Łęczyców.

— Widziałam setki kobiet i mężczyzn, których wzięli do niewoli Estowie.

— To teraz ludzie wolni i wrócą do swoich domów.

— Widziałam też wielkie stada bydła i koni.

— To wszystko Piastuna, pani.

— A ja? — chciała zerwać z siebie futro, ale uprzytomniła sobie, że jest naga. — Czy to znaczy, że nam, Mazowii, nic się nie należy? Estowie zniszczyli gród Ciechana.

— Trzeba było lepiej bronić Mazowii — oświadczył Olt.

— Nie masz jeszcze długich wąsów jak dorosły mężczyzna, a chcesz pouczać mnie, Dziką Kobietę?

Jej twarz rozpalił gniew. Piękną się zdała Oltowi, a gdy pomyślał o jej wspaniałych kształtach, a teraz miał świadomość, że ona jest naga w futrach, poczuł pożądanie. Bał się jej. Lecz im więcej się bał, tym bardziej pożądał.

Rozejrzał się po namiocie. Złoty łuk Alanów leżał w kącie namiotu, tam także znajdował się złoty pas ze sztyletem, należący do Zyfiki.

— Ciebie, pani, też wezmę — wybełkotał pożądliwie.

C.D.N